

Byłem na wystawie Eriki Steinbach

NR 8-9 (67-68)
sierpień-wrzesień
2006

BIULETYN IPN

Kolebka

ISSN 1641-9561



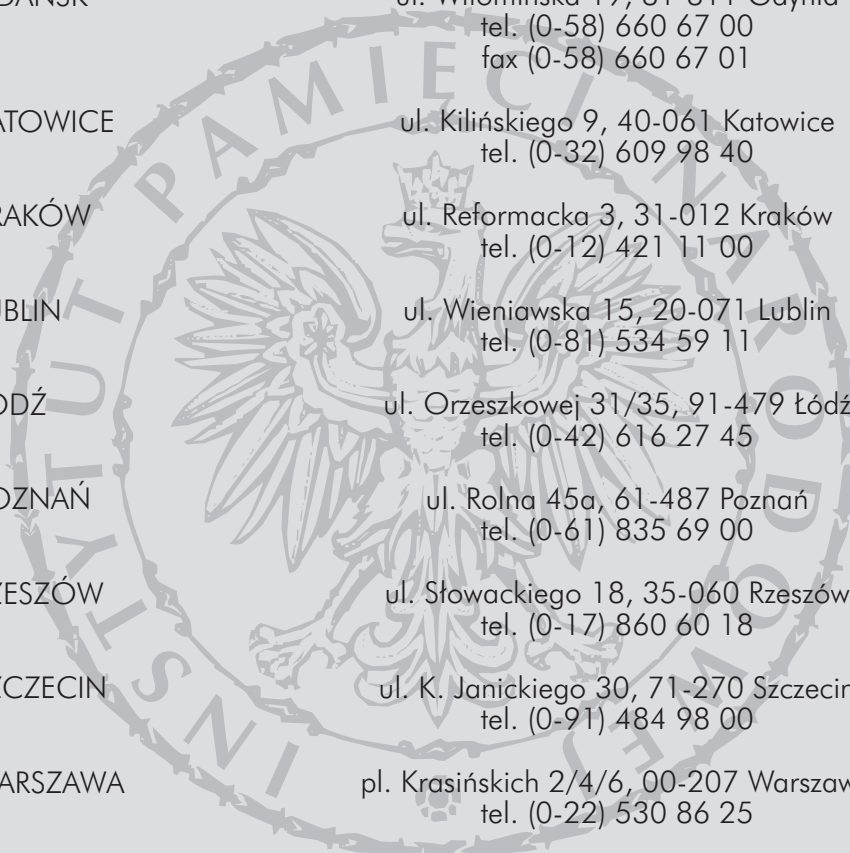
numer indeksu 374431

nakład 3400 egz.

cena 7,50 zł (w tym 0% VAT)

ODDZIAŁY IPN

ADRESY I TELEFONY



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDAŃSK	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Wieniawska 15, 20-071 Lublin tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
SZCZECIN	ul. K. Janickiego 30, 71-270 Szczecin tel. (0-91) 484 98 00
WARSZAWA	pl. Krasińskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 23, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Kolegium: Łukasz Kamiński, Kazimierz Krajewski, Krzysztof Madej, Romuald Niedzielko, Barbara Polak, Jan M. Ruman, Jan Żaryn – przewodniczący, Jacek Żurek

Redaguje zespół: Romuald Niedzielko (tel. 0-22-4318373),
Barbara Polak – sekretarz redakcji (tel. 0-22-4318375, Barbara.Polak@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny (tel. 0-22-4318374)

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński ♦ **Redakcja techniczna:** Andrzej Broniak
Łamanie: Wojciech Czaplicki ♦ **Korekta:** Anna Kaniewska

Adres redakcji: ul. Hrubieszowska 6 a, 00-839 Warszawa

<http://www.ipn.gov.pl>

Druk: Instytut Technologii Eksploatacji
ul. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 8-9 (67-68)

SIERPIEŃ-WRZESIEŃ

2006

SPIS TREŚCI

■ DWUGŁOS

- Piotr Szubarczyk – **Byłem na wystawie Eriki Steinbach** 2
Kazimierz Wóycicki – „Wymuszone Drogi”.
Potrzebna inna dyskusja 11

■ WYDARZENIA 16

■ ROZMOWY BIULETYNU

- Kolebka „Solidarności”. O polskich kresach północnych**
– ze Sławomirem Cenckiewiczem i Grzegorzem Berendtem
rozmawia Barbara Polak 23

■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

- Piotr Semków – **Martyrologia Polaków z Pomorza Gdańskiego**
w latach II wojny światowej 42
Grzegorz Berendt – **Gdańsk – od niemieckości do polskości** 51
Piotr Semków – **Pobór Polaków z Pomorza do Wehrmachtu** 63
Piotr Szubarczyk – „**Malgré-nous**” – żołnierze mimo woli 68
Janusz Marszałec, Piotr Niwiński – **Akowcy w Gdańsku**
– w obronie sztandaru 80
Marzena Kruk – **Racja po ich stronie** 91

■ DOKUMENTY

- Sławomir Cenckiewicz – **Zemsta czy „wypadek przy pracy”?** 100
Wojciech Fałkowski – „**Czarna Jedynka**” 121

■ WSPOMNIENIA

- Jan Karandziej – **Musiąłem przeskakiwać przez płot** 127

■ DEBATA

- Polityka historyczna w Polsce i w Niemczech** 135

■ ZAPOWIEDZI

- Międzynarodowa konferencja naukowa**
„Kryzysy systemu komunistycznego 1953-1981” 146

Zdjęcia na okładce: str. I – fot. K. Findziński; str. IV – fot. L. Rysak



BYŁEM NA WYSTAWIE ERIKI STEINBACH

Jaka jest ta wystawa? Tandetna. Zarówno od strony koncepcji, jak i realizacji. Jest jak broszura pocięta na kawałki i wywieszona na ścianie. Bardzo dużo tekstu na zbyt małych planszach. Fotografie, które są podstawą każdej wystawy, mają zbyt mały format i nie wzbudzają ani zainteresowania, ani emocji.

Ludzie chodzą od ściany do ściany i próbują czytać tekst, przeszkadzając sobie nawzajem. Po jakimś czasie są zbyt zmęczeni, by dalej to robić. Musieliby przeczytać na stojąco kilkadziesiąt metrów. Przechodzą więc do sal, w których zgromadzono przedmioty mające ilustrować tragedię wysiedlanych. Tu czeka ich kolejny zawód. Te przedmioty są nieliczne, tworzą niespójną graciarnię, swoisty „perski jarmark”. Niektóre pomysły to po prostu kicz. Ktoś chciał wzruszyć, zadziałać na emocje, ale nie wiedział, jak to zrobić, albo nie miał do tego serca, bo inne cele były ważniejsze. W szklanej gablocie jakieś suknie, należące według opisu do wypędzonych. Obok leżą słuchawki, przez które można sobie posłuchać piosenek (*Heimatlieder*) śpiewanych przez wypędzonych z Włoch, z Karelii i z Cypru... Sytuację ratuje wielki dzwon z zatopionego przez sowiecką łódź podwodną 30 stycznia 1945 r. „Wilhelma Gustloff’a”, wyprodukowany w roku 1938 w Bochum, przekazany na wystawę przez Polskie Ratownictwo Okrętowe z Gdyni. Ludzie oglądają go z zaciekawieniem, pukają weń palcami, podziwiają, że taki wielki. Potem przestają się interesować wystawą i obserwują reakcje innych, jakby w tych reakcjach szukali odpowiedzi na pytanie: „I to jest ta słynna wystawa”?

Mimo że w salach jest pełno ludzi, zwabionych doniesieniami mediów o ostrej reakcji na wystawę przedstawicieli polskich władz, prawie nie słychać rozmów. Ludzie mówią półszepcetem albo milczą. Nie wiadomo przecież, kto obok stoi, moja reakcja może mu się nie spodobać. Dopiero po dłuższej obserwacji znalazłem partnerów do krótkiej rozmowy i wymiany opinii: młodą dziennikarkę z Wielkopolski i dwoje nauczycieli historii z Warszawy. Zgodziliśmy się co do jednego: wystawa jest wyprana z kontekstu historycznego, a jej czytelne przesłanie jest z gruntu fałszywe: wszyscy wszystkich wypędzali, ale najbardziej ucierpieli Niemcy. Teraz jest wspólna Europa, więc kochajmy się i nie szukajmy winnych w przeszłości...

Bez katalogu

Po wejściu na parter Kronprinzenpalais każdy przybysz rozgląda się za katalogiem wystawy. Tu pierwsze rozczarowanie. Katalogu nie ma. Kiedy będzie? W przyszłym tygodniu – odpowiada pani obsługująca skromny straganik z książkami. Kilkanaście tytułów książek – wspomnień wysiedlonych Niemców, kasety z filmami i książka poświęcona działalności dr. Herberta Czai, działacza niemieckich ziomkostw i Związku Wypędzonych. Wobec braku katalogu każdy, kto przyjechał na wystawę, by ją zarejestrować do późniejszej analizy lub by napisać recenzję dla gazety, musi przeczytać i przepisać do notesu znaczną część obfi-

tego tekstu. To ewenement na niemieckich wystawach, które mają zwykle bogate katalogi, pokazujące całą ekspozycję. Brak środków na wydanie katalogu czy świadome działanie, mające na celu utrudnienie krytycznej analizy jej zawartości w pierwszych dniach po otwarciu, gdy zainteresowanie mediów jest największe? Zamiast katalogu dostają ulotkę formatu A-4 z ogólnikowymi informacjami o wystawie, która ma być rzutem oka – poprzez wybrane przykłady – na ucieczki, wypędzenia i ludobójstwa w XX w. Za główną przyczynę wypędzeń grup etnicznych i mniejszości autorzy ulotki uważają ideę państwa narodowego, homogenicznego. Obok tak rozumianego nacjonalizmu źródłem prześladowań jest też rasizm i antysemityzm. Słowa takie

jak narodowy socjalizm, komunizm czy totalitaryzm nie pojawiają się ani w ulotce, ani na wystawie poświęconej wypędzeniom i eksterminacji narodów w XX w.!

Tu bardzo ważna dygresja: po drugiej stronie Unter den Linden, w Niemieckim Muzeum Historycznym, prezentowano od maja do sierpnia wystawę o identycznej tematyce co „Wymuszone drogi” Eriki Steinbach. Była to wystawa „Ucieczka – wypędzenie – integracja – ojczyzna” pod patronatem prezydenta Republiki Federalnej Horsta Köhlera. Wydano obszerny katalogi tej wystawy – niezwykle bogatej, obfitującej w starannie dobrane zdjęcia i eksponaty. W okolicznościowej ulotce napisano: „Na skutek rozpetanej przez narodowosocjalistyczne Niemcy II wojny światowej, ucieczki i wypędzenia osiągnęły nowy, koszmarny wymiar”. I to jest właściwe postawienie sprawy. Nie wymagamy zbyt wiele. Po takim oświadczeniu każdy Polak, i nie tylko Polak, pochyli się ze współczuciem nad losem kilku tysięcy niemieckich dzieci, utopionych w zimną styczniową noc na „Wilhelmie Gustloffie”, i nie będzie protestował przeciwko prawu Niemców do oplakiwania swoich rodaków. Kiedy jednak zamiast tego otrzymujemy mętne, dialektyczne wywody o nacjonalizmie, rasizmie i antysemityzmie jako enigmatycznych, anonimowych źródłach nieszczęść, które spotkały Europejczyków w XX w., z wyraźną sugestią, że wszyscy są winni i wszyscy są pokrzywdzeni, to takie stawianie sprawy musi wywołać protest.

wystawa jest wyprana z kontekstu historycznego, a jej czytelne przesłanie jest z gruntu fałszywe: wszyscy wszystkich wypędzali, ale najbardziej ucierpieli Niemcy. Teraz jest wspólna Europa, więc kochajmy się i nie szukajmy winnych w przeszłości...

Po przejrzaniu bogatego katalogu, a raczej kilkusetstronicowej książki z wystawy pod patronatem prezydenta Niemiec, śmiem twierdzić, że wystawa Erki Steinbach i jej przyjaciół jest jej karykaturalną wersją, zaprawioną w sosie wypracowanym w ramach przygotowań do uruchomienia tzw. Centrum przeciwko Wypędzeniom. Porównanie tych dwu wystaw pozwala też na sformułowanie podstawowego wniosku: niech historią europejskich ucieczek, wypędzeń i ludobójstwa zajmą się historycy, a nie „działacze” związków „wypędzonych”. Tak będzie lepiej i dla historii, i dla stosunków polsko-niemieckich.

„Uniwersalizm”

Erika Steinbach zręcznie kokietuje różne nacje, zaznaczając, że wysiedlenia i wypędzenia dotknęły wiele narodów. Ostatecznie służy to jednak przede wszystkim podkreśleniu, że „ucieczki i wypędzenia od 12 do 14 milionów Niemców pod koniec II wojny światowej z niemieckich terenów wschodnich i niemieckojęzycznych regionów stanowiły największe wymuszone migracje w dziejach Europy”. Brak istotnego dopełnienia, że ta wojna została wywołana przez Niemców, i ofiary tej wojny też były największe w dziejach Europy i świata. Niemcy stają w rzędzie niewinnych ofiar. O odpowiedzialności za poparcie Adolfa Hitlera i jego partii, w wolnych przecież wyborach, nie ma ani słowa na wystawie, a przecież byli Niemcy, którzy ostrzegali przed skutkami takiego wyboru. Ci ginęli lub byli zmuszeni do emigracji. Nie oni jednak są bohaterami niemieckiej części wystawy.

W opublikowanej przez Steinbach przed trzema laty „Koncepcji merytorycznego kształtu Centrum przeciwko Wypędzeniom w Berlinie” („Konzept für die inhaltliche Ausgestaltung...”) można było przeczytać, że „w pierwszej połowie XX w. wypędzono, deportowano lub przesiedlono z ojczyzny od 50 do 80 milionów ludzi. Duża część narodów europejskich cierpiała z powodu tej przemocy: Bułgarzy, Finowie, Estończycy, Niemcy, Grecy, Włosi, narody kaukaskie, Tatarzy krymscy, Chorwaci, Łotysze, Litwini, Austriacy, Rosjanie, Serbowie, Słowacy, Tyrolczycy, Turcy, Ukraińcy i wiele małych, dzisiaj prawie zapomnianych narodów”! Zostaliśmy wówczas zaliczeni do narodów „małych” lub „zapomnianych”, a polska hekatomba została potraktowana jako mniej ważna od „przesiedleń” Austriaków czy niewielkiej ilości Litwinów, którzy w czasie wojny współpracowali z Niemcami, w samych tylko Ponarach mordując ponad 100 tys. Żydów, Polaków i jeńców sowieckich. Na wystawie widać pod tym względem postęp – podyktowany zapewne troską o uzyskanie poparcia dla pomysłu budowy Centrum przeciwko Wypędzeniom. W holu głównym na piętrze, stanowiącym jedną z czterech sal ekspozycyjnych, znajduje się ogromna tablica zatytułowana „Te narody były w XX w. wypędzane i prześladowane”. Następuje alfabetycznie ułożona lista 94 nacji, wśród nich Żydzi, Polacy i Niemcy, bez żadnych rozróżnień. Na sąsiedniej ścianie, na wprost schodów, główna tablica wystawy „Wymuszone drogi. Ucieczka i wypędzenie w Europie XX w.” Obok informacja, że celem wystawy jest udokumentowanie wymuszonych migracji ponad 30 narodów europejskich i że wystawa zawiera postulat *humanitas*. Dalej, jak w cytowanej wcześniej ulotce, mowa o przyczynach prześladowań: nacjonalizm, rasizm i antysemityzm. Tu także nie ma mowy o niemieckich i sowieckich systemach totalitarnych, głównych sprawcach tragedii narodów europejskich. Mówi się o potrzebie odzwierciedlenia wspólnej katastrofy.



Z Polską w tle

Już od głównego holu zaznacza się obecność Polski na wystawie. Jest to rodzaj jednostronnego dialogu autorów wystawy z polskimi oponentami Centrum przeciwko Wypędzeniom i chęć pokazania, że są Polacy, którzy doskonale rozumieją idee Eriki Steinbach i jej fundacji. W holu głównym, na eksponowanym miejscu, znajdujemy nieoczekiwanie otwarty polski podręcznik historii dla klasy III gimnazjum, wydany przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne w Warszawie. Na zdjęciu niemieccy przesiedleńcy z roku 1945. Autorzy podręcznika pytają ucznia: „Kogo głównie widać na fotografii? Dlaczego nie ma tu młodych mężczyzn? [!] W jakich warunkach podróżowali przesiedleńcy? Jaki mógł być tego skutek, zwłaszcza dla osób starszych i dzieci? Sprawdź na dowolnej mapie, jakie odległości musieli pokonać niemieccy przesiedleńcy z Prus Wschodnich i z terenów zachodnich do różnych stref okupacyjnych na terenie Niemiec”. Podręcznik wzbudzał ogólne zainteresowanie obecnych na wystawie Polaków. To właśnie w tym miejscu poznałem dwoje młodych nauczycieli historii z Warszawy, słysząc ich rozmowę: – Jak byś odpowiedział na pytanie o nieobecność młodych mężczyzn? – Powiedziałbym, że syn starszego pana, który ciągnie wózek, strzela właśnie do młodego Polaka, żołnierza II Korpusu Polskiego, wyzwalającego Bolonię. Ten Polak był ofiarą sowieckich wypędzeń i cudem uratował się z „niehumanitarnej ziemi”, dzięki armii gen. Andersa. Ginie dopiero w kwietniu 1945 r. A syn starszej pani ze zdjęcia podpala właśnie stodołę w Podgajach, wypełnioną młodymi polskimi żołnierzami z wojska „ludowego”, uratowanymi również z sowieckich deportacji przez armię Berlinga... – A w jakich

warunkach podróżowali przesiedleńcy i jaki mógł być tego skutek? – Podróżowali w lepszych warunkach niż Polacy wyrzuceni ze swoich domów w roku 1939, na przykład we Włocławku, z pakunkiem o maksymalnej wadze 25 kg, załadowani do wagonów towarowych i wyrzuceni z nich w polu, gdzieś pod Lublinem lub Częstochową. W lepszych warunkach niż Polacy zapakowani do sowieckich wagonów towarowych i wiezieni o głodzie i chłdzie przez kilka tygodni na Sybir, umierający po drodze. – A jakie odległości musieli pokonać? – Do Krasnojarska lub Irkucka odległości były kilkakrotnie dłuższe niż z Prus Wschodnich do Essen...

Czy na takie odpowiedzi liczą autorzy podręcznika, formułujący bezmyślne pytania? Wątpię w to, choć odpowiedzi polskiego nauczyciela oceniam na szóstkę.

Błędy

Druga sala, największa i najważniejsza na wystawie, zawiera pozornie obiektywny, naukowy wykład z historii przymusowych wysiedleń w Europie, z różnych okresów. Dokonano wyboru. Pokazano eksterminację Ormian w latach 1915–1916, wysiedlenia („wymianę ludności”) greckiej i tureckiej na mocy traktatu lozańskiego 1923 r., wypędzenia Żydów europejskich od roku 1933, przesiedlenia Finów z zachodniej Karelii, zagrabionej przez Sowiety na podstawie tajnego protokołu do paktu Ribbentrop-Mołotow, wypędzenia i deportacje Polaków, Bałtów, Ukraińców i rosyjskich Niemców, wysiedlenia Niemców pod koniec II wojny światowej (najobszerniejsze miejsce na wystawie), wysiedlenia Włochów z Jugosławii, przesiedlenia jako następstwo konfliktów grecko-tureckich z lat sześćdziesiątych i z roku 1974 na Cyprze, wreszcie ostatnie wypędzenia podczas wojny domowej w byłej Jugosławii – na przykładzie Bośni i Hercegowiny.

Z Impressum (metryczki) wystawy w holu głównym wynika, że każda cząstka narodowa ma swego konsultanta naukowego. Na przykład konsultantem części włoskiej jest Renato Battista La Racine. Konsultantem naukowym części polskiej jest niemiecka dziennikarka Helga Hirsch. Czy dlatego, że żadnemu polskiemu historykowi tego nie zaproponowano? A może odmawiali ze względu na organizatora wystawy? Hirsch znana jest jako była korespondentka „Die Zeit” z Polski, autorka dwóch książek poświęconych przesiedleniom Niemców z terenów przyznanych po wojnie Polsce, zwolenniczka budowy Centrum Eriki Steinbach. Uchodzi za znawczynię historii Polski. Jeśli świadectwem tego ma być wystawa, to trzeba to stanowczo zweryfikować. Na wystawie czytamy, że z okręgu Gdańsk, z tzw. kraju Warty oraz z Górnego Śląska wypędzono około 84 tys. Polaków. Polska literatura przedmiotu podaje, że z ziem wcielonych do Rzeszy Niemcy wypędzili około półtora miliona Polaków, a jeśli dodać do tego wysiedlenia z terenu tzw. Generalnej Guberni, to uzyskamy liczbę ponad 2 mln Polaków wypędzonych przez Niemców z własnych domów. O tym na wystawie nie ma mowy. Nie ma mowy o Gdyni, dumie Polaków, największej inwestycji II RP, „polskiej Kalifornii”, wsi przekształconej do wybuchu wojny w ponadstutysięczne miasto. Miasto polskich pionierów, najbardziej przedsiębiorczych ludzi, załadowane do wagonów i wywiezione do Polski centralnej na kilkuletnią tułaczkę. Wypędzonym odebrano cały dorobek życia, pozwalając zabrać tylko pakunek o wadze 25 kg. Dom miał być posprzątany, a klucze pozostawione w drzwiach. Szkoda, że na wystawie nie ma zachowanych obwieszczeń z Gdyni i biletów w jedną stronę, co powinno być bliskie Ericie Steinbach, deklarującej ponadnarodową *humanitas*. W końcu córka feldfebla służącego w Luftwaffe urodziła się ledwie kilka kilometrów od stacji kolejowej, skąd wywożono wypędzonych

Polaków. Na wystawie pokazano też małą planszę zatytułowaną „Eksperyment SS – wzorcowy rejon Zamość”. Na tym koniec, ale jest jeszcze akcja „Wisła”, jakby dla pokazania, że Polacy też wypędzali. Warto przypomnieć, że w przywołanej „Koncepcji” Centrum przeciwko Wypędzeniom zamieszczono szokujące tabele, w których podano szacunkowe liczby wypędzanych (wysiedlanych), kim byli i kto ich wypędził. Z tych tabel wynikało, że najwięcej ludzi w XX w. wypędzili Polacy. Więcej niż Sowieci i Niemcy! Na wystawie tych nieszczęsnych tabel nie ma, ale pewnie pojawią się znowu, gdy powstanie Centrum, nie słyszałem bowiem, by „Koncepcja” uległa ostatnio zmianie. „Eksperci” Eriki Steinbach zaliczyli do polskich ofiar wszystkich Niemców wypędzonych z Prus Wschodnich przez Sowiety i z ziem zachodnich – na podstawie ustaleń naszych aliantów i „sojuszników naszych aliantów”. Po dodaniu wszystkich tabel okazało się, że w XX w. Polacy wypędzili z rodzinnych domów 9,7 mln ludzi, głównie Niemców! Dla porównania: Sowieci (i Rosjanie po 1990 r.) – 8,5 mln, Niemcy 6,6 mln. Zarówno Helga Hirsch, jak i inni „eksperci” całkowicie ignorują status powojennej Polski jako dominium sowieckiego i pełnię władzy NKWD na naszych terenach, co najmniej do roku 1953, kiedy z wojewódzkich UB odchodzili sowieccy doradcy. To jest zasadnicza różnica między zaplanowanymi przez Niemców, wyniszczającymi akcjami przeciwko Polakom, organizowanymi przez legalne władze Deutsches Reich, wybrane przez obywateli tego państwa – a działaniami władz dominium sowieckiego, tylko nominalnie polskimi. To nie Polacy wypędzali Niemców i to nie Polacy, lecz władze komunistyczne, w porozumieniu z Sowiecami, organizowały akcję „Wisła”.

Także liczba Polaków deportowanych w głąb Związku Sowieckiego jest nie do przyjęcia. Podane 300 tys. to szacowana wielkość jednego tylko zbiorowego transportu z 13 kwietnia 1940 r. Rząd polski na uchodźstwie szacował ogólną liczbę wywiezionych Polaków w latach 1939–1941 na około 1,7 mln. Nawet jeśli ta liczba jest przeszacowana, to na pewno nie chodzi o 300 tys. Do tego dochodzą późniejsze deportacje, od początku 1944 r.

Sedno sprawy

Cała wystawa jest tak skonstruowana, by poprowadzić zwiedzających do najbardziej pokrzywdzonych w XX wieku – Niemców. Muszę przyznać, że już pierwszy panel, zatytułowany „Wypędzenie Niemców pod koniec II wojny światowej” zmroził mnie. Spodziewałem się wstępu na temat rozpętanej przez Niemców wojny i jej konsekwencji w postaci cierpienia milionów ludzi, także cywilnej ludności niemieckiej. Tymczasem pierwsze zdania przypominają teksty z propagandówek czasu wojny: „Po I wojnie światowej niemieckie mniejszości narodowe, na terytoriach, które na mocy traktatu wersalskiego zostały przez Niemców odstąpione, zostały poddane represjom”.

Trzeba w tym miejscu przypomnieć, że głównym powodem zbliżenia między Sowiecami a Niemcami, już od roku 1922, była wspólna wola obalenia „dyktatu wersalskiego” i unicestwienie „państw sezonowych”, „bękartów traktatu wersalskiego”. Konsekwencją takiego rozumowania było ustanowienie przez Niemców tzw. Generalnej Guberni, zwanej też przez nich „Restpolen” („resztówka” Polski). Do pewnego stopnia powojenny PRL miał być w sowieckich zamierzeniach również taką namiastką państwa, podporządkowanego całkowicie Sowiecom. Pokazywanie wysiedleń niemieckich po II wojnie światowej z perspektywy I wojny i ustaleń traktatu wersalskiego budzi najgorsze skojarzenia. Nikt nie ma moralnego prawa, by porównywać dobrowolne migracje Niemców ze Śląska, z Wielkopolski czy z Pomorza po 1920 r. z przymusowymi wysiedleniami Polaków w 1939 r. Niemcy byli tzw. „optantami”, mieli kilka lat

na dokonanie wyboru (opcji). Ci, którzy chcieli pozostać w swojej „małej ojczyźnie”, stali się obywatelami II Rzeczypospolitej. Ówczesna Polska, zaliczana przez ludzi pokroju Steinbach do państw „nacjonalistycznych”, nie znała takich metod jak „eksperyment Zamość”, masowe wysiedlenia czy deportacje. Kiedy Wincenty Witos, premier rządu Obrony Narodowej i członek Rady Obrony Państwa, przyjechał we wrześniu 1920 r. na Pomorze, wygłosił w Starogardzie, pierwszym większym miastem polskim, na trasie z Wolnego Miasta Gdańska do Torunia, przemówienie, którego fragment warto zacytować: „Dawniej mieszkali tu Niemcy z wami i dziś mieszkają, tylko że dawniej rządzą oni, a dziś my rządymy. Polska jednak nie będzie tworzyć praw wyjątkowych dla nikogo – równe są prawa dla wszystkich. Nie możemy wzorować się na państwie, które czyniło inaczej. Pójdziemy śladem państw cywilizowanych. W tym kierunku postępować będziemy i mam nadzieję, że Polskę ugruntujemy”. To nie była propaganda. Obywatele RP pochodzenia niemieckiego mieli takie same prawa jak inni. Część z nich odwdzieczyła się Polsce w szczególny sposób. Cywilni bandyci z naprędce sformowanego *Selbstschutzu*, pod kuratelą SS, rozstrzelali od września do listopada 1939 r. prawie 60 tys. Pomorzan, głównie przedstawicieli polskiej inteligencji. To też „wypędzeni”, których Erika Steinbach powinna wliczyć do swoich statystyk. Wypędzeni na zawsze.

Polskie „dzikie” wypędzenia

Jedną z plansz opowiada o „dzikich” wypędzeniach Niemców pod polską administracją („unter polnischer Verwaltung”), na podstawie porozumienia z Sowietami z lipca 1944 r. Na tej podstawie „prowizoryczny rząd polski” rozpoczął już w marcu 1945 r. „dzikie” wysiedlenia Niemców. Każdy polski historyk wie, że Polska miała wówczas normalny, a nie „prowizoryczny” rząd. Rząd Tomasza Arciszewskiego, uznawany przez cały świat, oprócz Niemców i Sowietów. Znowu pała z historii dla Helgi Hirsch. Znowu próba obarczenia Polaków za poczynania kolaborantów sowieckich, kontrolowanych przez NKWD. To tak samo jak polskie „lagry” w latach 1945–1950. Takie były one polskie, jak polskie było NKWD, które je zakładało. A kto był odpowiedzialny za ustanowienie w Polsce sowieckiego dominium i reżimu komunistycznego? Na to niech odpowie Helga Hirsch. Zna język polski, więc mogą polecić lekturę – na przykład *Historię polityczną Polski 1935–1945* prof. Pawła Wieczorkiewicza, która stoi przede mną na półce, gdy piszę te słowa. Mogę ją nawet pani Hirsch podarować i zadedykować, by zasłużyła na zobowiązujące miano „ekspertki od spraw polskich”.

Swoją drogą, jeśli „eksperci” Erika Steinbach widzą jakąś polską „Verwaltung”, która decyduje o losie Niemców już w roku 1944, to konsekwencją takiego stawiania sprawy jest przypisanie „polskiej administracji” wszystkich zbrodni popełnionych na Niemcach pod koniec wojny.

Mutter und Kinder

„Matki i dzieci”. Taki jest tytuł jednej z części wystawy w salach „refleksyjnych”. Zdjęcia przesiedlanych kobiet z małymi, zmęczonymi dziećmi, obok stary wózek dla lalek. A ja natychmiast pomyślałem o tysiącach polskich dzieci w wagonach towarowych, w drodze do Krasnojarskiego Kraju, starym szlakiem polskich Sybiraków – w okresie „wielkiej przyjaźni” niemiecko-sowieckiej lat 1939–1941 i współpracy tych państw, współodpowiedzialnych za wybuch wojny, w wypędzeniach i eksterminacji obywateli państwa polskiego. O dzieciach umierających, odbieranych zrozpaczonym matkom na postojach i wyrzucanych do zaśnieżonych



rowów przy nasypie kolejowym. Przypomniałem sobie rysunki Eugeniusza Grabskiego z Olsztyna, pokazujące śmierć matki z niemowlęciem przy piersi, obok jej 6-letni synek zagubiony i zrozpaczony. Następnego dnia razem z ojcem pochowa ciało matki, ale w nocy syberyjskie wilki rozkopią grób i rozwloką ciało. Chłopczyk będzie szukał po lesie szczątków matki. Frau Steinbach, co pani właściwie wie o wypędzeniach?

* * *

Wypędzenia i ludobójstwo osiągnęły w czasie II wojny światowej swój koszmarny wymiar nie z powodu abstrakcyjnie rozumianego nacjonalizmu, rasizmu i antysemityzmu, który teraz zręcznie się podrzuca innym narodom, lecz z powodu wyboru, jakiego już w latach trzydziestych dokonali Niemcy.

Z wystawy Eriki Steinbach tego się nie dowiemy.

Der Inhaber dieses Ausweises ist aus
Götenhafen ausgewiesen und darf in
diesem Polizeibezirk nicht wieder zurück-
kehren.

Für den Fall der Zuwiderhandlung
werden Zwangsmaßnahmen angedroht.

Götenhafen, den 25. Oktober 1939.

Der Polizeipräsident.

Właściciel niniejszego wykazu
jest wydany z miejscowości
Götenhafen i nie ma prawa po-
wrotu do tutejszego okręgu poli-
cyjnego.

Na wypadek przeciwdziałania
grozi się zastosowaniem środków
przymusowych.

Götenhafen, du. 25. paźdź. 1939 r.

Prezydent Policji.

**Bescheinigung
Zaświadczenie**

Der aus den Ostgebieten evakuierte Pole: Name
Evakuowany z dzielnic zachodnich Polak (ka) Nazwisko

Kostkowska

Vorname *Monika* Beruf *przy matce*
Imię zawód
geboren am *20. 10. 1926* in *Grudziądz*
urodzony d. w
mit Kind geboren am
z dzieckiem urodzonym d.

ist heute hier unter
został(a) z dniem dzisiejszym pod
liata eingetragen worden. Nr. *685* in die Ausländer-
ziemców zarejestrowany (a). na liście dla cudzo-
Lublin, den *30. 11* 194*0*
dnia

Generalgouvernement
Généralgouvernement
Der Statthaltermann der Stadt Lublin
St.osta Góndakt miasta Lublina
Im Auftrage:
Z polecenia:
BRUNO
Beauftragter für Bevölkerungswesen
Interessat für sprachen, soziales
und Fürsorge
i Opiekni Społecznej.

Mit der Entgegennahme der Anmeldung bescheinigt:
Da przeprowadzenia w dniu *30. 11. 1940* w Lublinie:

ZARZĄD
MIEJSKI
LUBLIN

[Signature]
A. BERG
Leiter des Melderebüros
Kierownik biura meldunkowego

Zaświadczenie o wysiedleniu z Gdyni (powyżej). Dotyczyło rodziny Kostkowskich: Anny i jej dzieci: Tadeusza (ur. 1922), Janusza (ur. 1924) i Czesława (1928–1946), których wywieziono do Lublina. Ojciec, gdyński wydawca Wacław Kostkowski (firma „W. Kostkowski – Grudziądz, Gdynia”), ppor. rezerwy WP, ukrywał się. Aresztowany przez Niemców, po ciężkim śledztwie na Zamku Lubelskim 7 IV 1941 r. wywieziony do Oświęcimia, gdzie zginął 17 XI 1941 r. Jego zdjęcie zamieściliśmy w „Biuletynie IPN” nr 6 (65) 2006. Kolejna córka, Urszula (ur. 1930), spędzała wakacje w 1939 r. w Kamieniu Koszyrskim w sowieckiej strefie okupacyjnej, skąd zdołała wrócić do Lublina 30 XI 1941 r. (zaświadczenie obok).

Dokumenty nie pochodzą z wystawy Eriki Steinbach.

Własność: Monika Plutecka

„WYMUSZONE DROGI” POTRZEBNA INNA DYSKUSJA

Berlińska wystawa „Erzwungene Wege” stała się głośna m.in. dzięki polemikom z polskiej strony. Szeroki kontekst decyduje o tym, że może ona niepokoić. Sama treść wystawy natomiast nie powinna budzić zastrzeżeń, bowiem autorzy nie oddalają się od interpretacyjnych standardów europejskiej historiografii. Polska strona winna skoncentrować się na prezentacji własnej interpretacji II wojny światowej, a nie poprzez przesadną krytykę czynić reklamę cudzemu przedsięwzięciu.

W Berlinie prezentowane są obecnie dwie wystawy poświęcone przymusowym wysiedleniom, nazywanym powszechnie „wypędzeniem”. Obie w samym centrum miasta, niemal naprzeciwko siebie, przy historycznej arterii Unter den Linden. Pierwsza z nich pokazywana jest w Deutsches Museum, druga, „Erzwungene Wege”, w Kronzprinz Palast.

Istotny jest związek obu wystaw. Autorami wystawy „Flucht, Vertreibung, Integration” [Ucieczka, Wypędzenie, Integracja] jest zespół historyków związany z Haus der Geschichte [Domem Historii] w Bonn. Jest to instytucja o ogromnym znaczeniu dla kształtowania niemieckiej polityki historycznej, o statusie quasi-oficjalnej reprezentacji stanowiska strony niemieckiej na tym polu. Jej wystawa powstała jako pierwsza, z wyraźnym zamiarem wyprzedzenia tej drugiej, której główną inspiratorką jest fundacja Eriki Steinbach. Choć autorzy wystawy „Flucht, Vertreibung, Integration” nie zdradzali się z tym, w zasadzie publicznie działali z obawy, że interpretacje historyczne Eriki Steinbach wywołać mogą polityczne trudności, wobec czego zdecydowano się narzucić mającej się rozpocząć dyskusji o wypędzeniu określone ramy. Bońska inicjatywa miała też blokować zamiary Bund der Vertriebenen [Związek Wypędzonych] bycia wyłącznym inicjatorem Centrum przeciw Wypędzeniom. W ten sposób rząd niemiecki przejmował inicjatywę oraz kontrolę nad poczynaniami Eriki Steinbach. Ścierały się przy tym dwie linie postępowania. CDU wykazywała znacznie więcej zrozumienia, a nawet popierała Steinbach, w SPD z przerażeniem traktowano jej inicjatywę jako zło konieczne, choć niektórzy znani politycy związani z SPD, jak np. Peter Glotz, aktywnie inicjatywę Steinbach wspierali.

**Erika Steinbach,
polityk, który głosował
w Bundestagu przeciw
traktatowi granicznemu,
nie może być
wiarygodny
dla polskiej strony.**



Strona polska przez długi czas nie doceniała inicjatywy Eriki Steinbach, a polska ambasada, z ambasadorem Kranzem, zachowywała całkowitą bierność. Dopiero nieco później, choć można powiedzieć zbyt późno, strona polska zdobyła się na reakcję, tym razem bardzo żywą i ocenianą przez stronę niemiecką jako przesadzoną.

Tłem dla inicjatywy Eriki Steinbach była i jest dyskusja o niemieckich ofiarach wojny. Jest ona w dużym stopniu efektem debat poświęconych historii NRD. Publiczne dyskusje na temat sowieckich obozów we wschodnich Niemczech, masowych gwałtów kobiet, losów jeńców wojennych i wreszcie działalności Stasi ukazały Niemców jako ofiary prześladowań. Literatura poświęcona bombardowaniom miast niemieckich dopełniała tego obrazu. Tę właśnie atmosferę wykorzystwała Erika Steinbach, upominając się o pamięć o losie niemieckich wypędzonych. Twierdziła ona, że temat ten otaczało swoiste tabu, co w nader niewielkiej części było prawdą.

Wystawa „Erzwungene Wege” nie zawiera żadnych elementów, które mogłyby powodować zasadniczą krytykę ze strony polskiej, po której, od razu dodajmy, istnieje też naturalne zróżnicowanie opinii. Na planszy wprowadzającej do wystawy czytamy:

Ponad 30 narodów Europy straciło w XX wieku w całości lub w części swoją ojczyznę. Wystawa ta dokumentuje wspólne przyczyny i skutki tych przymusowych migracji, ale także zachodzące różnice. Nie dokonuje się porównania rozmiaru cierpienia poszczególnych ofiar. Wystawa przyjmuje, że postulat wspólnoty wszystkich ludzi jest niepodważalny.

Wprowadzanie w życie idei jednolitego państwa narodowego jest jedną z głównych przyczyn wypędzeń grup etnicznych i mniejszości w XX wieku. Rasizm i antysemityzm były obok nacjonalizmu głównymi napędowymi siłami wypędzeń i zagłady.

Liczba ofiar ucieczki i wypędzenia jest w Europie XX wieku wysoka. Historycy mówią o 80 do 100 milionach ludzi. Te liczby opierają się na szacunkach, w których podaje się najwyższe i najniższe dane. Ten brak dokładności ma swoje przyczyny: sprawcy wypędzeń nie mieli powodów, aby dokumentować los swoich ofiar. Często pamięć o ofiarach miała być wytarta ze zbiorowej pamięci. Nawet jeśli nie było to świadomym działaniem sprawców, aby swoje czyny ukrywać, warunki, w jakich dokonywano wypędzeń, nie sprzyjały robieniu dokładnych statystyk.

Historycy sprawdzają te szacunki i spierają się o liczbę ofiar. Liczba jest jednak abstrakcją, która zakrywa czasem cierpienie konkretnego człowieka. Nawet za względnie niską liczbą ukrywać się może jakaś zbiorowa katastrofa.

Jest to tekst niebudzący wątpliwości, z jednym być może zastrzeżeniem. Idea państwa narodowego (które nie musi być tylko jednolite) ma swoją wilsonowską, a nie tylko totalitarną wersję. Dla Europy Środkowej, gdzie narody wyzwalały się spod władzy imperiów, znaczenie państwa narodowego jest z pewnością bardziej zróżnicowane, choć nie pozbawione również ciemnych stron. Czy więc można przypisać tej idei to samo zło, co antysemityzmowi i rasizmowi? Inaczej jest w tradycji niemieckiej, w której idea państwa narodowego była narzędziem ekspansji i ucisku innych, poza krótkim początkowym okresem. Można więc zrozumieć, że niemieccy autorzy wystawy zło przypisują w równym stopniu owej idei.

Wystawa „Flucht, Vertreibung, Integration” jest bez porównania większa i treściowa o wiele bogatsza (dwa piętra w Deutsches Museum) niż ta z naprzeciwnka alei Unter den Linden. Los niemieckich wypędzonych jest jej głównym i zasadniczym tematem. Wstępem do wystawy jest prezentacja brutalnej polityki niemieckiej w okupowanej wschodniej Europie. Ten mocny akcent ustala przyczyny wypędzenia. Ukazanie trudnej powojennej ewolucji śro-

dowiska wypędzonych czyni ją jeszcze ciekawszą. Jest to z pewnością bardzo dobra wystawa, z wieloma przyjaznymi Polsce akcentami.

Ekspozycja „Erzwungene Wege”, zgodnie z cytowanym wcześniej wprowadzeniem, nie koncentruje się na losach niemieckich i przedstawia je jako jeden z wielu przypadków (prezentowane są wysiedlenia Ormian, Turków i Greków, Cypryjczyków, Włochów, Żydów itd.). Przymusowym przesiedleniom Polaków poświęcone jest tyle samo miejsca, co przymusowym przesiedleniom Niemców (poświęca się im każdorazowo około jednej ósmej całości). Odpowiednia plansza poświęcona jest paktowi Hitler-Stalin, brutalnym wysiedleniom Polaków zarówno przez Niemców (łącznie z akcją na Zamojszczyźnie), jak i przez Sowietów. Zwiedzający wystawę ogląda w kolejności najpierw plansze poświęcone czasom wojny, a więc również polskim losom, a dopiero później losom Niemców, co zdaje się pokazywać porządek przyczyn i skutków. Sama treść wystawy „Erzwungene Wege” oglądanej bez szerszego kontekstu nie musi stanowić podstawy sporu między stroną polską i niemiecką. W tym szerszym jednak kontekście istnieje wiele poważnych problemów, jakie z nią się wiążą.

Po pierwsze istotny problem stanowi jej inicjatorka Erika Steinbach. Polityk, który głosował w Bundestagu przeciw traktatowi granicznemu (jako jeden z bardzo niewielu), nie może być wiarygodny dla polskiej strony. Erika Steinbach przedstawia się sama jako wypędzona, gdy tymczasem urodziła się jako dziecko niemieckiego żołnierza w okupowanej Polsce koło Gdyni. Nigdy nie wypowiedziała się w tej sprawie. Widoczna jest tu różnica postawy z prezydentem Niemiec

Horstem Köhlerem, urodzonym podczas wojny na Zamojszczyźnie, który umiał wyrazić ustosunkować się do tego. Występ Eriki Steinbach w polskiej telewizji w wielogodzinnej dyskusji z polskimi historykami znać należy za nieudany i niesłużący polsko-niemieckiemu dialogowi. Pani Steinbach nie tylko nie potrafiła wykorzystać tej szansy i przekonać polskiej publiczności do swych racji, ale przeciwnie – umiała wieloma swoimi sformułowaniami urazić. Kiedy indziej żądała, aby Polakom postawić jako warunek przyjęcia do UE uznanie ich win związanych z wypędzeniem Niemców. Dała tym dowód nie tylko swojej arogancji, ale i niewiedzy o tym, że Polska uczyniła znaczące gesty uznania cierpień niemieckich ofiar wypędzenia. Podobnie nader długo tolerowała w zarządzie BdV osoby żądające od Polski odszkodowań za utracone niemieckie mienie. Polaków może razić też wiele innych wcześniejszych wypowiedzi pani Steinbach. *Summa summarum* pani Steinbach nie jest dla strony polskiej wiarygodna i ma to określone skutki dla odbioru wystawy w Polsce. Ekspozycja może świadczyć, że jej własne poglądy poważnie ewoluowały, nigdy jednak nie przyznała się do tego publicznie.

**Czy „Erzwungene Wege”
spełniają nadzieje
Joachima Gaucka ...
wykreowania bardziej
dojrzałego poczucia
odpowiedzialności
za własną historię?**

Należy przy tym zwrócić uwagę, komplikując ten obraz, że pani Steinbach umiała pozyskać poparcie osób o znaczącym autorytecie i niepodważalnej sympatii dla Polski. Wśród nich są Joachim Gauck oraz znana dziennikarka Helga Hirsch. Ich stanowisko, o ile je właściwie interpretuje, zasadza się na tym, że uznanie przez Niemców swoich własnych ofiar jest dopełnieniem rozrachunku z historią okresu 1933–1945, w żadnym zaś wypadku relatywizacją niemieckiej odpowiedzialności. Joachim Gauck zdaje się więc udzielać wyrazistej odpowiedzi na pytanie, kto był głównym sprawcą niemieckich cierpień – sami Niemcy. W takim kontekście można uznać też inną tezę Helgi Hirsch, że Niemcy, rozpoznając własne ofiary i mówiąc o nich, dokonują niejako koniecznej autoterapii i wymuszone niegdyś poczucie winy przeobrażają w lepsze zrozumienie przyczyn zła, które w Niemczech wzięło swój początek. Gdy mówi ktoś taki jak Joachim Gauck, trzeba tego z pewnością wysłuchać z uwagą, bo porusza on zawsze sprawy ważne i czyni to z wielkim moralnym zaangażowaniem.

Zarazem jednak koncentracja na ofiarach i indywidualnych losach ma niekiedy niejednoznaczne efekty. Taki sposób prezentacji pobudza współczucie widza i przez to lepsze zrozumienie ludzkiego cierpienia, czasem jednak przyczynia się do zagubienia szerszej perspektywy historycznej. Czy „Erzwungene Wege” spełniają nadzieje Joachima Gaucka uleczenia chorobliwego niekiedy niemieckiego poczucia winy i wykreowania bardziej dojrzałego poczucia odpowiedzialności za własną historię? Wystawa jest na to chyba zbyt jednowymiarowa.

Argumenty Joachima Gaucka i Helgi Hirsch nie są do końca przekonujące, ponieważ wątpliwą można, czy dyskusja o niemieckich ofiarach jest w taki sposób, jak oni to ujmują, powszechnie w Niemczech rozumiana, zwłaszcza dyskusja o ofiarach, jakimi są wypędzeni. Uprzednie wypowiedzi pani Steinbach można interpretować niestety zupełnie inaczej, jako takie akcentowanie niemieckich cierpień, które świadomie lub nieświadomie relatywizuje nazistowskie zbrodnie.

Erika Steinbach nie jest jednak, i nie powinna być, głównym problemem dyskusji, jakiej obie wystawy wymagają. Chodzi o sprawy znacznie poważniejsze i dotyczące kształtu europejskiej świadomości historycznej w odniesieniu do tego fundamentalnego faktu, jakim była II wojna światowa.

Koncentrując się na kwestii przymusowych wysiedleń, ustala się świadomie lub nieświadomie określoną hierarchię historycznych faktów. Należy zwrócić uwagę, że pamięć o II wojnie kształtowana jest coraz bardziej poprzez wielkie symbole, a nie pamięć pokolenia świadków. Wielkie przedsięwzięcia wystawowo-muzealne nagłaśniane przez media oraz turystyka, której częścią jest zwiedzanie znanych muzeów i głośnych wystaw, to dzisiaj potężne czynniki kształtowania świadomości historycznej. To one kreują owe wielkie symbole w stopniu o wiele większym niż same debaty historyczne toczone przez zawodowych historyków.

Takim wielkim symbolem II wojny stała się zagłada Żydów – Holocaust. Jest to zrozumiałe. Istotne jest, jakie inne wielkie symbole dołączą do tego pierwszorzędnego znaku. Wydaje się, że masowy mord ludności cywilnej w Europie Środkowej stanowić winien drugi taki symbol. Ten masowy mord był planowany i planowo wprowadzany w życie przez nazistowskie Niemcy. Postępowanie nazistowskich Niemiec na Wschodzie różniło się zasadniczo od ich polityki okupacyjnej na Zachodzie. Tłem tego były m.in. antysłowiański rasizm w Niemczech i głęboko tam zakorzenione od XIX w. między innymi antypolskie stereotypy. Obecnie

są one przedmiotem obiektywizujących badań tak wybitnych polskich historyków jak Hubert Orłowski i Izabela Surynt.

Los Europy Środkowej, w tym los Polaków, jest drugą wielką ikoną tego, czym była II wojna. Dodatkowej wagi temu symbolowi dodaje fakt, że Europa Środkowa i Polska stały się ofiarą obu totalitaryzmów. Wiemy, że w świadomości europejskiej i niemieckiej jest nim tylko w niewielkim stopniu. Jeśli polsko-niemiecka i europejska dyskusja na temat tego symbolu nie będzie zintensyfikowana, to przy obecnym stanie rzeczy drugim wielkim symbolem – po zagładzie Żydów – staną się przymusowe przesiedlenia. Ta wielka tragedia wielu narodów, w tym Polaków, zasługuje na najwyższą uwagę, niemniej w hierarchii symboli nie może przeważać nad mordem ludności cywilnej w środkowej Europie. To właśnie zagubienie hierarchii jest wielkim niebezpieczeństwem. Dodać należy, że dbałość o hierarchię symboli nie jest w żadnym wypadku dzieleniem ofiar na lepsze i gorsze, ponieważ cierpienie musi budzić szacunek jako tragedia niepowtarzalnej osoby ludzkiej. Błędem strony polskiej jest nadmierna koncentracja na krytyce takich pomysłów jak wystawa „Erzwungene Wege”, ponieważ w nieświadomy sposób dodaje się im nieproporcjonalnej wagi.

Dbając o właściwą hierarchię symboli europejskiej pamięci historycznej, należy nie tylko reagować na takie czy inne przedsięwzięcia, ale wziąć aktywny udział w europejskim dialogu przez tworzenie własnych. Owo pytanie o hierarchię symboli dotyka fundamentalnej kwestii współczesnych interpretacji II wojny światowej. Należy zwrócić uwagę, że zbliża się 70. rocznica wybuchu II wojny. Będzie to ostatnia okrągła rocznica wybuchu tej wojny, w której uczestniczyć będą mogli w znaczący sposób świadomi świadkowie tego wydarzenia. Wiemy, jak katastrofalny przebieg miały obchody rocznicy zakończenia wojny w Moskwie w 2005 r. Rocznicą wybuchu wojny winna mieć nie mniejsze znaczenie, choć odmienną niż było to w Moskwie wymowę. Przebieg obchodów w roku 2009 może być decydujący dla ukształtowania tych symboli, które na długi okres decydować będą o europejskiej pamięci związanej z II wojną światową.

Owe wielkie symbole, o których mowa, kształtują dzisiaj wielkie przedsięwzięcia muzealne. To trzeba z całą mocą podkreślić. Jest to obecnie niezbędne narzędzie polityki historycznej. Bez wielkich i wspaniałych muzeów w Nowym Jorku i Jerozolimie prawda o Holocauście nie stałaby się najpewniej takim symbolem, jakim jest obecnie. Podobne muzeum dotyczące II wojny światowej winno stanąć w Polsce i to ono miałoby kształtować jej interpretację. Jeśli Polska pragnie silniej współkształtować europejską pamięć, musi niezbędnie zdobyć się na odpowiednie przedsięwzięcie muzealne i byłoby nim muzeum II wojny światowej. Nikt jeszcze w Europie nie podjął takiej idei. Mogłoby ono zaistnieć w Warszawie obok planowanego muzeum historii Polski.

**Wystawę „Erzwungene Wege”
należy w Polsce rzetelnie i krytycznie recenzować,
ale główny wysiłek trzeba włożyć
w odpowiednią prezentację własnego punktu widzenia
i aktywny, a nie reaktywny udział,
w europejskim dialogu.**

WYSTAWA IPN „UCIEKINIERZY Z PRL”

W Muzeum Ziemi Biłgorajskiej w Biłgoraju zaprezentowano 7 lipca br. wystawę IPN pt. „Uciekinierzy z PRL”. Ekspozycja podejmuje niezwykle interesujący wątek najnowszej historii Polski: przykłady ucieczek Polaków, którzy w latach 1944–1989 postanowili porzucić „raj” stworzony na ojczyściej ziemi przez komunistów.



Prezentowane na wystawie plansze są znakomitym źródłem wiedzy zarówno o funkcjonowaniu granicznych służb PRL, jak i o skali podejmowanych w tamtym okresie ucieczek obywateli na Zachód. Unikalny klimat wystawy tworzą towarzyszące ekspozycji makiety: szlaban graniczny (przy wejściu na wystawę), imitacja budki strażniczej czy tekturowe sylwetki WOP-istów. Wystawę uzupełnia film z archiwalnymi nagraniami rozmów przeprowadzonych z uciekinierami już na Zachodzie. Autorami wystawy są: Monika Bortlik-Dźwierzynska i Marcin Niedurny z OBEP IPN w Katowicach.

EDUKACJA HISTORYCZNO-POLITYCZNA

KONFERENCJA DLA NAUCZYCIELI POLSKICH I NIEMIECKICH - GDAŃSK 8-14 LIPCA

Polacy i Niemcy wspólnie odwiedzili m.in. Pruszcz Gdański, Sopot, Wejherowo – wyieczki stały się okazją do poznania się uczestników. Konferencja rozpoczęła się wykładem prof. Andrzeja Gąsiorowskiego „Stosunki polsko-niemieckie na Pomorzu w XX wieku”. Część warsztatowa odbyła się na terenie Muzeum Stutthof. Uczestnicy prezentowali wybrane zagadnienia dotyczące historii obozu. Za najbardziej przemawiającą, ale zarazem kontrowersyjną, została uznana metoda dramy. Nauczycielka historii z Niemiec wcieliła się w rolę byłego strażnika. Zaznaczyła, że jest rok 1947, przebywa w celi i czeka na proces. Następnie przedstawiła typowy dla funkcjonariuszy reżimu sposób myślenia: wykonywałem rozkazy, jestem niewinny...

Dr Hanna Labrenz-Weiss mówiła o inwigilacji „Solidarności” przez Stasi. Jej wykład poprzedziło wprowadzenie dr. Axela Janowitza (oboje są pracownikami Urzędu ds. akt Stasi). Urząd Bezpieczeństwa NRD utrzymywał w Polsce rezydentów, np. w Gdańsku był nim profesor z Rostocku, który uczestniczył wtedy w seminarium na Politechnice Gdańskiej.

Ciekawą inicjatywę przedstawiła Annegret Ehmann. „Lernen aus der Geschichte” to tytuł przedsięwzięcia, które ma służyć pogłębianiu wiedzy m.in. o II wojnie światowej. W jego ramach realizowanych jest szereg projektów, o których można przeczytać w polskiej mutacji strony: <http://www.uczyc-sie-z-historii.pl>. Konferencję zorganizowali: Muzeum Stutthof w Sztutowie, Regionale Arbeitsstellen für Ausländerfragen, Jugendarbeit und Schule, Brandenburg e.V., Oddział IPN w Gdańsku, Centrum Edukacji Nauczycieli w Gdańsku, Die Bundesbeauftragte für die Unterlagen des ehemaligen Staatssicherheitsdienstes der DDR, Berlin oraz Ministerium für Bildung, Jugend und Sport, Der Beauftragte für Gedenkstätten, Poczdam.



WIZYTA PREZESA IPN W BERLINIE I SOFII 18-20 LIPCA

Prezes Instytutu Pamięci Narodowej Janusz Kurtyka podczas wizyty w Berlinie odwiedził Urząd ds. Akt Stasi i rozmawiał z jego szefową Marianne Birthler. Marianne Birthler podkreśliła, że zarówno jej instytucja, jak i IPN jako największe instytuty tego rodzaju ponoszą wspólną odpowiedzialność wobec Europy, zwłaszcza Zachodniej. Europa musi zaakceptować komunistyczną przeszłość jako ważną część swojej historii. Rozmawiano m.in. o najbliż-



szych wspólnych przedsięwzięciach, jakimi będą październikowe konferencje w Warszawie i Berlinie, oraz o planach konferencyjnych na 2009 rok. IPN i niemiecki Urząd ds. Akt Stasi od ubiegłego roku związane są układem o współpracy.

W Sofii prezes IPN Janusz Kurtyka uczestniczył w międzynarodowej konferencji pt. „Pamięć o przeszłości w imię przyszłości”, poświęconej ujawnieniu archiwów byłych służb specjalnych reżimów komunistycznych. Celem organizatorów spotkania było przyśpieszenie procesu odtajnienia archiwów byłych służb specjalnych w Bułgarii oraz przeciwstawienie się zamiarom wprowadzenia do nowej ustawy podziału między „donosicielami” a agentami, którzy według obecnych władz bułgarskich „pracowali na rzecz państwa”. W konferencji uczestniczyli wysocy przedstawiciele instytucji zapewniających dostęp do archiwów byłych



służb specjalnych Polski, Czech, Słowacji, Węgier, Rumunii i Niemiec, którzy podzielili się doświadczeniami z prowadzonej w swoich krajach lustracji i odtajniania dokumentów bezpieki. Przedstawiona przez Janusza Kurtykę informacja o działalności polskiego IPN została przyjęta z dużym zainteresowaniem. Uznano, że formy pracy IPN są godne naśladowania.

NIEZŁOMNI W CZASACH PEERELU

Wystawa „Chleba i wolności! Niezłomni w czasach PRL-u”, przygotowana przez Oddział IPN w Krakowie, 18 lipca została otwarta na starmiejiskim międzymurzu przy Placu Zamkowym w Warszawie.

– Warszawa i ta wystawa będą przypominać o naszej tradycji i o naszym przebijaniu się do wolności, przebijaniu się bardzo trudnym – mówił podczas otwarcia wystawy marszałek senatu Bogdan Borusewicz. – Chcieliśmy, aby narodowa pamięć nie stała się tylko muzealnym eksponatem (...). Chcieliśmy, aby ta wystawa mówiła do każdego z przechodniów, by pamięć narodowa była pamięcią wołającą do nas, współczesnych – dodał zastępca prezesa IPN Witold Kulesza. W otwarciu wystawy wzięli udział m.in. uczestnicy poznańskiego Czerwca 1956 i ambasador Izraela w Polsce David Peleg.



IPN upamiętnia tą wystawą przypadające w tym roku ważne rocznice z powojennej historii. Kilkanaście plasz zawiera rocznicowe zdjęcia i opisy wydarzeń rozgrywających się w Polsce w latach: 1946, 1956, 1966, 1976, 1981, 1982. Obrazują one kilkudziesięcioletnie zmagania Polaków walczących z komunizmem o wolność i niepodległość – jak podkreślił prof. Jerzy Eisler. Wszystkie zdjęcia opatrzone notami w języku polskim i angielskim, syntetycznie ukazującymi kontekst historyczny przedstawianych wydarzeń.

TWARZE WROCŁAWSKIEJ BEZPIEKI

zostały odsłonięte 22 lipca br. na wrocławskim rynku. Otwarcia wystawy dokonali wiceprezydent miasta Sławomir Najnigier, wojewoda dolnośląski Krzysztof Grzelczyk, dyrektor BEP IPN dr hab. Jan Żaryn oraz dyrektor wrocławskiego oddziału IPN prof. Włodzimierz Suleja. Uroczystość prowadził dr Krzysztof Szwagrzyk, naczelnik miejscowego OBEP IPN.

Wystawie od chwili odsłonięcia towarzyszyło bardzo duże zainteresowanie mieszkańców i turystów przebywających we Wrocławiu oraz mediów. Ekspozycja została zrealizowana przez miejscowy oddział IPN, przy współpracy z Wydziałem Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia w ramach projektu Muzeum Solidarności i Walki z Totalitaryzmem.

W dniu otwarcia wystawy odbyła się również promocja publikacji *Twarze wrocławskiej bezpieki. Obsada kierowniczych stanowisk Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa we Wrocławiu 1945–1990. Informator personalny*, połączona z przekazaniem uczestnikom spotkania bezpłatnych egzemplarzy. Książka została przygotowana przez zespół pracowników Oddziału IPN we Wrocławiu i sfinansowana przez władze Wrocławia.



OBCHODY 61. ROCZNICY OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ

Uroczyste obchody 61. rocznicy obławy augustowskiej z udziałem prezesa IPN dr. hab. Janusza Kurtyki odbyły się 23 lipca 2006 r. w Gibach (pow. sejneński). Organizatorami upamiętnienia tej największej, niewyjaśnionej dotąd zbrodni dokonanej na Polakach po zakończeniu II wojny światowej, byli oprócz IPN, parafia rzymskokatolicka w Gibach, starosta sejneński oraz wójt gminy Giby.



Uroczystości rozpoczęły się mszą św. koncelebrowaną pod przewodnictwem ks. bp. Romualda Kamińskiego, który wygłosił homilię. Po liturgii głos zabrał prezes IPN dr hab. Janusz Kurtyka, który poruszył problem zdrady i współodpowiedzialności funkcjonariuszy UB za zbrodnię dokonaną przez NKWD. Podkreślił też potrzebę wyjaśnienia tej zbrodni. Po wystąpieniu wojewody podlaskiego Jana Dobrzyńskiego ksiądz prałat Stanisław Wysocki zaapelował do IPN i władz państwowych w imieniu rodzin poszkodowanych o odkrycie całej prawdy o obławie augustowskiej i odnalezienie grobów pomordowanych. Uroczystości pod Krzyżem-Pomnikiem zakończyły apel poległych, salwa honorowa i złożenie kwiatów.

W przeddzień uroczystości, 22 lipca, w Domu Pracy Twórczej „Wigry” odbyło się otwarcie wystawy przygotowanej przez OBEP IPN w Białymstoku „Obława augustowska–lipiec 1945 r.” Otwarcia dokonali prezes IPN dr hab. Janusz Kurtyka, dyrektor Oddziału IPN w Białymstoku dr hab. Cezary Kukło, dyrektor Domu Pracy Twórczej Wigry Dariusz Jachimowicz, Jerzy Klimko, prezes zarządu obwodu Suwałki ŚZŻAK, oraz Stanisław Kowalczyk, członek Obywatelskiego Komitetu Poszukiwań Zaginionych Mieszkańców Suwalszczyzny w lipcu 1945 r.

KOLEBKA „SOLIDARNOŚCI”

O POLSKICH KRESACH PÓŁNOCNYCH ZE SŁAWOMIREM CENCKIEWICZEM I GRZEGORZEM BERENDEM ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Będziemy rozmawiać o Pomorzu Gdańskim, jego nieprostej historii najnowszej, związanych z tym osobliwościach i roli, jaką ten region odegrał w polskiej historii, której zwieńczeniem był Sierpień 1980 i narodziny „Solidarności”. Na początek warto wyznaczyć granice geograficzne Pomorza Gdańskiego.

G.B. – Roman Dmowski i działacze polsko-kaszubscy na Pomorzu przed I wojną światową uważali, że w przypadku odrodzenia państwa polskiego w naturalny sposób może ono aspirować do terenów położonych aż po zachodnie granice powiatu lęborskiego czy bytowskiego, o Słupsku już nie myślano. Powiaty bytowski i lęborski wchodziły w skład Rzeczypospolitej w ramach lenna i były zamieszkane w niemałym procencie przez ludność słowiańską, kaszubską. O tym mówiono w 1918 i 1919 r., ale tego projektu podczas konferencji pokojowej w Paryżu nie udało się zrealizować, więc w wyniku negocjacji przyjęto, że Pomorze Gdańskie na północy będą tworzyły powiaty kaszubskie – pucki, wejherowski, kościerski, kartuski, i na południu powiaty kociewskie – między innymi tczewski, gniewski, starogardzki. Stolicą przedwojennego województwa pomorskiego był Toruń. W 1919 r. stało się jasne, że nie uda się do odrodzonego państwa polskiego włączyć najważniejszego ośrodka miejskiego, czyli Gdańska.

B.P. – Jak po odzyskaniu przez Polskę niepodległości po I wojnie światowej przedstawiał się skład etniczny Pomorza, jakie odbywały się ruchy migracyjne i jak wyglądała struktura gospodarcza regionu?

G.B. – Po roku 1920 na Pomorzu Gdańskim mamy sytuację specyficzną pod względem etnicznym. Poszczególne obszary w dość istotny sposób różnią się pod względem struktury etnicznej ludności rodzimej. Przed rokiem 1919 w największych miastach na Pomorzu – Gdańsku, Grudziądzu czy Toruniu – dominowała ludność niemieckojęzyczna, w większości uważająca się za Niemców. Gdy w 1919 r. ustalono, że południowy rdzeń Pomorza Gdańskiego zostanie włączony do państwa polskiego, a specjalny status można przyznać tylko Gdańskowi, rozpoczął się eksodus ludności niemieckiej, w pierwszym rzędzie z miast, na tereny, które miały pozostać w granicach państwa niemieckiego, albo na teren, o którym było już wiadomo, że będzie to obszar Wolnego Miasta Gdańska. Nastąpiło swoiste odniemczenie miast i miasteczek pomorskich, a opuszczająca je ludność po części (nie znamy dokładnych liczb) trafiła do Gdańska. Dla całego Pomorza Gdańskiego możemy przyjąć, że od 1919 do 1931 r. wyjechało ponad trzysta tysięcy osób uznających się za Niemców, niezależnie od religii i wyznania (katolicy, protestanci i żydzi). Co do migracji Polaków czy Żydów polskich z innych obszarów, to dopóki nie ma impetu związanego z rozwojem i budową Gdyni, dopóty nie ma masowego pędu na północ, chociaż nowi ludzie przybywają tu tysiącami.

Na terenie Wolnego Miasta Gdańska w dwudziestoleciu międzywojennym dominowała ludność rodzima przyznająca się do niemieckości. Tak było do 1945 r. W Gdyni do 1 września 1939 r. dominowali Polacy. W elitach innych miast powiatowych – np. w Pucku, Wejherowie, Kościerzynie, Kartuzach czy Starogardzie Gdańskim – przeważała w dwudziestoleciu międzywojennym polska ludność rodzima, niekiedy nawet pochodzenia kaszubskiego czy kociewskiego. Pod względem politycznym największym poparciem miejscowych Polaków cieszyły się partie określane jako centrowe i prawicowe, związane z endecją i chrześcijańską demokracją. Lewica w powiatach kaszubskich i kociewskich miała znikome wpływy, PPS i komuniści byli liczniej reprezentowani tylko w Gdyni. W Gdańsku dominowały partie niemieckie, Polacy mieli niewielu reprezentantów w lokalnym parlamencie (Volkstag) – w przededniu wybuchu wojny było ich zaledwie dwu na siedemdziesięciu dwóch.

B.P. – Zmiana granic z pewnością spowodowała konieczność przegrupowania wojsk.

G.B. – W Toruniu, Grudziądzu, Starogardzie tworzą się polskie garnizony, przybywa tu kadra oficerska i rodziny oficerów. Ale mamy przecież port morski w Pucku, pierwszy port odrodzonej Polski. Przy tworzeniu garnizonów i baz wojskowych, np. bazy samolotowej w Pucku, wykorzystywano dawną pruską infrastrukturę koszarową. Przybywają urzędnicy instytucji rządowych. Cechą polityki państwowej na tym obszarze było popieranie osób opowiadających się jednoznacznie za polsnością tych ziem. Ludność pomorska, kaszubska nie do końca miała taką opinię. Zwłaszcza koła wojskowe z dużą dozą podejrzliwości podchodziły do ludności miejscowej. Pojawił się problem podejrzeń o tendencje separatystyczne. Działacze kaszubscy uważali, że w momencie przyścia suwerenności Polski na ten obszar ludność rodzima powinna odgrywać istotną rolę w strukturach lokalnej administracji państwowej i samorządu lokalnego.

B.P. – Czy byli wśród nich przedstawiciele inteligencji?

G.B. – Na Pomorzu, tak jak w całej byłej dzielnicy pruskiej, najsilniejsze wpływy miało duchowieństwo, które w sposób naturalny pełniło nadal po 1919 r. swoją służbę Bogu i wiernym. Niemcy nie awansowali zdeklarowanych Polaków w ramach struktur administracji, w starostwach czy w urzędach wyższego stopnia. Niemcy, dawni urzędnicy, odpłynęli z Pomorza samoistnie albo na wezwanie swoich przełożonych. Ich miejsce zajmowała wykwalifikowana kadra urzędnicza z innych dzielnic rozbiorowych – z dawnej Galicji, z Królestwa Kongresowego. Między ludnością rodzimą, polską, polsko-kaszubską a ludnością napływową pojawił się antagonizm. Część przybywających na północ Polaków odbierała Kaszubów, mówiących miejscowym dialektem, jako społeczność nie do końca polską, obcą. To byli ludzie ukształtowani przez pruski system oświatowy, pruskie wojsko, przyzwyczajeni często do innych norm zachowania codziennego niż przybysze, wśród których była również kadra oficerska. A był to czas toczącej się na całej ścianie wschodniej wojny. Część kadry oficerskiej zachowuje się tu w sposób nieobyczajny i ludność miejscowa przyjmuje to z ogromnym zgorszeniem.

B.P. – Na czym to polegało?

G.B. – Karty, pijaństwo, korzystanie z usług parń lekkich obyczajów. To działo się w środku miasta powiatowego, a dla lokalnych działaczy niepodległościowych Polska była pewną koncepcją idealną, pewnym tworem lepszym. Miała uczynić z nich społeczność rządzącą, gospodarzy tego terenu. Polska nie była taka i nie mogła być idealna – w warunkach tworzenia struktur państwowych, dobierania kadr do instytucji państwowych. Wszędzie na obrzeżach Rzeczypospolitej pojawiał się problem ustalania tytułów własności do majątku opuszczonego przez Niemców, Rosjan, Austriaków i instytucji państwaborczych. Pojawili się ludzie próbujący wykorzystać tę sytuację, żeby za bezcen albo za drobne pieniądze przejąć ten majątek. Ludzie szukający takiej możliwości na Pomorzu mieli bardzo korzystną sytuację. Oto bowiem władze polskie postanowiły zrównać kurs marki polskiej z Królestwa z marką niemiecką, której siła nabywcza była znacznie wyższa. Jeśli ktoś przyjeżdżał z neseserem marek polskich, to tutaj nie spotykał na ogół Polaka czy Kaszuby, który miał taki sam neseser marek niemieckich. W przetargach na własność ponemiecką przybysze często dysponowali silniejszymi atutami i przejmowali majątek, który ludność rodzima uważała za bardziej jej przystługujący niż komuś obcemu. Kwestia rywalizacji o podział dóbr między miejscowymi a obcymi, czy napływowymi, występuje przez następne ćwierćwiecze. Powstają już wtedy pierwsze pojęcia określające różnicę między ludnością miejscową a napływową, funkcjonujące jeszcze w latach osiemdziesiątych – „bose Antki”, „Galicjanie”. Dotyczyły ludzi przybywających na Pomorze, żeby zdobyć pracę przy budowie Gdyni, która wchłaniała tysiące ludzi niemających kwalifikacji – ubogich, ale zdrowych, zdolnych do ciężkiej pracy fizycznej. Osoby zamożne, wykształcone, tworzyły kadrę urzędniczą, która np. kupowała ziemię i zakładała pensjonaty w nowych ośrodkach wypoczynkowych na wybrzeżu morskim – w Juracie, we Władysławowie czy w Dębku. Po II wojnie pojawia się kolejne pojęcie – „zabugaje”, dla tak zwanych repatriantów, *de facto* ekspatriantów z Kresów Wschodnich, z ziem zaanektowanych przez Sowieci. Przybysze odwdzięczali się miejscowym określeniami typu – „Niemiec”, „kaszub”, „krzyżak” czy „folksdojcz”.

B.P. – Czy w Gdańsku przetrwała do 1920 r. Polonia?

G.B. – Tak. Była to nieliczna inteligencja – dziennikarze, prawnicy, niewielu przedsiębiorców. W dominującej części Polacy i Kaszubi mówiący na co dzień w swoim języku współtworzyli niższe warstwy społeczne – pracowników najemnych, portowych, stoczniowych, drobnomieszczaństwo, rzemieślników. Społeczność przynajmniej do polskości, postępująca się językiem polskim, stanowiła grupę mniejszościową. Niemcy w naturalny sposób dążyli do wykazania jak najmniejszego udziału Polaków w społeczeństwie Gdańska. W dwudziestoleciu międzywojennym i wcześniej polscy demografowie starali się wykazać, że udział ten jest większy. W latach trzydziestych dla Wolnego Miasta Gdańska mamy do czynienia z taką rozpiętością – między dolnym progiem określanym przez Niemców na poziomie około 3 proc. a górnym progiem określanym przez urzędników polskich na poziomie 10 proc. (w czym ponad 50 proc. stanowili Polacy, którzy tu przy-

byli po 1919 r. jako przedsiębiorcy, urzędnicy) – na około 400 tys. mieszkańców, przy czym na Gdańsk przypadało 250 tys. Do dziś nie wiadomo, czy w statystykach dotyczących liczby osób posługujących się językiem polskim uwzględniono też kilka tysięcy polskich Żydów, obywateli Rzeczypospolitej.

B.P. – Jakie miejsce w strukturze społecznej Pomorza zajmowali Żydzi, czy byli poza Gdańskiem?

G.B. – Społeczność żydowska w województwie pomorskim do kwietnia 1938 r. stanowiła znikomy odsetek ludności, bo nie przekraczała czterech dziesiątych procent. Ewenementem była Gdynia, gdzie po 1931 r. społeczność żydowska bardzo szybko się powiększała – o inwestorów, rzemieślników, drobnych kupców przybywających z centralnej Polski, z dawnej Galicji czy z Kresów Wschodnich. W szczytowym momencie wynosiła 4 proc. ludności Gdyni, czyli około 1700 osób. To, że udział kapitału żydowskiego w Gdyni był istotny, widać chociażby po spisach majątku skonfiskowanego przez hitlerowców w latach wojny.

B.P. – Jak wyglądała struktura majątków ziemskich?

G.B. – Największe majątki pozostawały w rękach Niemców. Pewne zmiany nastąpiły w wyniku wyprzedawania majątków przez Niemców emigrujących, ale gros niemieckich ziemian przyjęło jednak obywatelstwo polskie, do czego mieli prawo. Polityka władz polskich zmierzała do wzmocnienia polskich wpływów na kresach północno-zachodnich. W polityce parcelacyjnej zalecano, aby wykorzystywać wszelkie kruczki prawne w celu przejęcia ziemi należącej do Niemców. Jeżeli tylko był jakiś punkt zaczepienia, decyzje administracyjne podejmowano na niekorzyść spadkobierców majątków niemieckich czy Niemców starających się o kupno. I to było skuteczne. W skali całego kraju w ciągu dwudziestu lat areał ziemi w rękach niemieckich zmniejszył się o 51 proc. W jakichś proporcjach miało to miejsce również na północy, co nie pozostało bez wpływu na stosunek ludności niemieckiej do państwowości polskiej. Polacy uznawali to jako wzmocnienie swoich wpływów, Niemcy odbierali to jako formę dyskryminacji. Poczynania polskie w dwudziestolecu międzywojennym były lustrzanym odbiciem poczynań niemieckich z przełomu XIX i XX wieku, ale wszystko to mieściło się w ramach państwa prawa – bez rabunku, wywłaszczeń czy wypędzeń. Atak niemiecki i dwa tygodnie później – sowiecki na Kresach – tworzy dla ziem polskich zupełnie nową sytuację.

B.P. – Kwestie narodowościowe zaczyna się rozwiązywać poprzez rabunek i ludobójstwo.

G.B. – To jest tragiczna zmiana jakościowa, która zapoczątkowała koniec Rzeczypospolitej wielu narodów. Eksodus Niemców z 1919 r. i lat następnych nie był wymuszony polskimi represjami, gwałtem, rabunkami – to była opcja, żeby przenieść się na teren rządzony przez rodaków z nadzieją, że „polskie państwo sezonowe” upadnie i będzie można wrócić

do siebie. Ci, którzy zostali, funkcjonowali do 1 września 1939 r. z szeroką infrastrukturą gospodarczą, kulturalną, społeczną i polityczną, z reprezentacją parlamentarną. Honorowane były ustalenia i normy międzynarodowe oraz konstytucyjne, gwarantujące mniejszościom narodowym równouprawnienie obywatelskie, chociaż tendencja do polonizacji obszarów kresowych, nadgranicznych była stała i występowała od 1920 do 1939 r.

Przychodzi czas wojny, w październiku i listopadzie obszar Wybrzeża został przemianowany na Okręg Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Znalazł się w nim Gdańsk, dawne województwo pomorskie i obszary tzw. rejencji kwidzyńskiej, które w międzywojniu wchodziły w skład Prus Wschodnich. Celem „króla Alberta” – tak potocznie nazywano lokalnego zwierzchnika administracji hitlerowskiej, namiestnika Rzeszy Alberta Forstera – było doprowadzenie do niemiecczenia podległego mu obszaru w jak najszybszym okresie i jak najpełniejszej formie – czyli przede wszystkim usunięcie z tego obszaru polskiej warstwy przywódczej, z Gdańska, Gdyni, miasteczek powiatowych i gmin.

B.P. – Kogo do niej zaliczano?

G.B. – Polska warstwa przywódcza to są zarówno Polacy, którzy napłynęli na Pomorze po odzyskaniu niepodległości, jak i przedstawiciele elit polskich spośród ludności lokalnej. Wszyscy oni – w części już przed wojną – trafili na listy proskrypcyjne, które zostały zresztą uzupełnione po 1 września 1939 r. Było to konsekwencją polityki ponownej germanizacji Pomorza Gdańskiego (*Eindeutschung* – „wniemczenie”). Rozpoczyna się to, czego tuż po kampanii wrześniowej jeszcze nie doświadczyły pozostałe tereny państwa polskiego. Jesienią 1939 r. rozpoczyna się okres eksterminacji trzydziestu kilku tysięcy Polaków i Żydów (wg źródeł polskich, ponad sześćdziesięciu – wg badaczy niemieckich). W setkach przypadków wykonawcami represji i eksterminacji byli członkowie oddziałów tzw. niemieckiej samoobrony (*Selbstschutz*), rekrutujący się spośród lokalnej ludności niemieckiej. Poza tym na Pomorzu działały od września 1939 r. grupy operacyjne, czyli *de facto* grupy likwidacyjne, składające się z funkcjonariuszy różnych hitlerowskich służb specjalnych, m.in. Policji Bezpieczeństwa.

Kryterium likwidacji Polaków była aktywność polityczna na tym terenie w dwudziestoleciu międzywojennym. Specyfiką Pomorza jest to, że hitlerowcy uznają za grupę polonizacyjną na tym obszarze polski kler rzymskokatolicki. W czasie II wojny światowej straciło życie ponad 60 proc. pomorskich księży rzymskokatolickich, zakonników i zakonnice. Eksterminacji podlegali też działacze Polskiego Związku Zachodniego, urzędnicy starostw, gmin, działacze samorządowi, burmistrzowie, radni. Do grupy wrogów niemiecczyzny zaliczani są na Pomorzu w pierwszej kolejności lokalni działacze narodowej demokracji. Ich nazwiska były na listach proskrypcyjnych. Hitlerowcy znali je dzięki działaczom legalnych lub konspiracyjnych ugrupowań hitlerowskich.

W przypadku tzw. polskiej warstwy przywódczej polityka hitlerowców była tragicznie prosta i konsekwentna. Jej przedstawiciele mieli zniknąć, czy to za drutami obozów koncentracyjnych, czy też wymordowani w masowych egzekucjach. Do ustalenia pozostawał sposób postępowania z dominującą liczebnie częścią ludności Pomorza Gdańskiego, która do 1939 r. nie uważała się za Niemców i nimi nie była.

B.P. – Jak rozwiązano tę kwestię?

G.B. – Byli to dawni poddani Hohenzollernów – obywatele państwa niemieckiego – i ich dzieci. Wstępne założenie było takie, że ta ludność pozostanie i trzeba ją zasymilować (*Eindeutschung*). Ale większość ludności miejscowej nie zgłaszała opcji niemieckiej. Dość powiedzieć, że gdy w grudniu 1939 r. przeprowadzono spis ludności na tym obszarze i przy określeniu języka była możliwość podania kaszubskiego jako języka ojczystego, większość osób wybierająca tę opcję zadeklarowała jednocześnie narodowość polską (100 tys.), druga co do liczby grupa – narodowość kaszubską (81 tys.) i zaledwie kilka tysięcy narodowość niemiecką (7 tys.). W marcu 1941 r. przyjęto rozporządzenia o Niemieckiej Liście Narodowej (*Deutsche Volksliste*), dając możliwość zgłaszania opcji niemieckiej ludności słowiańskiej z dawnych Prus Zachodnich. Skala zgłaszania wniosków o wpis na NLN została uznana przez Forstera za niezadowalającą. Dlatego 22 lutego 1942 r. obwieścił, że osoby, które mogą ubiegać się o wpis na NLN, a nie korzystając z tego „przywileju”, zostaną uznane za „najgorszych wrogów narodu niemieckiego”. Na Pomorzu doskonale pamiętano, co to może oznaczać w praktyce. Z jednej strony znacznie zwiększyła się liczba składanych wniosków. Czynili to również żołnierze lokalnych polskich organizacji konspiracyjnych. Według statystyk niemieckich do stycznia 1944 r. warunkowo na NLN wpisano 727 tys. pomorskich Polaków. Z drugiej strony ci, którzy nie chcieli złożyć deklaracji, starali się jak najszybciej przenieść do Generalnego Gubernatorstwa. Tu pojawił się jednak problem polityki Hansa Franka, który już wcześniej sprzeciwiał się kierowaniu na podległy mu obszar Polaków z ziem wcielonych do Rzeszy.

Hitlerowcy nie wszystkich wnioskodawców uznali za „godnych” wpisu na NLN. Część osób uprawnionych, mimo obaw, nie złożyła podań. Poza tym w Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie do końca panowania hitlerowców nadal żyli Polacy przybyli przed 1939 r. z innych regionów, których nie wysiedlono, ponieważ okazali się potrzebni jako siła robocza. Różnorodny status formalno-prawny mieszkańców sprawił, że do końca okupacji udało się na Pomorzu przetrwać 605 tys. Polaków, których z różnych powodów nie wpisano na NLN.

B.P. – Wielu z nich żyło w wielkim ubóstwie.

G.B. – Bo inną formą walki z polskim stanem posiadania był rabunek mienia. Majątek tysięcy polskich i żydowskich rodzin został skonfiskowany. W Generalnym Gubernatorstwie można było przyznawać się do polskości i być kamienicznikiem, ziemianinem czy przedsiębiorcą aż do końca okupacji niemieckiej. Tu, na Pomorzu Gdańskim, było to niemożliwe. Osoba zakwalifikowana jako Polak mogła być – co najwyżej – źle opłacanym, stale nadzorowanym pracownikiem najemnym.

Polityka depolonizacji Pomorza Gdańskiego polegała również na systematycznym rugowaniu z życia publicznego, a nawet prywatnego, języka polskiego. Hitlerowcy usuwali napisy polskie, zlikwidowali absolutnie wszystkie instytucje polskie – gospodarcze, kulturalne, społeczne i oświatowe. Nie było mowy o utrzymaniu szkolnictwa z polskim językiem nauczania. Bodaj najdrastyczniejszym przejawem walki z językiem polskim był



zakaz używania go podczas nabożeństw i innych obrzędów religijnych. Zakazano spowiedzi w języku polskim. Gestapo wysyłało prowokatorów, którzy sprawdzali, czy księża przestrzegają tych przepisów. W Gdańsku pierwsze po 1 września 1939 r. nabożeństwo w języku polskim odbyło się dopiero wiosną 1945 r. w kościele protestanckim, przejętym przez jezuitów, przy dzisiejszej ulicy Mickiewicza.

B.P. – Jakiej konfesji była ludność kaszubska?

G.B. – Na terenie Pomorza Gdańskiego byli to w znakomitej większości katolicy, na zachód od Lęborka i Bytowa – protestanci. To potem determinowało wybory narodowe.

S.C. – Protestantyzm pretendował do miana religii państwowej, protestanci niemieccy uznawali swoją religię za wyznanie niemieckie, narodowe. Przez to byli znacznie bardziej podatni, lub raczej mniej odporni, na doktrynę narodowego socjalizmu.

G.B. – Byli w Gdańsku duchowni protestanccy zafascynowani skutecznością niemieckiego narodowego socjalizmu, pomagający np. w tropieniu osób, których przodkowie byli Żydami, przyjęli chrzest i stali się członkami Kościołów protestanckich. Były specjalne sekcje do przeglądania ksiąg parafialnych pod tym kątem. Na terenie Wolnego Miasta Gdańska gros katolików to byli Niemcy i choć katolicka ludność niemiecka była mniej liczna niż protestanci, były to dziesiątki tysięcy osób, które poszły za Hitlerem.

B.P. – Powiedzmy o miejscowym biskupie, którym był Carl Maria Splett.

G.B. – Problem biskupa Spletta polega między innymi na tym, że jego próby sprzeciwiania się zarządzeniom gestapo prowadziły do aresztowania kolejnych księży. Taki tańcuszek – stawisz opór, my bierzemy następnych. W 1940 r. Watykan upomniął biskupa w związku z rozporządzeniami na temat spowiedzi po niemiecku, ale on złożył wyjaśnienia i Stolica Apostolska przestaje interweniować. Jego argumentacja była taka – mogę to robić, tylko że to będzie kosztowało kolejne ofiary, nie dając żadnego pozytywnego efektu. Hitlerowcy wykorzystali wyjazd biskupa chełmińskiego Stanisława Okoniewskiego z Polski we wrześniu 1939 r. i doprowadzili do powierzenia administrowania jego diecezją właśnie biskupowi gdańskiemu Splettowi, który był do 1945 r. odpowiedzialny za struktury Kościoła katolickiego w obu diecezjach. W 1945 r. nie ewakuował się z armią niemiecką, a po zajęciu Gdańska przez Armię Czerwoną i administrację Rządu Tymczasowego próbował kontynuować wykonywanie swoich obowiązków duszpasterskich. Władze Polski Ludowej przedstawiły go jednak polskiej opinii publicznej jako współwynawcę hitlerowskiej antypolskiej polityki okupacyjnej i doprowadziły w 1946 r. do wytoczenia mu procesu, w wyniku którego został skazany na 8 lat więzienia, a następnie internowany w latach 1953–1956.

S.C. – Był to klasyczny spór między polskimi katolikami a katolikami niemieckimi. Biskup Splett odwoływał się po wojnie do tego, że ratował substancję katolicką, chociaż uważał się, co zrozumiałe, za patriotę niemieckiego (nie można mieć o to do niego pretensji). Uważał Pomorze za terytorium należne Niemcom i nie pogodził się z poczdamskimi rozstrzygnięciami, co pokazuje chociażby jego działalność powojenna, kiedy to duszpasterzował wygnańcom z Gdańska. Broniąc stanu posiadania Kościoła katolickiego w Gdańsku i w diecezji chełmińskiej, którą oficjalnie w grudniu 1939 r. przejął pod nieobecność bp. Okoniewskiego, w polityce personalnej stosował kryteria narodowościowe, bardziej broniąc księży niemieckich przed szykanami nazistów. W kwestii polskich księży, którzy zostali wysiedleni i wywiezieni np. do Dachau, nie protestował. I to jest ten rodzaj polsko-niemieckiego sporu, który wydaje się nierozstrzygalny. Ciągnie się on od czasu wybuchu II wojny światowej, co zapoczątkowało wspomniane już przejście diecezji chełmińskiej. Protestował przeciwko temu polski ambasador przy Watykanie – Kazimierz Papée – oraz sam bp Okoniewski, który w 1939 r. otrzymał od wojewody toruńskiego Władysława Raczkiewicza nakaz opuszczenia diecezji. Biskup Okoniewski nigdy decyzji Stolicy Apostolskiej nie uznał i do końca swych dni (zmarł w 1944 r.) tytułował się biskupem chełmińskim.

G.B. – A jeszcze inna rzecz, jak wykorzystano tę sytuację w relacjach między państwem a Kościołem i „władzą ludową” a Watykanem – to był przecież jeden z pretekstów do wypowiedzenia przez komunistów konkordatu i zerwania stosunków dyplomatycznych.

B.P. – Czy 17 września został tutaj w jakikolwiek sposób odczuty, czy są jakieś ruchy, czy pojawiają się jacyś ludzie, uchodźcy ze Wschodu?

G.B. – To jest problem innego obszaru. Tutaj cezurą jest decyzja Hitlera o wcieleniu Pomorza Gdańskiego do Rzeszy z 8 października 1939 r., wypracowanie koncepcji reorganizacji i depolonizacji tego terenu przez eksterminację, deportacje – np. wypędzenia z Gdyni zapoczątkowane już 12 października 1939 r. – i usuwanie wszelkich przejawów polskości. Jednym z bardziej skomplikowanych i brzemiennej w skutkach problemów było wpisanie ponad siedmiuset tysięcy Pomorzan do tzw. III grupy NLN. Przez Polaków z innych obszarów okupowanej Polski, niezających zasad niemieckiej polityki narodowościowej na Pomorzu, ci wpisani byli tym samym, co folksdojczycy znani z Generalnego Gubernatorstwa, których nie postawiono wobec alternatywy „wpis” lub „uznanie za najgorszych wrogów Rzeszy”.

Podejście władz Polski Ludowej do kwestii wpisów do III grupy NLN było w 1945 r. formalnie znacznie bardziej liberalne niż w odniesieniu do GG. Komuniści przyjęli, że tu odbywało się to pod przymusem, pod groźbą utraty życia, pozbawienia wolności, wywłaszczenia, i trzeba prowadzić inną politykę niż wobec folksdojczyców z GG.

B.P. – Podobnie jak na Śląsku i w Wielkopolsce.

G.B. – Absolutna większość tych wpisanych na listę do grupy III odzyskała bez większego kłopotu obywatelstwo polskie w 1945 r., co nie znaczy, że byli oni traktowani po wojnie podobnie jak Polacy, którzy na tę listę nie zostali wpisani. Imigranci z innych terenów okupowanych traktowali miejscowych Polaków z III grupy i miejscowych Niemców łącznie jako folksdojczyców.

S.C. – Kadry Urzędu Bezpieczeństwa i partyjne stanowili ludzie w większości napływowi. Spotkałem kiedyś ubeka-klawiszka, który przybył do Gdańska z Warszawy, z oślawionego X Pawilonu, i który powiedział mi wprost, że gdy dowiedział się, ile osób tutaj podpisało folkslistę, nie zastanawiał się nad specyfiką regionu. Dla niego wszyscy oni byli kolaborantami i folksdojczami, lub wręcz hitlerowcami. Opowiadał, jaką miał satysfakcję, kiedy doglądał i gnębił w więzieniu bp. Spletta, np. ubierając się z kolegami z bezpieki w jego szaty liturgiczne.

G.B. – W 1945 r. wracających z obozów, z wygnania członków konspiracji niepodległościowej, np. z Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, przyjmowano do lokalnych struktur władzy, do urzędów, ale już w 1946 r. część z tych osób trafia do kazamat UBP. Do 1949 r. zniknęły wszystkie powstałe zaraz po wojnie kaszubskie instytucje kulturalne i społeczne. Awansowanie członków rodzin wpisanych przez hitlerowców do III grupy NLN, przyjmowanie do pracy w instytucjach rządowych i do szkół oficerskich zaczęło się dopiero od przełomu 1949–1950 r., dotyczyło więc osób, które w momencie zakończenia wojny miały lat 15, czyli znalazły się na liście nie na mocy własnej decyzji, tylko za sprawą rodziców. Przynależność do III grupy przez kilkadziesiąt lat utrudniała życie. Aparat bezpieczeństwa obserwował tych ludzi z równym zapałem jak tzw. rewizjonistów, Świadców Jehowy, kler katolicki czy dawnych członków PSL, PPS lub żołnierzy podziemia niepodległościowego.

B.P. – W jakim stanie struktury materialnej wyszło z wojny Trójmiasto?

G.B. – Był niemiecki plan zrujnowania Wybrzeża Gdańskiego tak, aby uczynić je przysłowiową spaloną ziemią, żeby zostawić Armii Czerwonej jak najmniej albo nie zostawić niczego, co mogłaby wykorzystać do prowadzenia wojny. To przewidywał tzw. plan „Ewa”. Zresztą już od wiosny 1944 r. demontowano i wywożono infrastrukturę przemysłową oraz ewakuowano część pracowników zakładów strategicznych wraz z rodzinami. W końcu 1944 r. na Pomorze Gdańskie trafiły masy uciekinierów i wycofujących się oddziałów niemieckich. Do końca kwietnia 1945 r. ponad milion żołnierzy i osób cywilnych drogą morską ewakuowano przez porty Gdańska, Gdyni i Helu.

B.P. – Ile obiektów przemysłowych ewakuowano a ile zostało na pastwę Armii Czerwonej?

G.B. – Nie wiemy do dziś, co i ile wywieźli Sowieci, co i ile zostało zniszczone podczas działań wojennych. Walki o Gdynię, o Gdańsk były bardzo ciężkie i krwawe. Trzeba pamiętać o skutkach działalności artylerii i lotnictwa bombowego amerykańskiego, niemieckiego i sowieckiego. Rozmiary zniszczenia powiększyli Sowieci, którzy już po zakończeniu walk w Gdańsku i innych miastach spalili wiele budynków.

B.P. – Sowieci traktowali Gdańsk jako miasto niemieckie. Tak było też na Śląsku.

S.C. – Z drugiej strony od XIX wieku w sensie kulturowym było to naprawdę niemieckie miasto.

G.B. – Wśród ludności, która tutaj była w momencie wkroczenia Armii Czerwonej, przedstawiciele Polonii stanowili kilka tysięcy osób. Na pewno nie więcej.

B.P. – Co stało się z białymi Rosjanami?

G.B. – Zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy stanowili na terenie województwa pomorskiego i w Wolnym Mieście Gdańsku nieliczne grupy. Przetrwali na miejscu wojnę, bo ich nie kwalifikowano jako wrogów III Rzeszy. Niektórzy byli tu do 1945 r., kiedy Armia Czerwona i sowieckie służby specjalne przystąpiły do wyłapywania „elementów kontrrewolucyjnych i wrogich” – obywateli sowieckich. Ci ludzie, wiedząc, co ich może spotkać, kiedy wrócą do Sowietów, starali się za wszelką cenę uniknąć rejestracji, zmieniali często miejsca pobytu na tyle skutecznie, że oni czy potomkowie białej emigracji rosyjskiej do dziś mieszkają w Trójmieście.

B.P. – Miasta zaludniają się, w wyniku wojny zmienia się struktura ludnościowa miast Wybrzeża.

G.B. – Są kwestie, które nadal wymagają wyjaśnienia. Nie wiemy np., co stało się z dziesiątkami tysięcy gdynian, latem 1939 r. bowiem w mieście zarejestrowanych było około

127 tys. mieszkańców, a w lutym 1946 r. tylko nieco ponad 70 tys. W małych miastach z północnej części Pomorza Gdańskiego dominowała liczebnie ludność rodzima, ta zaliczona do III grupy NLN. Natomiast Niemcy, którzy nie uciekli na zachód, zostali wysiedleni w większości w latach 1945–1947. Tylko stosunkowo nieliczni pozostali w Polsce po 1948 r., na ogół byli to ludzie wyreklamowani od wysiedlenia przez sąsiadów jako przyzwoci, pomagający polskim rodzinom w okresie wojny. Po zakończeniu podstawowej fali wysiedleń ludności niemieckiej na omawianym obszarze zaczęła dominować rodzima ludność polska i dziesiątki tysięcy Polaków przybywających z centralnej Polski i ekspatriowanych z terenów zabużańskich. Ponadto przez województwo gdańskie w latach 1945–1947 przeszło około 3 tys. Żydów. W Gdańsku i w Gdyni mamy sytuację o tyle niezwykłą, że około 50 proc. z nich to osoby, które przetrwały pod okupacją niemiecką na tzw. aryjskich papierach czy w gettach i obozach. To bardzo wysoki procent. Inni przeżyli w Związku Sowieckim. W samym Gdańsku mieszkało w latach 1945–1949 w różnych okresach łącznie co najmniej tysiąc osób pochodzenia żydowskiego. W 1947 r., głównie na tereny wiejskie i sąsiednie, trafiają Ukraińcy z akcji „Wisła”. Wśród ekspatriowanych ze Wschodu byli Karaimi, nieliczni Tatarzy czy Ormianie ze Stanisławowa.

B.P. – Zatrzymano też niemieckich specjalistów.

G.B. – To była kwestia praktycznych problemów – w dużej części dokumentacja infrastruktury komunalnej uległa zniszczeniu, pozostawała wiedza i doświadczenie pracowników niemieckich, którzy ją odtwarzali i uczyli Polaków obsługi urządzeń. W Archiwum Państwowym w Gdańsku niemiecka archivistka pracowała do 1956 r. – była chodzącą encyklopedią wiedzy na temat zasobu aktowego. Wyjechała do Niemiec w ramach tzw. akcji łączenia rodzin. Podobnie było z innymi Niemcami.

B.P. – Trwały dyskusje, czy odbudowywać całe miasto, czy nie.

G.B. – Wiele uwagi poświęcono dyskusjom na temat przyszłego kształtu Gdańska, czy ma to być miasto polskie, nowe pod każdym względem, również architektonicznym, czy też nawiązujące do dawnych tradycji. Zwyciężył pogląd, że trzeba nawiązać do tradycji związków miasta z Rzeczypospolitą. Między innymi dlatego odbudowano Stare Miasto. Zrezygnowano natomiast z prób rekonstruowania całego śródmieścia w kształcie, jaki przyjęło ono w okresie porzbiworowym.

B.P. – Powiedzmy o podziemiu antykomunistycznym na tych terenach.

G.B. – Do Trójmiasta przybyli po wojnie ludzie z obszarów, na których działalność konspiracyjna – antyniemiecka czy antysowiecka – była bardzo intensywna. W części są to konspiratorzy, którzy zacierają za sobą ślad i chcą się na tych nowych terenach „zgubić” tropiącym ich funkcjonariuszom UB. Przybywa kilkadziesiąt tysięcy osób, które poznały pierwszą i drugą okupację sowiecką. Jak już powiedziano, rodzima ludność polska przed wojną popierała głównie endecję i chadecję, a nie lewicę, tym bardziej nie komunistów.

Wszystko to sprawiało, że akcje podejmowane przez komunistów były z ogromną rezerwą przyjmowane przez dziesiątki tysięcy starych i nowych Pomorzaków.

S.C. – Ale to nie znaczy, że oni opowiadali się za czynnym, zbrojnym oporem wobec nowej władzy. Doskonałym przykładem może być piękna postać ks. Zator-Przytockiego, żołnierza i kapelana AK, który zaangażował się w odbudowę Gdańska, a który nie pochwaliał trwania w opozycji w rękach. Podobnie myślał Lech Bądkowski, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, społecznik, literat i pisarz.

G.B. – Byłoby dużym błędem traktowanie wszystkich organizatorów nowych instytucji publicznych na Pomorzu Gdańskim jako zaangażowanych budowniczych komunizmu. Byli to Polacy, którzy próbowali zachować ocalałą substancję materialną i budować zręby bytu narodowego w odzyskanym dla Polski Gdańsku. Trudno przecenić ich wkład w rozwój miasta i regionu. Nowa władza tolerowała niekomunistów z konieczności. Okres bardziej skrupulatnej weryfikacji politycznej kadr miał dopiero nastąpić.

Natężenie terroru wzmożło się w 1946 r., a w 1947 r., podczas wyborów sejmowych, były tu przypadki niedopuszczania antykomunistów do urn wyborczych. Z czasem UBP spacyfikował wszystkie środowiska legalnej opozycji. Przestała ona istnieć. Pod koniec lat czterdziestych powstawały jedynie, tworzone głównie przez młodzież, kilkusobowe grupki oporu, prowadzące akcje ulotkowe. To była młodzież licealna, szkolna, która gromadziła białą broń, nazwy jej organizacji odwoływały się do niepodległości, do symboli narodowych, Orła Białego. UBP na ogół szybko likwidował tego typu organizacje. Niemniej dzięki nim, nawet jeśli ich działalność nie przybrała większych rozmiarów, można powiedzieć, że wystąpienia mieszkańców Pomorza Gdańskiego w latach 1945–1956 przeciw komunistycznej rzeczywistości są udokumentowanym faktem.

B.P. – Jak przebiegał tu rok 1956?

G.B. – Lokalni decydenci późno zareagowali publicznie na toczoną w KC PZPR dyskusję o konieczności dokonania zmian w kraju. Na Wybrzeżu mamy do czynienia z opanowaniem komitetu wojewódzkiego partii przez ludzi, których zaliczano do tak zwanej konserwy. Do ostatniego momentu, do VIII Plenum KC PZPR w 1956 r., mieli oni nadzieję, że to Zenon Nowak będzie dominować w Biurze Politycznym, a nie Gomułka czy ludzie z jego ekipy. Zwycięstwo Władysława Gomułka i oparcie się w pierwszym momencie na tych, którzy chcieli coś zmienić w sposobie rządzenia, spowodowało, że grupa gdańskich partyjnych konserwatystów została odsunięta na boczny tor. Czytając protokoły posiedzeń Egzekutywy KW PZPR z 1956 r., można odnieść wrażenie, że lokalni decydenci partyjni bali się, iż na ich terenie może dojść do takich zdarzeń jak 28 czerwca 1956 r. w Poznaniu. Nie byli pewni, czy MO i inne służby zdołają zapobiec rewolcie społecznej. Ton niepokoju znika dopiero w końcu roku 1957. Mimo wyhamowania procesu zmian, także Wybrzeże doświadczyło trwałych zdobyczy roku 1956. Na wolność wyszła część więźniów politycznych. Mieszkańcy Pomorza mogli odwiedzać krewnych żyjących na Zachodzie i przyjmować ich u siebie. W grudniu 1956 r. nastąpiła reaktywacja społecznej aktywności Kaszubów, co doprowadziło do

powstania struktur organizacyjnych zajmujących się pielęgnowaniem i rozwojem kultury kaszubskiej. Dzięki temu powstało działające do dziś Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie.

B.P. – Miarą tworzenia się jakiejś społeczności, struktury społecznej, jest między innymi uczestnictwo w wielkich ruchach sprzeciwu wobec władzy. Wybrzeże staje się języczkiem u wagi, gdy te struktury już istnieją, np. wielkie środowisko robotników stoczniowych. Rok 1970 jest tego przykładem.

S.C. – Masowe wystąpienia mieszkańców Trójmiasta przeciwko władzy ludowej mają miejsce w 1966, 1968 i 1970 roku. Ale dwa ostatnie z nich uznałbym za wystąpienia w pełni świadome. W 1966 r., podobnie jak w całym kraju, mamy obchody kościelne i obchody państwowe Milenium. Konflikt ten jest niejako naturalny, wygenerowany przez dualizm tych obchodów, w których władze przeciwstawiły chrześcijaństwo – państwowości polskiej.

G.B. – Chociaż można wspomnieć, że w maju 1966 r. doszło w Gdańsku do starć wierzni z MO. Przyczyną było zdemolowanie tablic z hasłem „Nie wybaczymy”, które odnosiło się do słynnego listu biskupów polskich do biskupów niemieckich z poprzedniego roku. Uczestnikami starcia przy Dworcu Głównym PKP byli wierni wracający z Mszy świętej w kościele Mariackim. Milicja zatrzymała kilkadziesiąt osób. Były to pierwsze po dwudziestu latach starcia mieszkańców miasta z siłami porządkowymi.

B.P. – Jak przebiegał na Wybrzeżu Marzec 1968 r.?

S.C. – Apogeum nastąpiło 15 marca, kiedy to w okolicach Politechniki Gdańskiej doszło do największej manifestacji marcowej w całej Polsce. Ponad 20 tys. ludzi dosłownie „prało się” z milicją, SB i wojskiem. Na miejsce manifestacji zwieziono „aktyw robotniczy”, lecz ten przeszedł na stronę młodzieży.

G.B. – To byli m.in. członkowie POP z różnych stoczni, poza łańcuchami wyposażono ich w pocięte kawałki grubych kabli. Ustawiono ich szpalerami, żeby wypełniali luki między zorganizowanymi formacjami bezpieczeństwa, ZOMO czy SB, byli tam też rozproszeni liczni oficerowie WP. To, że przeszli na stronę studentów, to jest jedna rzecz, a część, gdy milicja puściła gaz łzawiący, rzuciła te narzędzia i uciekła do domu. Ci szeregowi członkowie PZPR to nie byli ludzie nadający się do masakrowania demonstrantów. Tak do końca nie wiemy, w jakim stopniu o tak masowym charakterze manifestacji w okolicach Politechniki zdecydowało umieszczenie jej w bardzo specyficznym miejscu Gdańska. Tam krzyżują się drogi tramwajowe i szybkiej kolei miejskiej na osi północ–południe i wschód–zachód, które rozwożą ludzi po pracy do podmiejskich osiedli „sypialni”. W godzinach popołudniowych stanęła komunikacja w tym węzłowym punkcie. Wytworzyła się sytuacja taka, że wiele tysięcy ludzi, czasami mimowolnie, znalazło się w jednym czasie w jednym miejscu. Ciekawą rzeczą jest to, że inicjatywa zwołania wiecu i protestu wyszła z kręgów studenckich, natomiast gdyby spojrzeć na informacje o strukturze zatrzymanych, a później ukaranych przez kolegia ds. wykroczeń i sądy, to wśród tych zatrzymanych dominu-

ją robotnicy, nie studenci. Czyli głównymi ofiarami stali się młodzi, najczęściej, robotnicy stoczniowi i portowi.

S.C. – I tu rzecz zastanawiająca. Otóż po Grudniu '70 pamięć gdańskiego Marca, choćby tej wielkiej manifestacji, została właściwie całkowicie wymazana. Nie ma żadnych odwołań do 1968 r., nawet w publikacjach środowisk opozycyjnych, a przecież dwie ważne postaci gdańskiego antykomunizmu – Bogdan Borusewicz i Andrzej Gwiazda – były aktywnymi uczestnikami Marca '68. Na tym przykładzie widzimy, jak ważnym i niesamowitym wstrząsem był dla Trójmiasta Grudzień '70. To było coś zupełnie niespotykanego wcześniej – otwarty konflikt z władzą i masakra na ulicach Gdyni i Gdańska, to wstrząsnęło całym społeczeństwem.

S.C. – Co ciekawe, uczestnicy tych protestów są słabo reprezentowani w środowiskach antykomunistycznej opozycji po 1976 r. Jak popatrzymy na skład personalny tych środowisk, to np. z aktywnych „grudniowców” mamy jedynie Kazimierza Szołocha, a od 1978 r. Annę Walentynowicz i nieco później Lecha Wałęsę.

B.P. – A gdzie są pozostali uczestnicy i liderzy Grudnia 70?

S.C. – Nieco na obrzeżach głównego nurtu znalazł się Henryk Jagielski, ważna postać strajku i protestu grudniowego w Stoczni Gdańskiej. Reszta raczej nie ma wielkiej ochoty angażować się w cokolwiek. Myślę, że – niestety – nad wszystkim zaciążyło zdecydowanie i bezwzględność władz, w tym SB, która po 1970 r. zorganizowała gigantyczną, największą w historii PRL na Wybrzeżu i jedną z największych w kraju – operację „Jesień 70”. W okresie 1970–1980 SB policzyła i zewidencjonowała – na podstawie donosów agentury, techniki operacyjnej, taśm i fotografii – większość aktywnych uczestników rewolty grudniowej. Prawie 1000 osób wyselekcjonowano do aktywnego rozpracowania. Inwigilowano wszystkich, nie wyłączając rodzin uczestników Grudnia. Niektórych z nich, jak np. pracownika Wydziału W-4 Józefa Szylera, po prostu zmuszono razem z rodziną do opuszczenia województwa gdańskiego. Opisywano i zdejmowano z grobów wiązanki kwiatów, liczono świece, charakteryzowano zadumanych nad grobami ludzi. Było tak praktycznie aż do Sierpnia '80. Wówczas pojawiły się nowe problemy i pamięć o Grudniu '70 nie była już tak ważna dla SB. Dla rodaków w głębi kraju nie jest to takie oczywiste, że Grudzień '70 stanowi na Wybrzeżu ważną cezurę. Społeczność Trójmiasta niejako odzyskała wówczas świadomość społeczną, polityczną i narodową.

B.P. – A jakie były wówczas postawy młodzieży?

S.C. – Trójmiejska młodzież stanowiła fenomen w skali całego kraju. Uczniowie i absolwenci LO nr 1 w Gdańsku, którzy w drugiej połowie lat siedemdziesiątych utworzą środowisko młodopolskie, są coraz bardziej świadomi i aktywni. Już na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych świadomie wybierają antykomunizm, są na ulicach Gdańska w 1968 r. i 1970 r., angażują się w duszpasterstwo akademickie o. Ludwika Wiśniew-



skiego OP, później o. Bronisława Sroki SI, dyskutują o Piłsudskim i Dmowskim, o Katyniu, o Kościele, krytycznie spoglądają na ruch dysydencki jako metodę wychodzenia z komunizmu. W 1971 r. Arkadiusz Rybicki, Aleksander Hall, Jan Samsonowicz i inni organizują różne akcje sabotażowe – oblewanie farbą tablic partyjnych, pisanie na murach.

B.P. – System ma już trochę zmurszałe fundamenty, wchodzimy w okres ogromnych kłopotów gospodarczych, cała późniejsza dekada pokazuje, że system jest niewydolny. A rok 1970 dowodzi, że wielkie środowiska przemysłowe, zintegrowane pamięcią wspólnych manifestacji, są potencjalnie bardzo groźne. Zaczyna się ze strony władzy kokietowanie tych środowisk – propagandowe, czysto zewnętrzne. Wtedy najważniejszy z punktu widzenia władzy jest Śląsk oraz Wybrzeże.

S.C. – Jeśli chodzi o Wybrzeże, to było to dość skuteczne. Np. w 1976 r. w Gdańsku nie było jakichś znaczących wystąpień. Był strajk w Stoczni Gdańskiej, wyrzucono trochę ludzi z pracy, ale jakiejś większej ruchawki społecznej nie było. Gierek, kiedy po raz pierwszy pojawił się w Gdańsku w końcu stycznia i w czerwcu 1971 r., był tutaj fetowany. Co prawda, w pierwszej połowie 1971 r. często wybuchały strajki, ale były dość skutecznie wygaszane przez dyrekcję i partię, nie bez pomocy SB. Wydaje mi się, o czym już wspominałem wcześniej, że zadecydował strach. Ludzie chcieli spokojnie pracować, godnie zarabiać, ale twardo domagali się upamiętnienia poległych w 1970 r. i ukarania winnych masakry grudniowej. Proszę sobie wyobrazić, że nawet zakładowe organizacje partyjne, przy wsparciu niektórych kół z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, angażowały się wówczas w proces upamiętnienia Grudnia '70. To partia i dyrekcja zakładu w 1971 r. i 1972 r.

składa wieńce pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Kilka lat później, począwszy od 1977 r., kiedy organizowane były niezależne obchody grudniowe w tym samym miejscu, są one brutalnie pacyfikowane i likwidowane.

B.P. – I te miejsca niebezpiecznie utrwały się w świadomości zbiorowej. Jedną z konsekwencji 1970 r. był strach ludzi sprawujących władzę na szczeblu lokalnym. Świadomość i obawa, że gwałtowny protest prowadzący do przelewu krwi ma też inną konsekwencję – wymianę ekipy rządzącej, bo trzeba wskazać odpowiedzialnego. Oni wiedzieli, że kolejny kryzys może stać się przyczyną utraty stanowiska i władzy.

S.C. – Zakładowe komórki partyjne domagały się pociągnięcia do odpowiedzialności winnych Grudnia '70 – w strukturach państwowych i partyjnych. Są protokoły z posiedzeń POP i komitetów zakładowych, na których „partyjniacy” domagają się od KC PZPR pociągnięcia winnych do odpowiedzialności. Padają nawet nazwiska. Gdańska PZPR wiedziała wówczas, że pamięci Grudnia wymazać się nie da, że zapadł on głęboko w świadomość mieszkańców Wybrzeża.

B.P. – Proszę powiedzieć o dwóch fenomenach Trójmiasta – Ruchu Młodej Polski i Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża.

S.C. – Fenomen Ruchu Młodej Polski to przede wszystkim koncepcja budowy środowiska jednopokoleniowego, świadomie antykomunistycznego, czerpiącego z przeszłości, ale spoglądającego ku przyszłości. Byli zafascynowani Dmowskim i endecją, ale był to dla nich punkt wyjścia do dalszych poszukiwań. Analizując historię polskiej myśli politycznej, młodopolacy doszli do wniosku, że nowoczesna polska formacja prawicowa winna uwzględniać dorobek endecji, oprzeć się na wartościach katolickich, ale też zająć postawę jednoznacznie wolnorynkową. Można powiedzieć, że środowisko to fascynuje się endecją, ale w wymiarze z przełomu XIX i XX wieku, czyli tą, która jako ruch narodotwórczy stawia sobie za cel uświadomienie Polaków, budowę społeczeństwa obywatelskiego. Młodopolacy odrzucali natomiast wszystkie zabobony endecji okresu międzywojennego – etatyzm, skrajny nacjonalizm i antysemityzm. Po endecji odziedziczyli też kółka samokształceniowe. Wykonywali gigantyczną robotę uświadamiającą, zapraszali gości, organizowali spotkania, wykłady z historii Polski itd. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych na prawicy taka postawa należała jednak do wyjątków.

B.P. – A czy w większości nie są to historycy, uczniowie tego samego profesora?

S.C. – Coś w tym jest. Sam jestem wychowankiem profesora Romana Wapińskiego, i choć studiowałem w zupełnie innej epoce (w wolnej Polsce), mogę sobie jednak wyobrazić, jaka atmosfera panowała na jego seminariach. Z tej „burzy mózgów” wyłoniło się wielu młodopolaków – Aleksander Hall, Arkadiusz Rybicki, wcześniej Tomasz Wołek i Jan Samsonowicz, Antoni Wręga, Andrzej Jarmakowski. Profesor, choć do 1980 r. był w partii i nie angażował

się nigdy w działalność opozycyjną, dawał jednak azyl ludziom szukającym czegoś więcej niż tylko dyplomu ukończenia studiów. W humanistyce okresu PRL to było już coś konkretnego.

B.P. – Byli jacyś inni nauczyciele?

S.C. – W pełnym tego słowa znaczeniu nauczycielem polityki dla młodopolaków we wczesnym okresie kształtowania się środowiska był na pewno Leszek Moczulski. W odróżnieniu od reszty naszych opozycjonistów dostrzegał znaczenie geografii politycznej – geopolityki. Kiedy wszyscy, zwłaszcza w Warszawie, debatowali o dysydentach, zakresie działania wewnętrznej opozycji czy nawet represjach, to Moczulski mówił o Polsce jako elemencie gry na wielkiej szachownicy międzynarodowej polityki. Niezależnie od ujawnienia faktu jego współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa w latach siedemdziesiątych, trzeba mu to oddać.

B.P. – Nieco późniejszą, także lokalną, choć jednak o fundamentalnym znaczeniu dla dziejów oporu społecznego inicjatywą, były Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża.

S.C. – Fenomen WZZ Wybrzeża wziął się z pewnego rozczarowania środowiskiem warszawskim, które – jak mówiono w Trójmieście – nie docenia środowiska robotniczego. Nikt tu nie kwestionował tego, że warszawiacy pomagali represjonowanym, natomiast zastanowienie budził fakt, że tak niewielu z robotników represjonowanych w 1976 r. zasilalo szeregi opozycji. W przekonaniu jednego z założycieli WZZ, Krzysztofa Wyszkowskiego, wynikało to z pewnej niechęci korowskiej inteligencji do ludzi z nizin społecznych, robotników z prowincji. Coś w tym jest. Nieprzypadkowo to „stolarz-intelektualista” (określenie SB) Wyszkowski wychodzi z koncepcją WZZ, w których widzi załączek polskich „trade unionów”, charakterystycznych dla ustroju wolnorynkowego. Koncepcję tę przeciwstawiał idei komisji robotniczych, którymi fascynował się jego serdeczny kolega z Warszawy Jacek Kuroń. Gdańszczanie uważali, że robotnicy to potencjał, to ci ludzie, od których zależy koniec komunizmu. Przykładem niech będzie Bogdan Borusewicz, który na własną rękę, zanim jeszcze poznał braci Wyszkowskich (Błażej był działaczem SKS i WZZ) i małżeństwo Gwiazdów, dociera do osób zwalnianych z pracy po 1976 r., próbuje też odnaleźć aktywnych w Grudniu '70. A więc niezależnie od siebie uważali oni, że to robotnicy mają stanowić bazę do prowadzenia działalności politycznej, ale nie na zasadach podporządkowania i wykorzystania. Przykładem niech będzie Antoni Sokołowski, spawacz, bardzo prosty człowiek, który podpisał deklarację założycielską WZZ. Wkrótce później został zaszczyty przez SB, grożono mu, że jego córce może się stać coś niedobrego. Wycofał się, niedługo potem zmarł. Inny przykład to dwudziestoletni Tadeusz Szczepański, kierowca, działacz i kolporter WZZ z „Elektromontażu”, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Należał do grupy Lecha Wałęsy. Są „młode chłopaki” od druku i kolportażu – Andrzej Butkiewicz, Leszek Zborowski i Jan Karandziej. Czy wreszcie Anna Walentynowicz – suwnicowa ze Stoczni Gdańskiej, która zaczęła publikować artykuły w „Robotniku Wybrzeża”, piśmie WZZ. Razem z nimi jest w WZZ inżynier Andrzej Gwiazda i doktor Lech Kaczyński, pracownik Uniwersytetu Gdańskiego, specjalizujący się w prawie pracy, który poświęcał swój czas na porady prawne dla działaczy WZZ.

B.P. – Kiedy spotykają się WZZ i RMP?

S.C. – Właśnie, jeden z fenomenów tego miejsca polega też i na tym, że oni wszyscy współpracują na co dzień, spotykają się. Warto w tym miejscu powiedzieć o ważnej postaci trójmiejskiej opozycji, bez której ten pejzaż byłby niepełny – Tadeuszu Szczudłowski. Pochodzi ze Lwowa, z domu o tradycjach żołnierskich, niepodległościowych. Dla niego walka z komunizmem to przedłużenie Polski Walczącej. Nawet myślał o wojskowej karierze w PRL, ale został wyrzucony w latach pięćdziesiątych z Marynarki Wojennej. Jemu marzyły się Szare Szeregi. Środowisko, z którym wiąże pewne nadzieje, to „Ruch”, a później ROPCiO. Jego krąg to Andrzej Czuma, Marian Gołębiewski, Leszek Moczulski, generał Abraham i inni. Prowadził w domu punkt konsultacyjny ROPCiO. Młodzież młodopolska, niejako pod jego bokiem, tworzy w Gdańsku młodzieżówkę ROPCiO. Szczudłowski to wolny strzelec, zapraszał do siebie wszystkich, działaczy WZZ, ROPCiO i RMP.

B.P. – W jaki sposób ze sobą współpracowano?

S.C. – Przy organizowaniu manifestacji. W tej sprawie nastąpił swego rodzaju podział kompetencji – obchody 3 Maja i 11 Listopada znalazły się w gestii RMP; Grudzień '70 – to była domena ludzi z WZZ. Ale na wszystkich tych imprezach są razem. Jak popatrzymy na listy osób przewencyjnie zatrzymywanych przed 3 Maja, 11 Listopada czy rocznicą Grudnia, to na nich są wszyscy, bo wszyscy uczestniczyli w tych obchodach. Nie gardzono żadną z tych tradycji, bo wszyscy tu myśleli o niepodległości. Nieprzypadkowo wśród działaczy opozycyjnych w Gdańsku nie ma żadnej osoby, która wywodziłaby się z kadry PZPR. Nie ma tu nawróconych aparatczyków.

G.B. – Są jednak osoby, które przychodzą z różnych środowisk, ocierają się o tę ofertę socjalizmu dla prostych ludzi, a potem, widząc, że to jest załgane, rzucają to. Klasycznym przykładem jest Anna Walentynowicz, która była robotnicą. Przecież ona do 1956 r. czy może nawet dłużej wierzyła, że to jest ustrój dla takich ludzi jak ona.

S.C. – Była w ZMS, ale w partii nigdy nie była, choć wielokrotnie ją nagabywano, by wstąpiła do PZPR. Była religijna, to bardzo ważne.

G.B. – I udzielała się w Lidze Kobiet. Więc w przypadku wielu osób nie było negacji, odrzucenia *a priori* ustroju stworzonego przez komunistów. A Anna Walentynowicz we wczesnej młodości pracowała jako pomoc domowa u ludzi, którzy ją okropnie wykorzystywali. Gdy została potraktowana jak „obywatel”, to przyjęła to jako coś pozytywnego. Nie zważając na to, że jej brat został zakatowany gdzieś w głębi Rosji przez Sowieców.

S.C. – Tak, ale w Grudniu 1970 r. nie tylko powiedziała „nie” komunistom, ale zaangażowała się w walkę z komuną. W 1978 r., kiedy powstały WZZ, była już bardzo świadoma, jak prawie wszyscy w WZZ.

B.P. – Powstanie „Solidarności” na Wybrzeżu nie było przypadkiem, ale konsekwencją. Ona musiała tu powstać, właśnie dlatego, że tu były WZZ, a one musiały tu powstać dlatego, że tutaj był Grudzień '70.

S.C. – Fenomen Sierpnia '80 był fenomenem WZZ. Szef MKS jest z WZZ, główny negocjator i strateg, bez którego nie byłoby porozumienia w takim kształcie – Andrzej Gwiżdża – również. W prezydium MKS byli ludzie z WZZ (np. Alina Pieńkowska i Anna Walentynowicz), w poligrafii stoczniowej i nie tylko olbrzymią rolę odgrywał Krzysztof Wyszkowski, na zapleczu strajków i MKS był świetny organizator Bogdan Borusewicz. W Gdyni jest Andrzej Kołodziej, też działacz WZZ, który mając 19 lat, przepracował w Stoczni Gdynińskiej jeden dzień, a „podpalił” stocznię i stanął na czele strajku.

G.B. – I tu nie ma mowy o przypadku, bo to są ludzie nękani przynajmniej od dwóch lat. I mimo tej presji nie poddali się, zostali w pełni ukształtowani przez wcześniejsze wystąpienia, nawet jeśli miały one charakter przypadkowy. Uczestnictwo w tym wszystkim było dobrym przygotowaniem, kilkuletnim. W momencie próby, konfrontacji – zdają egzamin.

S.C. – W krytycznym momencie – 16 sierpnia – oni wiedzą, jak tym kryzysem pokierować. Strajk ratują trzy kobiety z WZZ – Anna Walentynowicz, Alina Pieńkowska i Maria Osowska. Wszystkie z WZZ. I wreszcie czasy nam współczesne – na trzech prezydentów wolnej Polski dwóch to WZZ-owcy – Lech Wałęsa i Lech Kaczyński. To również o czymś świadczy. Marszałek Senatu – z WZZ, Marszałek Sejmu – choć nie z Gdańska, to jednak z RMP, który powstał w Gdańsku itd.



Grzegorz Berendt – ur. 1964 r., doktor, historyk, adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Gdańskiego. Zajmuje się badaniami nad historią Żydów w Polsce w XX w. i dziejami Pomorza Gdańskiego w tym samym okresie. Autor 50 publikacji naukowych, m.in. *Żydzi na terenie Wolnego Miasta Gdańska w latach 1920–1945* (1997), *Żydzi na gdańskim rozdrożu 1945–1950* (2000); wraz z Augustem Grabskim współautor książki *Między emigracją a trwaniem. Syjoniści i komuniści żydowscy w Polsce po Holocauście* (2003); autor rozdziałów dotyczących lat 1920–1989 w pracach zbiorowych *Historia Pucka* (1998), *Dzieje Krokowej i okolic* (2002).



Sławomir Cenckiewicz – ur. 1971 r., doktor nauk humanistycznych, w latach 2003–2005 pracownik Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego; w latach 2001–2006 pracownik naukowy OBEP IPN w Gdańsku, obecnie w BUiAD IPN w Warszawie. Specjalizuje się w dziejach polskiej emigracji politycznej, Polonii amerykańskiej i opozycji antykomunistycznej w PRL. Stypendysta Free Speech Foundation w Chicago. Opublikował m.in.: *Oczami bezpieki. Szkice i materiały z dziejów aparatu bezpieczeństwa PRL* (2004); *Tadeusz Katelbach (1897–1977). Biografia polityczna* (2005).

PIOTR SEMKÓW, IPN GDAŃSK

MARTYROLOGIA POLAKÓW Z POMORZA GDAŃSKIEGO W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ



Wybuch II wojny światowej i rozpoczęcie na terenie Pomorza Gdańskiego¹ okupacji niemieckiej pociągnęło za sobą uruchomienie aparatu represji wymierzonego przeciwko ludności polskiej². Realizacja polityki eksterminacyjnej przejawiała się w wielu masowych lub pojedynczych zbrodniach na mieszkańcach i dotyczyła wszystkich warstw społecznych Pomorza.

Już w maju 1939 r. w centrali służby bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst – SD*) w Berlinie utworzono specjalny referat, który prowadził spis Polaków przewidzianych do aresztowania i likwidacji. Nazwiska umieszczano w specjalnym wykazie w formie książki-notatnika (*Sonderfahndungsbuch Polen – SFB*)³.

W celu poszukiwań osób znajdujących się na listach proskrypcyjnych (osoby ścigane listem gończym, emigranci, miejscowi, którzy mogli przeciwstawiać się środkom stosowanym przez władze niemieckie) rozkazem Reinharda Heydricha pod koniec sierpnia 1939 r. utworzono pięć specjalnych grup operacyjnych policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa (*Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienst – EG*), w których skład wchodziły oddziały operacyjne (*Einsatzkommando der Sicherheitspolizei – EK*). Po rozpoczęciu działań wojennych grupy te podlegały jednocześnie:

- dowództwom poszczególnych armii Wehrmachtu,
- Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA – Reichssicherheitshauptamt*).

Operacyjnie teren Pomorza znajdował się w działaniu EG-IV i EG-V, natomiast po opuszczeniu Pomorza przez obie grupy na ich miejsce weszło EK-16⁴. Dodatkowo do wielorakich działań użyto również utworzonych przed wybuchem wojny oddziałów *SS-Wachsturmbann Eimann*⁵. Zadaniem jednostki było zajęcie po wybuchu wojny polskich punktów oporu na te-

¹ Pomorze weszło w skład okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie w granicach z dnia 1 IX 1939 r.

² Na temat martyrologii Polaków na Pomorzu powstało wiele publikacji zwartych i cząstkowych. Wystarczy wspomnieć: W. Jastrzębski, J. Sziling, *Okupacja hitlerowska na Pomorzu Gdańskim w latach 1939–1945*, Gdańsk 1979; B. Bojarska, *Piaśnica. Miejsce martyrologii i pamięci. Z badań nad zbrodniami hitlerowskimi na Pomorzu*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1978; W. Jastrzębski, *Polityka narodowościowa w okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie (1939–1945)*, Bydgoszcz 1977; P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy wobec ludności polskiej na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska w latach 1939–1945*, Toruń 2001; *Stutthof. Hitlerowski obóz koncentracyjny*, pr. zb., Warszawa 1988.

³ Jak podaje A. Męclewski, w SFB z roku 1939 r. znajdowało się „ponad 11 tysięcy nazwisk, w tym 290 nazwisk z terenu Wolnego Miasta Gdańska (2,5% poszukiwanych), 53 nazwiska z Gdyni i 56 nazwisk z Tczewa [...]. Z rejonu Bydgoszczy poszukiwano 272 osoby”. Niestety, mimo podjętych przez IPN działań nie udało się dotąd znaleźć SFB z pierwszego okresu wojny z taką liczbą nazwisk. Na razie więc weryfikacja liczb podanych przez A. Męclewskiego jest niemożliwa. Zob. A. Męclewski, *Neugarten 27. Z dziejów gdańskiego gestapo*, Warszawa 1974, s. 40.

⁴ W sierpniu 1939 r. do oznaczeń grup operacyjnych stosowano nazwy miejscowości. Od 4 IX 1939 r. zaczęto je oznaczać cyframi rzymskimi. I tak: EG I-Wien – dowódca SS-Brigadeführer Bruno Streckenbach, EG II-Oppeln – dowódca SS-Obersturmbannführer dr Emanuel Schäfer, EG III-Breslau – dowódca SS-Obersturmbannführer dr Hans Fischer, EG IV-Dramburg – dowódca SS-Brigadeführer Lothar Beutel, EG V-Allenstein – dowódca SS-Brigadeführer Ernst Damzog. Dowódcą EK-16 był SS-Obersturmbannführer dr Rudolf Troeger, który w latach 1938–1939 jako Regierungsdirektor był szefem policji kryminalnej Wolnego Miasta Gdańska. Szerzej na ten temat zob. K. Leszczyński, *Działalność Einsatzgruppen policji bezpieczeństwa na ziemiach polskich w 1939 r. w świetle dokumentów*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich” 1971, t. XXII, s. 7–30; A. Męclewski, *Neugarten 27...*, s. 40.



Lasy piasńnicke – kopanie grobu

renie Gdańska, następnie udział w działaniach pacyfikacyjnych w powiatach: starogardzkim, kościerskim, kartuskim i wejherowskim, wysiedlenie mieszkańców z dzielnic Gdyni. Ostatnie przedsięwzięcie spowodowało „konieczność zatrzymania licznych więźniów cywilnych. Do tego celu utworzono obozy: w Nowym Porcie, Stutthofie i Grenzdorfie [Graniczna Wieś] [...]. Liczba uwięzionych w tych obozach wynosi dzisiaj [9 I 1940]: obóz w Nowym Porcie – 3000 więźniów, obóz w Stutthofie – 100 więźniów, obóz w Grenzdorfie – 350 więźniów oraz 700 więźniów, którzy pracują jako siła pomocnicza na roli”⁶.

Jak podaje Konrad Ciechanowski, od 1 września 1939 r. do marca 1940 r. na terenie Pomorza powstało kilkadziesiąt obozów dla ludności polskiej. Były wśród nich obozy dla jeńców wojennych oraz cywilnych. Ogółem takich obozów dla mieszkańców Pomorza powstało wtedy 70 (64 na terenie Pomorza Gdańskiego, jeden poza Pomorzem, 5 na terenie Rzeszy), z tego 20 zorganizował Wehrmacht, 31 władze policyjne, a 19 – *Selbstschutz*⁷.

Szczególnie złą sławą zapisał się w pamięci Polonii gdańskiej obóz przejściowy *Victoria Schule*, urządzony w szkole, której prowizoryczna adaptacja polegała na usunięciu z budynku szkolnych urządzeń. Aresztowanych już w pierwszych godzinach 1 września Polaków z terenu Gdańska „witał” szpaler uzbrojonych w narzędzia do bicia szturmowców. Wszyscy, którzy przeszli przez *Victoria Schule*, zgodnie podkreślali, że więźniów traktowano niezwykle okrutnie⁸.

⁵ Dowódca SS-Obersturmbannführer Kurt Eimann.

⁶ Cyt. za: *Gdańsk 1939. Wspomnienia Polaków-Gdańszczan*, red. B. Zwarra, Gdańsk 1984, s. 660–661.

⁷ K. Ciechanowski, *Geneza obozu Stutthof. Obozy internowania na Pomorzu Gdańskim od września 1939 do marca 1940 roku* [w:] *Stutthof...*, op. cit., s. 49–78.

⁸ Więźniów nagminnie bito, łono i opluwano. Zob. *Gdańsk 1939...*, passim.



Lasy piasńnicke – egzekucja dokonywana przez *Selbstschutz*

Budowę obozu w Stutthofie rozpoczęto latem 1939 r. Już 2 września 1939 r. wysłano tam pierwszy transport więźniów. Obóz koncentracyjny służył przede wszystkim eksterminacji najbardziej świadomego i patriotycznie nastawionego żywiołu polskiego, głównie inteligencji z Pomorza Gdańskiego. Od 1942 r. do obozu napływały transporty Polaków, kierowane nie tylko przez jednostki policji z terenu okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie, ale i z innych regionów okupowanej Polski. W ciągu ponad 5 lat swego istnienia Stutthof sukcesywnie rozbudowywano, wskutek czego powiększył swą powierzchnię dziesięciokrotnie. Z niewielkiego obozu obejmującego zaledwie 12 ha powierzchni i mieszczącego jednorazowo około 3500 więźniów (1940 r.) powiększono go do 120 ha i 57 000 więźniów (1944 r.). Oprócz obozu macierzystego Stutthof posiadał łącznie 39 podobozów, przebywali tam więźniowie reprezentujący 25 krajów i narodowości (łącznie około 110 tys. osób)⁹.

Szczególne, eksterminacyjna rola przypadła oddziałom paramilitarnym – *Selbstschutz*. Decyzja o ich utworzeniu zapadła w Berlinie pomiędzy 8 a 10 września 1939 r. Okręg północny z siedzibą w Gdańsku podlegał SS-Oberführerowi Ludolfowi von Alvenslebenowi, który otrzymał nominację na to stanowisko w dniu 9 października 1939 r. Genezy powołania do istnienia *Selbstschutzu* należy się dopatrywać w rzekomych masowych prześladowaniach mniejszości niemieckiej w Polsce, zwłaszcza na Pomorzu. W opinii SS-Brigadeführera Gottlieba Bergera, szefa Urzędu Uzupelnień SS, Polacy mieli się dopuszczać na terenie Pomorza i w Gdańsku w stosunku do Niemców straszliwych okrucieństw. Szeroko odwoływano się tu do wydarzeń związanych z tłumieniem niemieckiej dywersji w Bydgoszczy przez Wojsko

⁹ Szerzej na ten temat zob. *Stutthof ...*, *op. cit.*

Polskie i siły porządkowe 3 i 4 września 1939 r., określanych przez Niemców mianem „krwawej niedzieli” (*Blutsonntag*). Zgodnie z powszechnie propagowaną wówczas tezą o zamordowaniu około 12 tys. *Volksdeutschów* w Polsce (ostatecznie liczbę zabitych *Volksdeutschów* w Polsce niemieckie władze okupacyjne „ustaliły” na 58 000 osób), zadaniem *Selbstschutzu* miała być ochrona pozostałych przy życiu rodzin niemieckich. Publikowano przy tym wiele wydawnictw o charakterze propagandowym, ukazujących „polskie bestialstwo”. W rzeczywistości *Selbstschutz*, podporządkowany szefowi RSHA Heydrichowi, stał się późną jesienią 1939 r. czołowym narzędziem realizacji hitlerowskiej polityki eksterminacyjnej¹⁰.

Całokształt ówczesnych przedsięwzięć eksterminacyjnych nazwano „Unternehmen Tannenberg” od nazwy kierowanego osobiście przez Heydricha *Sonderreferat* „Unternehmen Tannenberg”. Jedno ze sprawozdań z realizacji przedsięwzięcia „Tannenberg” podawało, że do 25 września 1939 r. EK-16 sprawdziło na terenie Gdyni 2700 osób, z których 1200 zwolniono. Pozostałych zatrzymano do dalszego sprawdzenia (wojska niemieckie zajęły Gdynię 14 września 1939 r.)¹¹.

Akcja eksterminacyjna ludności polskiej przebiegała w kilku fazach. W pierwszym okresie, tj. we wrześniu 1939 r., zbrodnie dokonywane były przy udziale wojska oraz wspomnianych grup operacyjnych, z udziałem miejscowych bojówek SA. Już 1 września w godzinach rannych członkowie SA pod dowództwem SA-Sturmhauptführera Kriewalda wymordowali w Kałdowie 21 osób, a w pobliskim Szymankowie oddział SA pod dowództwem Hermanna Gröninga, starszego wachmistrza policji i miejscowego komendanta żandarmerii, zamordował kolejne 20 osób (w tym będącą w czwartym miesiącu ciąży Elżbietę Lessnau). 1 września aresztowano również (z pogwałceniem immunitetu dyplomatycznego) pracowników Komisariatu Generalnego Rzeczpospolitej w Wolnym Mieście Gdańsku, dopuszczając się przy tym pobic i okaleczeń urzędników¹².

Druga faza eksterminacji rozpoczęła się jesienią 1939 r. i trwała do stycznia 1940 r. Charakterystycznym elementem tego uderzenia był masowy udział *Selbstschutzu* w akcji wymierzonej przeciwko inteligencji (*Intelligenzaktion*). Cechowała się ona masowymi aresztowaniami i egzekucjami przedstawicieli inteligencji polskiej oraz osób „niepożądanych z punktu widzenia bezpieczeństwa Trzeciej Rzeszy”. Trudno oszacować liczbę osób zamordowanych wówczas w takich miejscach jak Piaśnica¹³, Las Szpegawski, Mniszek, Barbarka, Rudzki Most czy w bydgoskiej Dolinie Śmierci. Wymordowano również 1068 osób z zakładu psychiatrycznego w Świeciu oraz pacjentów ze szpitala psychiatrycznego w Kocborowie (wraz z filiami). Nie oszczędzono nawet chorych dzieci¹⁴.

¹⁰ Zob. np. *Polnische Blutterror*, Danzig 1940; *Die Polnischen Greueltaten an den Volksdeutschen in Polen*, Berlin 1940; W. Jastrzębski, *Terror i zbrodnia. Eksterminacja ludności polskiej i żydowskiej w rejencji bydgoskiej w latach 1939–1945*, Warszawa 1974, s. 59; P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy...*, s. 122–126.

¹¹ B. Bojarska, *Eksterminacja inteligencji polskiej na Pomorzu Gdańskim (wrzesień–grudzień 1939)*, Poznań 1972, s. 50–51; P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy...*, s. 120.

¹² P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy...*, s. 68–70; *idem*, *Likwidacja Komisariatu Generalnego RP w Wolnym Mieście Gdańsku we wrześniu 1939 roku [w:] Z dziejów polskiej służby dyplomatycznej i konsularnej. Księga upamiętniająca życie i dzieło Jana Nowaka-Jeziorańskiego (1914–2005)*, red. J. Faryś, M. Szczerbiński, Gorzów Wielkopolski 2005, s. 109–120.

¹³ W Piaśnicy rozstrzelano około 12 tys. osób. Z tego ok. 2 tys. to mieszkańcy Pomorza. Resztę dowożono zorganizowanymi transportami spoza dzielnicy (B. Bojarska, *Piaśnica...*, s. 20–52; P. Semków, *Granica wolności badawczej*, „Biuletyn IPN” 2003, nr 7, s. 58–61).

¹⁴ Zob. np. B. Bojarska, *Eksterminacja polskiej ludności powiatu tucholskiego w okresie działalności Selbstschutzu*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” 1968, t. XIX, s. 7–14;

B. Bojarska w monografii *Piaśnicy* przywołała relację jednego z okolicznych mieszkańców: „wykopaliśmy około 10 dołów [...]. W dwa lub trzy dni po wykopaniu pierwszego dołu słyhać było w porze popołudniowej strzały karabinowe, a następnie karabinów maszynowych. Strzały trwały ponad godzinę. Odgłos strzałów dochodził od strony, gdzie właśnie kopałem dół. Domyśliłem się, że przy tych dołach odbywa się rozstrzeliwanie Polaków”¹⁵.

Mimo że ogrom masowych mordów był tak wielki, iż sami Niemcy określali je mianem „nielegalnych rozstrzeliwań”, to czasem starano się zachować pozory „sprawiedliwego sądu” nad potencjalnymi ofiarami. Widowym przykładem zbrodni w majestacie prawa był sąd, a następnie egzekucja dokonana na obrońcach Poczty Polskiej w Gdańsku¹⁶. Podobnie należy traktować funkcjonowanie cywilnych sądów specjalnych (*Sondergericht*) oraz cywilnych sądów doraźnych (*Standgericht*) i ich kompleksową działalność na terenie Pomorza.

Sądownictwo doraźne i specjalne szczególnie „zasłużyło się” wobec mieszkańców Bydgoszczy, gdyż bydgoski *Sondergericht* rozpoczął swe orzecznictwo już 11 września 1939 r., wydając pierwsze wyroki (wojska niemieckie wkroczyły do Bydgoszczy 5 września). Zachowując pozory legalizmu prawnego, starano się uzasadnić akcję represyjną wobec bydgoszczan jako próbę osądzenia „winnych masakry *Volksdeutschów* w Polsce” dla poparcia wspomnianej tezy o „krwawej niedzieli”. O skali działań podjętych przez bydgoski sąd specjalny z pierwszego okresu jego działalności (11 września – 31 grudnia 1939 r.) świadczy statystyka: „876 spraw zakończono, a 129 spraw pozostało otwartych. Z 876 spraw zakończonych proceduralnie wynika: oskarżonych było 168 osób, z tego skazano na śmierć do 31 XII 1939 r. – 100 osób (87 mężczyzn i 13 kobiet); 10 osób otrzymało kary dożywotniego ciężkiego więzienia; 23 osoby skazano na okresowe ciężkie więzienie; 14 innych osób na więzienie; 21 osób uniewinniono”¹⁷.

We wspaniałomyślności sądowej bydgoski *Sondergericht* niektórym skazanym na śmierć pozwolił napisać listy pożegnalne. Oto list Jana Lewandowskiego: „Kochana Żono i Szwagrze 7.11.39 r. Proszę mnie wybaczyć że tak się stało. Bóg tak chciał byłem warjatem i koniec. Kochana Żonko nie martw się byłem 6/11 u spowiedzi i Komunii Św. Książd z Jezuickiego mnie wyspowiadał. Kazałem Proboszcza pozdrowić. Pozdrawiam Cię całusy zasylałem i do miłego zobaczenia w Niebie. Nie martw się mój Aniołeczku. Pozdrawiam choć byłem niegodziwy. To czas końca. Pozdrów Kokolewskiego. Pozdrów Rodziców – Matkę i Ojca, wszystkich: Jadzię, Braci, Szwagrów wszystkich, Kumińską Janinę, Piotra Polgosia, Jula, Antka. Dziś o godz. 10 będę w niebie. Narzędzia weź i sprzedaj. Bormaszynkę daj Piotrowi i rower mu daj za 100 zł. Drugi daj Kamińskiemu a kupi może Bucholz kupi te drobne narzędzia, niech Ziętek je sprzeda, on się na tym lepiej zna. Więc Żegnam Aniołku do miłego zobaczenia. Ks. Proboszcz niech Mszę świętą za mnie odprawi. Kazałem go Pozdrowić. Michał bądź zdrów”.

Wg fotokopii z propagandowej pozycji Die Polnischen Greuelthaten..., s. 268.

W. Jastrzębski, *Terror i zbrodnia...*, s. 80–85; *Zagłada chorych psychicznie w Polsce 1939–1945*, red. Z. Jaroszewski, Warszawa 1993, s. 56–76.

¹⁵ Cyt. za: B. Bojarska, *Piaśnica...*, s. 36.

¹⁶ K. Leszczyński, *Eksterminacja ludności na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy [w:] Eksterminacja ludności w Polsce w czasie okupacji niemieckiej 1939–1945*, Poznań 1962, s. 52; D. Schenk, *Poczta Polska w Gdańsku. Dzieje pewnego niemieckiego zabójstwa sądowego*, Gdańsk 1999.

¹⁷ Cyt. za: W. Jastrzębski, *Terror i zbrodnia...*, s. 236.

Jak podają badacze problematyki, w masowych oraz pojedynczych egzekucjach przeprowadzanych na terenie Pomorza, niejednokrotnie z udziałem *Selbstschutzu*, w 1939 r. zginęło od 36 tys. do 42 tys. osób. Decyzją z 26 listopada 1939 r. odpowiedzialnego za całość polityki narodowościowej na terenie okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie gauleitera Alberta Forstera liczące ok. 38 tys. członków oddziały *Selbstschutzu* uległy rozwiązaniu. Z tej okazji odbyło się w Bydgoszczy uroczyste spotkanie najbardziej „zasłużonych członków”, którym podziękowano za wkład w umacnianie niemieczyzny. Ludolf von Alvensleben został udekorowany przez Forstera Krzyżem Gdańska I klasy¹⁸.

Rozwiązanie *Selbstschutzu* nie oznaczało końca akcji eksterminacyjnej ludności pomorskiej. Kontynuowano ją, i to w sposób bardziej metodyczny niż do tej pory. W dwóch egzekucjach (z 11 stycznia 1940 r. i 22 marca 1940 r.) rozstrzelano 68 osób, działaczy Polonii Wolnego Miasta Gdańska, którzy – aresztowani już 1 września 1939 r. – stanowili zarazem pierwsze transporty więźniów polskich do obozu koncentracyjnego Stutthof. W grupie tej byli między innymi: Tadeusz Ziółkowski – szef pilotów w Radzie Portu i Dróg Wodnych w Gdańsku, Antoni Lenzion – poseł polski do sejmiku Wolnego Miasta Gdańska (*Volkstag*), dr Franciszek Kręcki – dyrektor banku Kwilecki-Potocki, oraz księża z polskich parafii personalnych w Gdańsku – ks. Bronisław Komorowski i ks. Marian Górecki¹⁹.

Duchowieństwo polskie diecezji gdańskiej i chełmińskiej poniosło bardzo duże straty osobowe. Z 12 kapłanów pracujących w sierpniu 1939 r. na terenie Wolnego Miasta Gdańska tylko dwóch uniknęło aresztowania, natomiast z pozostałej dziesiątki siedmiu zostało zamordowanych w latach wojny. Z 701 kapłanów diecezji chełmińskiej (stan na 1 września 1939 r.) życie straciło 323 (w egzekucjach pojedynczych, masowych i w obozach koncentracyjnych). Między innymi w kwietniu 1940 r. w obozie koncentracyjnym Oranienburg-Sachsenhausen zamordowano ks. Bernarda Łosińskiego²⁰. Na terenie Pomorza część kościołów pozamykano, przeznaczając budynki na inne cele (garaże, kina, magazyny), dokonywano aktów profanacji i złośliwych zniszczeń (między innymi obiektów sakralnych Kalwarii Wejherowskiej), wprowadzono restrykcje językowe, likwidując w diecezji chełmińskiej język polski w liturgii, a nawet przy spowiedzi²¹.

Kolejną niezwykle represjonowaną grupą na terenie Pomorza byli nauczyciele. Tylko w powiecie kartuskim straciło życie 30 polskich nauczycieli. Większość została zamordowana już na początku wojny lub zginęła w obozach koncentracyjnych. W listopadzie 1939 r. w masowym

¹⁸ Dokładna liczba zamordowanych nie jest możliwa do ustalenia. Zob. B. Chrzanowski, *Pomorze Gdańskie pod okupacją hitlerowską (1939-1945)* [w:] *Stutthof...*, *op. cit.*, s. 31–34; P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy...*, s. 123.

¹⁹ *Gdańsk 1939...*, s. 635–638.

²⁰ Ks. Bernard Łosiński był znanym kaszubskim społecznikiem. Przez trzy kadencje (1903, 1907, 1912) posłował do Sejmu Pruskiego. Mowy sejmowe księdza były publikowane na łamach „Pielgrzyma” (1905, 1914). Od 1919 r. należał do Polskiego Stronnictwa Ludowego Pomorza i z jego ramienia otrzymał mandat poselski do Sejmu Rzeczypospolitej (1920). Za pracę społeczno-narodową i polityczną w 1923 r. został odznaczony orderem Polonia Restituta. Zob. więcej m.in. na stronie internetowej: www.meczcennicy.pelplin.pl.

²¹ J. Doppke, *Kościół katolicki na terenie powiatu morskiego w latach okupacji hitlerowskiej 1939–1945* [w:] *Kościół katolicki na ziemiach Polski w czasie II wojny światowej. Materiały i studia*, red. F. Stopniak, z. 6, Warszawa 1985, s. 88–159; A. Baciński, *Martyrologia polskich kapłanów katolickich w Gdańsku w latach 1939-1945* [w:] *ibidem*, z. 1, Warszawa 1973, s. 185–206; B. Chrzanowski, *Pomorze Gdańskie...*, s. 33.

mordzie w Kaliskach pod Kartuzami zginął Leon Bukowski, nauczyciel szkoły w Pałubicach. W tym samym czasie zamordowano Adama Junga, nauczyciela z Gowidlina, natomiast podczas mordów piąsneckich zginął nauczyciel z Mojusza Aleksander Brzósowski²².

Okres od stycznia 1940 r. do jesieni 1944 r. można nazwać kolejną fazą eksterminacji ludności polskiej na Pomorzu Gdańskim. Szczególnie ostatni okres wojny, związany z sytuacją militarną Trzeciej Rzeszy, cechował się wzmocnionymi akcjami przeciwpartyzanckimi z udziałem SS, gestapo, policji oraz „Jagdkommandos”. Oddziały te dokonywały licznych egzekucji na ludności miejscowej pod pozorem zwalczania ruchu oporu na Pomorzu. Często jednak były to typowe „wypadki” o charakterze terrorystycznym. Należy również pamiętać o likwidacji więźniów obozów w 1945 r. podczas marszów ewakuacyjnych w głąb Niemiec²³.

Mimo że w dalszym ciągu pytaniem bez odpowiedzi jest kwestia, ile dokładnie było ofiar, to ogrom strat poniesionych przez mieszkańców Pomorza w latach 1939–1945 jest niepowetowany. Nie sposób wymienić wszystkich ofiar tego tragicznego okresu.

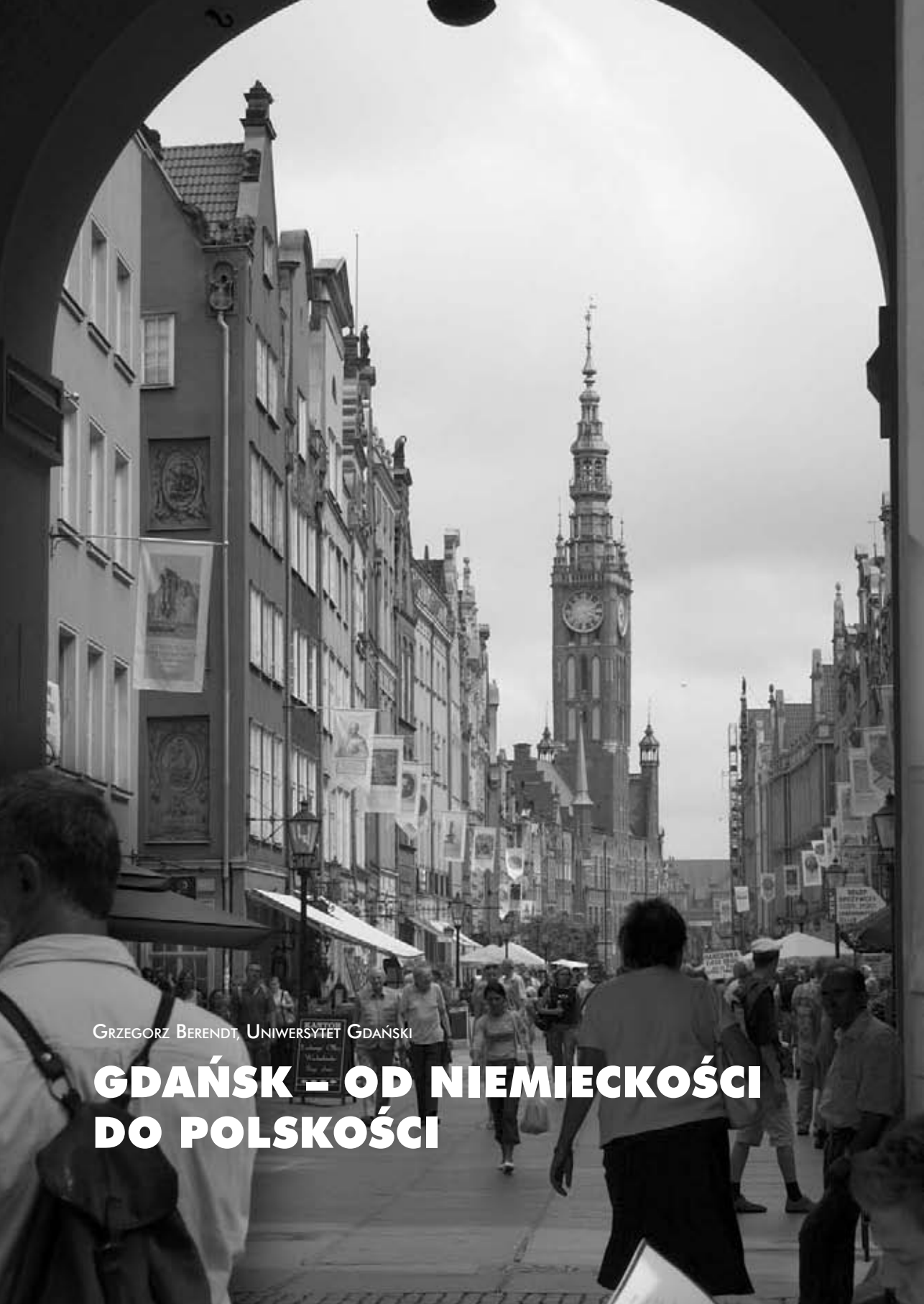
Dieter Schenk, niemiecki znawca problematyki okupacji hitlerowskiej na Pomorzu, napisał:

„od 1939 do 1945 roku zamordowano w Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie od 52 794 do 60 750 osób, w przeważającej mierze jesienią 1939 roku: przedstawiciele polskiej inteligencji, Żydów, członków polskich grup oporu, osoby »nienawidzące Niemców i judzące przeciwko Niemcom«, ludzi niegdyś sympatyzujących z Polakami, rzekomych przywódców i współsprawców tzw. bydgoskiej »krwawej niedzieli«, ofiary aktów zemsty i denuncjacji. Ponadto w obozie koncentracyjnym w Stuthofie zginęło w latach 1939–1945 około 65 000 osób”.

D. Schenk, *Albert Forster gdański namiestnik Hitlera. Zbrodnie hitlerowskie w Gdańsku i Prusach Zachodnich*, Gdańsk 2002, s. 419.

²² Informacja ustna P. Szubarczyka (21 VII 2006 r.).

²³ D. Steyer, *Zbrodnie hitlerowskie wobec ludności polskiej na Pomorzu Gdańskim w ostatnim okresie okupacji (1944–1945)*, „Zeszyty Naukowe Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego” 1974, z. 2, s. 111–117. Zob. na temat ewakuacji rozdział XII autorstwa J. Grabowskiej i E. Grot [w:] *Stuthof ...*, *op. cit.*, s. 290–318.



GRZEGORZ BERENDT, UNIWERSYTET GDAŃSKI

GDAŃSK – OD NIEMIECKOŚCI DO POLSKOŚCI

Środowiska rządzące Rzeczpospolitą przedrozbiorową nie były specjalnie zainteresowane wzmacnianiem wpływów ludności polskojęzycznej w Gdańsku. Względy etniczne w epoce społeczeństwa stanowego były nieporównanie mniej istotne niż w XX wieku. Dwór królewski i elity polityczne zadawały się lojalnością patrycjatu nadmottawskiego grodu. W okresie zaborów stosunek polskich kręgów opiniotwórczych do gdańszczyzan zaczął ulegać pewnym zmianom.

Pojawiły się utwory literackie przypominające polską obecność nad Bałtykiem i wielką rolę, jaką Gdańsk odgrywał w przeszłości w gospodarce kraju¹. Popularna stała się powieść *Panienka z okienka* Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej) wydana w 1898 r. Ale i to jeszcze nie mogło zmienić sytuacji, gdyż np. w wydanej w 1913 r. przez Jana Lorentowicza antologii *Ziemia polska w pieśni* wiersze o tematyce morskiej zajęły bardzo skromne miejsce². Cztery lata później publicysta niepodległościowy Bernard Chrzanowski pisał: „Ani w malarstwie, ani w poezji czy powieści naszej – morza i nadmorskiego brzegu jakby nie było”³. Wpływ na zmianę świadomości miały nowe koncepcje terytorialne dotyczące przyszłości państwa polskiego. O tym, że warunkiem pomyślnego rozwoju kraju musi być niezależny dostęp do Bałtyku, mówił m.in. Roman Dmowski. Zwraca uwagę to, że w rozważaniach o Pomorzu do polskich „aktywów” zaliczano w pierwszej kolejności ludność pochodzenia polskiego mieszkającą poza Gdańskiem, szczególnie Kaszubów⁴. Samego miasta nie postrzegano wówczas jako silnego polskiego przyczółka, co było naturalne ze względu na jego strukturę narodowościową. Nie był on „swojski” dla większości polskich działaczy politycznych z lat poprzedzających odrodzenie Rzeczypospolitej. Związki Polaków spoza Pomorza z Bałtykiem ograniczały się w początkach XX w. na ogół do letnich wyjazdów do znanych kurortów, takich jak Sopot, Kołobrzeg czy Połoga.

Tymczasem rozwój państwowego szkolnictwa pruskiego w XIX w., poddanie jego wpływom niemal wszystkich mieszkańców Prus Zachodnich, znacząca pozycja Niemiec w kulturze i gospodarce światowej sprawiły, że większość mieszkańców Gdańska, nawet jeżeli miała polskie lub kaszubskie korzenie, ulegała akulturacji i identyfikowała się w początkach następnego stulecia z niemieczyzną. Nie byli to już niemieckojęzyczni gdańszczanie, lojalni poddani Rzeczypospolitej, widzący w pozostawaniu w jej granicach warunek rozwoju miasta i własnej pomyślności. Byli to w dominującej części patrioci państwa niemieckiego w granicach uzyskanych do 1870 r. Gdy w 1919 r. Niemcy zamieszkali na terenie Pomorza Wschodniego zorientowali się, że ich strony rodzinne mają przypaść Polsce, część z nich zdecydowała się przenieść do Gdańska, o którym po podpisaniu traktatu wersalskiego wiedzano, że będzie Wolnym Miastem, w zasadniczym stopniu niezależnym politycznie od Rzeczypospolitej. Wszystko to sprawiło, że ludność deklarująca narodowość niemiecką dominowała we wszystkich warstwach społecznych Gdańska. Nawet katolicyzm w sposób prosty nie mógł

¹ R. Wapiński, *O miejscu Pomorza w wyobrażeniach społecznych w dobie porozbiorowej*, „Zapiski Historyczne” 1995, t. LX, z. 2–3, s. 51–69; *idem*, *Gdańsk in Polish political mythology – The formation of political consciousness*, „Acta Poloniae Historica” 2000, nr 81, s. 29–34.

² B. Srocki, *Polska a Bałtyk*, „Jantar” R. I, 1946, z. 1, s. 16.

³ Cyt. za: D. Płaza-Opacka, T. Stegner, E. Szykiel, *Po słońce i wodę. Polscy letnicy nad Bałtykiem w XIX i w pierwszej połowie XX wieku*, Gdańsk 2004, s. 30.

⁴ *Ibidem*, s. 28–29.

być utożsamiany z osobami o polskiej świadomości narodowej, zdecydowana większość katolików na terenie Wolnego Miasta przyznawała się bowiem do niemieckości.

Do dziś nie ustają rozważania na temat tego, ilu Polaków mieszkało w Gdańsku w dwudziestoleciu międzywojennym. Niemieccy statystycy i urzędnicy podawali, że w 1923 r. nie było ich więcej niż 3,7 proc. Inni oceniali, że spośród około 400 tys. mieszkańców Wolnego Miasta około 6 proc. mówiło w 1934 r. po polsku⁵. Z kolei polski analityk w 1928 r. szacował udział osób deklarujących narodowość polską lub obywatelstwo polskie na 9,1 proc.⁶ Było to według niego 35 755 osób, wśród nich ponad połowa miała polskie obywatelstwo (19 660). Współcześnie badacz dziejów Polonii w Wolnym Mieście pisze, że stanowiła ona 13 proc. ludności Wolnego Miasta w 1930 r., jednak nie próbuje dokonać przeliczenia tej wielkości na wartości bezwzględne⁷. Gdyby tego dokonał, uzyskałby liczbę ponad 53 tys. osób. Oficjalni przedstawiciele instytucji polskich przed 1939 r. nie odważyli się podać tak dużej wielkości. Polacy mieszkali przede wszystkim w Gdańsku i Sopocie. Stanowili oni najliczniejszą i niewątpliwie bardzo widoczną oraz wyrazistą mniejszość narodową w Gdańsku przed wybuchem II wojny światowej, lecz pod względem zaangażowania w życie gospodarcze i kulturalne nie byli w stanie zdystansować niemieckiej większości.

Porządek prawny, według którego funkcjonował Gdańsk, uregulowany zapisami umów międzynarodowych i konstytucji zaakceptowanej przez Ligę Narodów, gwarantował ludności niemieckiej odgrywanie pierwszoplanowej roli i daleko posuniętą samodzielność w kształtowaniu wizerunku kulturowego miasta nad Motławą. W pierwszej połowie 1919 r., ale też i w kolejnych latach dawał o sobie znać lęk, że Polska dzięki poparciu mocarstw lub siłą może zaanektować miasto i port, by zdobyć dogodny punkt oparcia nad Bałtykiem. W miesiącach dzielących zawarcie rozejmu w Compiègne i podpisanie traktatu wersalskiego utrzymywała się wręcz psychoza polskiego zagrożenia⁸. Niemieckie kręgi opiniotwórcze zmobilizowały rodaków, by walczyli pokojowymi środkami o pozostanie nadmotławskiego miasta w granicach Rzeszy lub w ostateczności w inny sposób „uchronili” je od przejścia pod polskie rządy. W tej kwestii, niezależnie od orientacji politycznej, panowała wśród Niemców jedność.

Propagandowa walka z „polskim zagrożeniem” trwała na gdańskiej scenie politycznej do drugiej połowy 1933 r., kiedy Adolf Hitler wydał swoim lokalnym podwładnym polecenie ułożenia poprawnych stosunków z Polską. Dodajmy, że co najmniej od końca lat dwudziestych niemieckie obawy były mocno nieaktualne, Rzeczpospolita bowiem dzięki budowie portu w Gdyni zdobyła niezależny od Niemiec przyczółek morski. W istocie w latach trzydziestych to port gdański bardziej potrzebował polskich zleceń przeladunkowych, niż Polska jego infrastruktury. Było to dodatkowym czynnikiem wpływającym na gotowość hitlerowskich władarzy Wolnego Miasta Gdańska do negocjacji z rządem polskim.

Kilkuletnie wyciszenie propagandy antypolskiej nie oznaczało osłabienia dążeń do dalszego przeistoczenia gdańszczyzny w radykalnych nacjonalistów niemieckich. Hitlerowcy z powodze-

⁵ H.S. Levine, *Hitler's Free City. A history of the Nazi Party in Danzig 1925–1939*, Chicago–London 1973, s. 14.

⁶ T. Kijeński, *Ilu jest Polaków na terenie Wolnego Miasta Gdańska?*, „Rocznik Gdański” 1928/1929, t. 2–3, s. 121.

⁷ H. Stepniak, *Ludność polska w Wolnym Mieście Gdańsku 1920–1939*, Gdańsk 1991, s. 39.

⁸ P. Kosiński, *Prusy Zachodnie 1914 – Pomorze 1920. Ludność regionu wobec przemian politycznych okresu I wojny światowej*, Warszawa 2002, s. 104–108.

niem zjednywali dla swojego ruchu i struktur organizacyjnych kolejne tysiące mieszkańców. Populistyczne hasła i przedsięwzięcia socjalne przekonywały tych, których warunki bytowe pogorszyły się w porównaniu z okresem przed powstaniem Wolnego Miasta Gdańska. Inni wiązali się z partią władzy, by zachować stanowisko w administracji, otrzymać je lub awansować. Jeszcze inni bali się przeciwstawić totalitarnej sile politycznej wykorzystującej środki administracyjne do realizacji swojej wizji niemieckiej racji stanu, wkraczającej m.in. do szkół, urzędów czy zakładów pracy. W konsekwencji w przededniu II wojny światowej procentowy udział członków NSDAP w społeczności lokalnej przewyższał wielkości znane z Rzeszy. W 1935 r. jeden na 18,6 obywateli gdańskich i jeden na 11,1 posiadających prawa wyborcze był członkiem partii hitlerowskiej. W Niemczech odpowiednie liczby wynosiły 1:26,4 i 1:18,5⁹. Proporcje te uległy zmianom, gdyż od czerwca 1934 r. do końca września 1938 r. szeregi NSDAP wzrosły z 21 861 do 48 345 członków¹⁰. W tym samym czasie ogólna liczba mieszkańców, włącznie z Polakami i Żydami i osobami nieletnimi, nie przekraczała 390 tys., co oznacza, że odsetek dorosłych Niemców powiązanych z narodowym socjalizmem przekraczał wielkości odnotowane trzy lata wcześniej¹¹.

Z przekonania, z powodu konformizmu i ze strachu prawie 49 tys. obywateli Wolnego Miasta opowiedziało się za ideologią sprzeczną z gdańską tradycją koegzystencji grup różnych narodowości, religii i wyznań. Pierwszą ofiarą tej nowej tendencji padli Żydzi, którzy z powodu szykan i terroru masowo emigrowali, tak że od 1929 r. do połowy sierpnia 1939 r. ich liczba na terenie Wolnego Miasta zmniejszyła się z około 11 tys. do 1,5 tys. osób.

Najgorszy okres dla gdańskiej Polonii rozpoczął się w końcu października 1938 r., gdy narodowi socjaliści, niepodzielnie już wtedy panujący na nadmołławskiej scenie politycznej, uzyskali od Hitlera zgodę na wszczęcie kampanii antypolskiej. Napaści słowne i akty agresji fizycznej stały się elementem codziennego życia. Obywatele RP, o ile mogli, wyjeżdżali do Polski. Obecny stan badań nie pozwala na dokładne stwierdzenie, ilu Polaków mieszkało w Gdańsku w przededniu wybuchu wojny. Tych, podkreślających swoją polskość przez uczestnictwo w działalności instytucji narodowych, było zapewne nie więcej niż kilka tysięcy. Byli też i inni, którzy o pochodzeniu narodowym przypomnieli sobie dopiero lub ponownie w schyłkowym okresie wojny.

Wojna

Albert Forster, przywódca NSDAP i zwierzchnik niemieckich struktur administracji państwowej na obszarze Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie, postawił sobie za cel całkowite niemczenie tego obszaru. Podległe mu służby policyjne i urzędy przystąpiły

⁹ H.S. Levine, *op. cit.*, s. 104, 124.

¹⁰ „Der Danziger Vorposten” nr 235, 7 X 1935.

¹¹ Według danych z 10 X 1938 r. w Wolnym Mieście zamieszkiwało 388 195 osób, w tym na obszarze miasta Gdańska 251 920; por. „Danziger Statistische Mitteilungen” 1939, nr 3, s. 42. W literaturze można spotkać informacje, że w sierpniu 1939 r. w WM mieszkało 391 600 osób, z tego 248 117 w Gdańsku; por. H.J. Körber, *Die Bevölkerung der deutschen Ostgebiete unter polnischen Verwaltung*, Berlin 1958, s. 228; *Historia Gdańska*, t. IV/2: 1920–1945, red. E. Cieślak, Sopot 1999, s. 19, 30–31. Niemieccy sprawozdawcy podawali, że w końcu 1939 r. na terenie byłego WM było około 408 tys. mieszkańców; por. *Die wirtschaftlichen Entwicklungsmöglichkeiten in den eingegliederten Ostgebieten des deutschen Reiches*, t. 6, Berlin 1941, s. 12.

do dzieła 1 września 1939 r., dokonując aresztowań Polaków i Żydów. Poniżano ich, bito, a niektórych zamordowano już w pierwszych dniach wojny. Życie ich rodzin zostało objęte licznymi ograniczeniami, m.in. godziną policyjną i zakazem posiadania nadajników i odbiorników radiowych. Na porządku dziennym były konfiskaty własności osób zaliczonych do polskiej mniejszości narodowej. Rozpoczęła się eksterminacja polskich elit narodowych Gdańska w obozie koncentracyjnym w Stutthofie i w innych miejscach kaźni. Z krajobrazu miasta znikły polskie szyldy, reklamy, zlikwidowano wszystkie instytucje społeczno-kulturalne oraz gospodarcze. Polakom zakazano mówić własnym językiem w miejscach publicznych, modlić się w kościele, a nawet spowiadać. Nie można było śpiewać pieśni kościelnych podczas pogrzebów. Polscy księża katolicycy stanowili grupę najzjadlejszą i najbardziej niebezpieczną przez gestapo i najszybciej wyeliminowaną z lokalnego krajobrazu. Rząd dusz przekazano kapłanom narodowości niemieckiej. Były to zmiany niebywale w dziejach miasta, wynikające zarówno z szowinizmu, jak i neopogaństwa hitlerowskich przywódców. Ich zdaniem właśnie polski kler katolicki sprawił, że pomorscy Polacy zachowali świadomość odrębności narodowej i kulturowej w latach 1772–1920.

Narodowosocjalistyczny ideał Gdańska jako miasta zamieszkanego niemal wyłącznie przez Niemców hitlerowcy urzeczywistniali również poprzez politykę zniemczania części polsko-gdańskich rodzin, co prezentowano jako dowód zaufania i przywilej. Ofertę składali nawet tym, których wcześniej więzili w obozach koncentracyjnych. Tendencja ta nasilała się, w miarę jak wyczerpywała się liczba Niemców w wieku poborowym¹².

W spisach ludności przeprowadzonych w czasie wojny stałych mieszkańców powiatu Gdańsk-miasto przedstawiono jako jedną kategorię. Nie dzielono ich według narodowości, nawet według przynależności do poszczególnych grup Niemieckiej Listy Narodowej wprowadzonej w życie 4 marca 1941 r. Inna rzecz, że *gros* gdańszczan pochodzenia „aryjskiego” uznano tuż po wybuchu wojny za obywateli Rzeszy, nie przechodzili więc tych samych procedur co obywatele RP z sąsiedniego województwa pomorskiego. W przypadku obszaru gdańskiego hitlerowscy znawcy zagadnień rasowych i narodowościowych mieli więcej czasu, aby sporządzić dokładne wykazy osób przeznaczonych do wysiedlenia lub eksterminacji. Mogli działać szybciej niż na obszarze Polski.

Według dostępnych informacji, na terenie powiatu miejskiego Gdańsk przebywało w październiku 1943 r. łącznie 286 338 osób, w tym 276 095 stałych mieszkańców¹³, a w marcu 1944 r. 288 005 osób, w tym 12 270 cudzoziemców¹⁴. Udział ludności niemieckiej wiosną 1944 r. szacowano na 96 proc., natomiast kategorię cudzoziemców tworzyli przypuszczalnie dobrowolni i przymusowi robotnicy, zapewne również jeńcy wojenni i więźniowie przetrzymywani w filiach obozu Stutthof¹⁵.

¹² B. Zwarra, *Wspomnienia gdańskiego bówki*, t. 4, Gdańsk 1996, s. 33–34.

¹³ *Gemeinde- und Wohnlexikon des Reichsgaues Danzig-Westpreussen*, Danzig 1944, s. 36–38.

¹⁴ W. Jastrzębski, *W dalekim obcym kraju. Deportacje Polaków z Pomorza do ZSRR w 1945 roku*, Bydgoszcz 1990, s. 22.

¹⁵ *Administracja, ludność, gospodarka, kultura i oświata na polskich ziemiach wcielonych do Trzeciej Rzeszy w świetle niemieckich dokumentów z 1944 r.*, oprac. W. Jastrzębski, „Documenta Occupationis”, t. 14, Bydgoszcz–Poznań 1999, s. 50.

Kiedy porównuje się zdjęcia uczestników wieców, zebrań i przemarszów zamieszczone w prasie gdańskiej w latach 1933–1939 z fotografiami zrobionymi podczas zebrań w latach 1942–1944, uderza zmiana w wyrazie twarzy utrwalonych na nich osób. Zdjęcia z okresu zwycięstw narodowego socjalizmu oddają atmosferę radości, uniesienia, a nawet euforii. Taki nastrój emanuje zwłaszcza ze zdjęć dokumentujących triumfalny przejazd Hitlera ulicami miasta 19 września 1939 r. Dziesiątki tysięcy ludzi wyrażały radość z powodu ponownego połączenia z państwem niemieckim. Hitler był przywódcą, który tego dokonał, i tłumy zebrane na ulicach okazywały mu swoją wdzięczność. Z drugiej strony nikt już chyba nie odpowie, ilu tam było gdańszczan, a ilu mieszkańców innych miejscowości i miast. Ale entuzjazm wydaje się autentyczny. Inaczej rzecz się ma ze zdjęciami zrobionymi w czasie wojny. Na twarzach zgromadzonych widzimy zmęczenie i brak entuzjazmu, dotyczy to nawet osób wchodzących w skład prezydiów tych zebrań. Dawały już o sobie znać konsekwencje długotrwałej wojny: strata najbliższych, przyjaciół i znajomych oraz niepewność co do ostatecznego rezultatu zmagania wobec potęgi zjednoczonych sił alianckich.

W momencie powrotu Gdańska do Niemiec idee głoszone przez wodza Trzeciej Rzeszy i metody stosowane przez jego podwładnych wobec grup narodowych uznanych za szkodliwe oraz zbędne na obszarze niemieckiego panowania dla tysięcy gdańszczan okazały się nieistotne. Ci, którzy myśleli inaczej, poza jednostkami, zostali zmuszeni do milczenia. W Gdańsku miało funkcjonować w mowie potocznej takie powiedzenie (czy może „dobra rada”), gdy ktoś próbował kwestionować działania hitlerowców: „Halt die Klappe, sonst gehst du nach Stutthof” – „Zamknij gębę, bo znajdziesz się w Stutthofie”. Jedyną w miarę bezpieczną formą oporu przyzwoitych ludzi wobec cywilizacji śmierci i nienawiści były oznaki życzliwości dla szyskanowanych polskich i żydowskich powinowatych, krewnych, sąsiadów czy znajomych.

Plan „Ewa” i bitwa o miasto

Jesienią 1944 r. administracja podległa Forsterowi opracowała plan o kryptonimie „Ewa” (Fall Eva), dotyczący trybu ewakuacji ludności, wartościowych dóbr kulturalnych oraz materiałów pomocnych w prowadzeniu wojny¹⁶. W ostateczności, według czarnego scenariusza, w ręce Armii Czerwonej miał dostać się teren utrudniający, a nie ułatwiający prowadzenie wojny, obszar „spalonej ziemi”. Od końca 1944 do początków maja 1945 r. przez porty Gdańska i Gdyni, a następnie niewielkie przystanie u ujścia Wisły i na Helu ewakuowano 682 536 uchodźców, 292 794 rannych i 109 337 żołnierzy¹⁷. Znakomitą większość wśród ludności cywilnej stanowili mieszkańcy Prus Wschodnich i Pomorza Gdańskiego. Ten ruch, oprócz strat wojennych oraz służby wojskowej dziesiątków tysięcy mężczyzn, przyczynił się do zasadniczego zmniejszenia liczby Niemców w Gdańsku i w sąsiednich powiatach byłego Wolnego Miasta. Zachowały się np. kopie nakazów ewakuacji pastorów ewangelickich do Meklemburgii wystawiane jeszcze w połowie marca 1945 r., gdy oddziały sowieckie i polskie odcięły już drogi ewakuacji lądowej¹⁸.

¹⁶ *Historia Gdańska*, t. IV/2..., s. 317.

¹⁷ *Ibidem*, s. 319.

¹⁸ Archiwum Państwowe w Gdańsku (dalej AP Gd), 977, t. 557, Kopie kilkudziesięciu rozkazów ewakuacyjnych wystawionych pastorom przez Konsystorz ewangelicki w Gdańsku, marzec 1945 r.

W Gdańsku w chwili zamknięcia okrężenia wokół miasta poza kilkudziesięcioma tysiącami żołnierzy miejscowego garnizonu znajdowały się w dużej mierze kobiety z dziećmi, starcy i inne osoby niezdolne do służby wojskowej. Wśród nich byli również przedstawiciele dawnej miejscowej Polonii. Cywile i żołnierze mieli świadomość okrucieństw, jakich Sowieci dopuścili się na Niemcach w Prusach Wschodnich. To wzmacniało wolę oporu. Ponadto nie wolno zapominać, że Niemcy, niezależnie od tego, czy miejscowi, czy z innych terenów, np. służący w wojsku, traktowali walkę w obronie Gdańska jak bój o całość swojego państwa. Na koniec Adolf Hitler wydał rozkaz Grupie Armii „Wisła”, broniącej Gdańska, Sopotu i Gdyni, aby nie ustępować ani na krok. To wszystko sprawiło, że odrzucono ofertę marszałka Konstantego Rokossowskiego, który proponował Niemcom kapitulację.

Bezpośrednia bitwa o miasto rozegrała się w ciągu sześciu dni, począwszy od 25 marca. Już wcześniej oraz nieprzerwanie w trakcie zmagania o każdą ulicę trwał artyleryjski ostrzał i lotnicze bombardowanie punktów oporu walczących stron. Bomby zrzucali Amerykanie, Sowieci i Niemcy. Infrastrukturę miasta niszczyły artyleryjskie pociski Armii Czerwonej oraz Wehrmachtu i okrętów Kriegsmarine zakotwiczonych w Zatoce Gdańskiej. Żaźarte walki były główną przyczyną zniszczenia około 90 proc. zabudowań Śródmieścia. Główną, ale nie jedyną. Przez kilkadziesiąt lat nie można było mówić publicznie na temat pożarów, do których doszło bez bezpośredniego związku z bitwą. Jedną z przyczyn było zachowanie żołnierzy, którzy pozostawiali otwarty ogień, opuszczając domy zajmowane jako kwatery lub pozycje strzeleckie. Dodatkowo po zakończeniu walk doszło do irracjonalnych, barbarzyńskich podpaleń dokonywanych przez żołnierzy sowieckich. Jak wskazali niektórzy świadkowie, niekiedy żołnierze dopuszczali się tego pod kierownictwem swoich dowódców¹⁹. Tylko w pojedynczych przypadkach zachowane relacje pozwalają ustalić, który budynek przetrwał bój we względnie dobrym stanie i został obrócony w perzynę później, a który uległ zniszczeniu wcześniej.

Formalny kres bitwy o Gdańsk wiąże się z zajęciem półwyspu Westerplatte przez Armię Czerwoną 30 marca 1945 r. Oddziały niemieckie wycofały się do ujścia Wisły, gdzie przetrwały na Mierzei Wiślanej do kapitulacji Trzeciej Rzeszy 8–9 maja. Sowieci uznali, że nie stanowią one zagrożenia dla ich operacji wojennych, podobnie rzecz się miała z garnizonem helskim. Tym samym teren ujścia Wisły i Hel były obszarami Polski powojennej, na których najdłużej trwały na swoich pozycjach siły zbrojne Trzeciej Rzeszy, podobnie jak opór Polaków w 1939 r. To element gdańskiej i pomorskiej specyfiki tej pamiętnej wiosny 1945 r.

W trakcie walk i w pierwszych dniach po ich zakończeniu żołnierze sowieccy dokonali w „niemieckim mieście” wielu przestępstw i zbrodni, których ofiarą padła ludność cywilna. Gdańsk może w tym wymiarze służyć za modelowy przykład stanu anomii – zaniku norm postępowania obowiązujących w warunkach pokojowych. Dochodziło do rabunków i doraźnych egzekucji. Według ustaleń władz sanitarnych z maja 1945 r. do tego momentu około 40 proc. kobiet i dziewcząt w Gdańsku zostało zgwałconych, często kilka razy, a niekiedy padły ofiarą gwałtów grupowych. Gwałcono na ogół nie zważając na narodowość ofiar²⁰. W mieście było dużo dzieci, starców i osób nie w pełni sprawnych lub samodzielnych. U schyłku zimy

¹⁹ *Danzig/Gdańsk 1945. Erinnerungen nach 50 Jahren/ Wspomnienia 50 lat później*, Gdańsk 1997, s. 71, 257, 263.

²⁰ B. Zwarra, *op. cit.*, s. 29, 60.

przestały funkcjonować wszystkie media, wyczerpały się indywidualne zapasy żywności, lekarstw i środków opatrunkowych. Doszło do wybuchu epidemii chorób zakaźnych. To dodatkowo wpłynęło na ubytek ludności cywilnej w latach 1945–1946.

Udział polskich żołnierzy w zdobyciu Gdańska, niezależnie od strat, jakie ponieśli, miał przede wszystkim wymiar symboliczny, co podkreśliło zawieszenie 28 marca 1945 r. biało-czerwonej flagi na Dworze Artusa przez fizylierów batalionu piechoty zmechanizowanej i żołnierzy I Brygady Pancerniej im. Bohaterów Westerplatte oraz odśpiewanie *Roty*. Uczestnik tego wydarzenia pisał: „Zrobiono nam zdjęcie, które obiegiło wszystkie gazety i trafiło do podręczników szkolnych: sowiecki czołg, na czołgu Malutin, ja i jeszcze dwóch Rosjan, nad nami polski sztandar, a w tle bogaty niemiecki barok – który już następnej nocy podpalili pijani weterani frontu fińskiego”²¹.

Nowy porządek

Zachowane relacje Niemców gdańskich wskazują, że mieli jasno określoną opinię na temat tego, kto został panem ich miasta oraz życia i śmierci: Sowietci. Stąd brały się niekiedy aroganckie zachowania w stosunku do pierwszych przedstawicieli instytucji polskich. Takie sytuacje zdarzały się na ogół wtedy, gdy wyczuwano poparcie ze strony sowieckiej²². Przynajmniej część Niemców czuła strach i respekt przed tymi, którzy ich pokonali i zniewolili, a nie wobec tych, którzy w walkach odegrali rolę pomocniczą. W rozmowach prowadzonych między Niemcami pojawiał się rodzaj pretensji, że Sowietci zbyt szybko zgodzili się na oddanie Gdańska Polakom. Jakby zapomniano o cierpieniach doznanych ze strony czerwonooarmistów. Istotniejsze było, by nie trafić na stałe pod polskie rządy. O ewentualnych, korzystnych dla Niemców zamierzeniach Sowietów świadczyły plakaty z napisem w języku niemieckim: „Hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale naród niemiecki, niemieckie państwo pozostają”²³. Niewykluczone, że miały ścisły związek z zapoczątkowaną w połowie kwietnia nową taktyką dowództwa Armii Czerwonej, sprowadzającą się m.in. do obsadzania Niemcami różnych stanowisk publicznych²⁴. Wśród ludności utrzymywała się nadzieja na powrót do *status quo ante bellum*. Jak to dość sarkastycznie ujął świadek: „Nagle notowania tego tak przed wojną nielubianego Wolnego Miasta znacznie wzrosły, niektórzy liczyli na to, że również po wojnie będą mogli znów żyć w Wolnym Mieście”²⁵. Delegacja gdańskich socjaldemokratów miała nadzieję wyjednać u prezydenta KRN Bolesława Bieruta dla lokalnych Niemców prawo pozostania w mieście i status mniejszości narodowej. Gdy dowiedziała się, że to niemożliwe, z ust jej przedstawiciela padło porównanie Polaków, a być może tylko władz komunistycznych, do hitlerowców²⁶.

²¹ H. Grynberg, *Memorbuch*, Warszawa 2000, s. 174.

²² E. Loops, *Meine Lebensgeschichte. Brennende Jahre*, t. 2 (Gdańska Biblioteka PAN, sygn. Ms 5060), s. 115, 123; *Danzig/Gdańsk 1945...*, s. 182–183, 194–195, 230–231, 279; G. Baziur, *Armia Czerwona na Pomorzu Gdańskim 1945–1947*, Warszawa 2003, s. 108–111.

²³ „Die Hitler kommen und gehen, das deutsche Volk aber, der deutsche Staat – bleibt!”; por. B. Zwarra, *op. cit.*, s. 100.

²⁴ G. Baziur, *op. cit.*, s. 113.

²⁵ E. Loops, *op. cit.*, s. 152–153.

²⁶ B. Zwarra, *op. cit.*, s. 79.

Dość niecodzienna sytuacja miała miejsce w pierwszej połowie maja, gdy ulicami Oliwy i Wrzeszcza przeszły wielotysięczne rzesze jeńców niemieckich, którzy skapitulowali na Helu. Zwycięzcy zmylili czujność Niemców dobrym traktowaniem i obietnicami oddania ich w ręce aliantów zachodnich. Żołnierze szli przez Gdańsk dumnie, z pasami głównymi i odznaczeniami na piersiach, oddawali cywilom stojącym na chodnikach żywność i lekarstwa²⁷. Adam Bromberg, który również odnotował ten fakt, zauważył, że wówczas liczba niemieckich jeńców i cywilów przewyższała wielkość garnizonu sowieckiego, nie mówiąc o szczupłych siłach polskich²⁸.

Gdańszczanie nie wiedzieli, że Stalin podjął decyzję o przyznaniu ujścia Wisły Polsce w ramach polityki kompensowania strat wynikających z anektowania przez ZSRS połowy przedwojennego obszaru państwa polskiego. Do myślenia dały dopiero liczne plakaty rozlepione w kwietniu w całym mieście, na których widniała przekreślona niemiecka nazwa Danzig, a obok niej jaśniała nazwa Gdańsk. Ostatecznie postanowienia konferencji poczdamskiej uświadomiły Niemcom, że dawny porządek rzeczy został przekreślony, a im pisany jest los wygnańców ze stron rodzinnych²⁹. Polscy dygnitarze odwiedzający Wybrzeże wiosną i latem 1945 r. zapewniali, że celem nowego rządu Polski jest wysiedlenie z granic kraju wszystkich Niemców³⁰. Socjaldemokrata Ernst Loops tak zapamiętał zdanie wypowiedziane w rozmowie z nim przez sekretarza miejskich struktur PPS i radnego Gdańskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej Alfreda Przybój-Jareckiego: „W nowo powstałej Republice Polskiej nie można już tolerować Niemców. W 1920 r. Polska zgodziła się na pozostanie w kraju kilkuset tysięcy Niemców, gwarantując im pełnię praw obywatelskich, a wielu spośród nich w 1939 r. natychmiast przeszło na stronę Hitlera, szpiegując i dokonując aktów sabotażu. Z tego wynika jedynomyślna decyzja wielkich mocarstw o wysiedleniu Niemców. Majątek Niemców pozostaje na miejscu jako odszkodowanie za szkody miliardowej wartości spowodowane przez hitlerowskich bandytów podczas rabowania i niszczenia Polski”³¹. Dłużej mieli pozostać tylko ci, których wiedza i umiejętności zostały uznane za potrzebne dla miasta. Inni czekali na wysiedlenie za Odrę, starając się przeżyć na marginesie szybko rosnącej społeczności polskiej. Być może, wyjeżdżając później, powtarzali jak Loops, który oglądając 12 sierpnia 1945 r. z okna pociągu rodzinne miasto, powiedział: „Strony rodzinne są dla nas na zawsze stracone”³².

Już 30 marca 1945 r. Rada Ministrów Rządu Tymczasowego uchwaliła, a Krajowa Rada Narodowa zatwierdziła, dekret o powołaniu województwa gdańskiego³³. Nowe władze stosowały

²⁷ Według jednego świadka ten przemarsz odbył się 10 maja, według drugiego – 13 maja; por. *Danzig/Gdańsk 1945...*, s. 194–195, 234–235.

²⁸ H. Grynberg, *op. cit.*, s. 174–175.

²⁹ E. Loops, *op. cit.*, s. 130.

³⁰ Na łamach „Dziennika Bałtyckiego” opublikowano 16 V 1945 r. wywiad z wicewojewodą gdańskim Anatolem Zbarskim, który stwierdził: „Oświadczam, że w najbliższym czasie niemcy będą wysiedleni z naszych ziem. Wszyscy niemcy! Marzyli oni o panowaniu nad naszym narodem, germanizowali nasze ziemie, znęcali się okrutnie nad naszymi rodakami. Tego więcej nie będzie. Wysiedlenie niemców nie jest aktem zemsty z naszej strony. Wysiedlenie wszystkich bez wyjątku niemców dyktują nam przede wszystkim interesy państwa i gospodarstwa narodowego”, cyt. za: *Danzig/Gdańsk 1945...*, s. 181.

³¹ E. Loops, *op. cit.*, s. 130.

³² *Ibidem*, s. 132.

³³ „Dziennik Ustaw” nr 11, 7 IV 1945, poz. 57, s. 74.

politykę faktów dokonanych, czując w tym względzie poparcie Kremla. W mieście pojawili się emisariusze Rządu Tymczasowego w celu tworzenia zrębów instytucji polskich i ochrony majątku ocalonego z pożogi³⁴. Przez wiele miesięcy trwał swoisty wyścig o to, by możliwie najmniej dóbr, traktowanych przez Armię Czerwoną jako zdobycz wojenna, zostało wywiezionych do Związku Sowieckiego. Strona polska, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, nie miała tu zbyt wiele do powiedzenia, co nie oznacza, że beczynnie przyglądała się poczynaniom „sojuszników”.

Jak wskazują statystyki, do lata 1945 r. polski ruch osiedleńczy w Gdańsku miał bardzo ograniczone rozmiary. Osób określonych jako Polacy było zaledwie 8525, podczas gdy Niemców zarejestrowano 123 932. Do tego dochodziło jeszcze 1572 cudzoziemców³⁵. Później ruch migracyjny Polaków na północ nabral gwałtownego przyspieszenia, co zbiegło się z postanowieniami konferencji poczdamskiej, potwierdzającymi *de facto* przynależność Pomorza Gdańskiego do Polski. Do września 1946 r. liczba Niemców spadła do 13 380, a Polaków wzrosła do 151 185 osób³⁶. Po siedmiu miesiącach w mieście było oficjalnie już tylko około 750 Niemców.

W ocalałych dzielnicach miasta na tzw. repatriantów ze Wschodu oraz przesiedleńców z centralnych i południowych części kraju czekały tysiące mieszkań i domów jednorodzinnych, które dotychczasowi użytkownicy utracili z mocy nowych przepisów prawa własności. Być może w mnogości mienia poniemieckiego kryła się zagadka znacznie szybszego przyrostu liczby polskich mieszkańców Gdańska niż w sąsiedniej Gdyni, dokąd przedwojenni mieszkańcy bardzo powoli wracali ze szlaków wojennych wędrówek.

Nadanie Gdańskowi rangi stolicy województwa, ulokowanie tu w ciągu dwu lat siedzib trzech uczelni wyższych (Politechniki, Akademii Lekarskiej i Wyższej Szkoły Pedagogicznej)³⁷ potwierdzały, że nowe władze państwowe „postawiły” na to miasto. Na odtworzenie i rozwój jego infrastruktury przeznaczono niebagatelne środki. Prace przy uruchomieniu oraz eksploatacji portu i stoczni oraz odbudowie miasta dostarczyły tysiące miejsc zatrudnienia dla okolicznej ludności rodzimej i przybyszów z innych terenów.

Powrót Kwiatkowskiego

Podczas posiedzenia Gdańskiej WRN 4 października 1945 r., poświęconego problemom gospodarki morskiej wystąpił współtwórca polskich sukcesów gospodarczych przed wojną Eugeniusz Kwiatkowski: „Delegat Rządu przedstawił ogólny zarys rządowego planu odbudowy i wykorzystania wybrzeża Polski. Wskazał on, że zagadnienie morskie musi być rozpatrzone wspólnie w całej swojej treści politycznej, gospodarczej, społecznej i administracyjnej z innego zupełnie punktu widzenia niż to miało miejsce w okresie po pierwszej wojnie światowej. Same podstawowe założenia uległy radykalnym zmianom. Jednym z największych aktywów nowej Polski jest odzyskanie szerokiego dostępu do morza. Chociaż dzieli nas od niego potężny zwał ruin, ale przesycenie wybrzeża Bałtyku twórczą, gospodarczą pracą może stać się podniętą dla pomnażania produkcji i wymiany oraz przyczynić się do podniesienia stopy życiowej mas ludzkich w przyszłości.

³⁴ M. Pelczar, *365 dni pracy Gdańska*, „Przegląd Zachodni” 1946, R. 2, s. 393.

³⁵ *Idem*, *Ilu Gdańsk liczy mieszkańców?*, *ibidem*, nr 11, s. 946.

³⁶ *Z życia gospodarczego Pomorza*, „Jantar” 1946, nr 3, s. 75.

³⁷ 25 V 1945 r. wydano dekret powołujący do życia Politechnikę Gdańską, a 8 X 1945 r. dekret powołujący Akademię Lekarską; por. *Kronika życia naukowego na Pomorzu Gdańskim*, „Jantar” 1946, R. I, nr 1, s. 70.

Musimy więc skupić wszystkie siły, wszystkie uzdolnienia tkwiące w naszym narodzie, musimy wyteżyć cały upór woli, by te możliwości wyzyskać w całej pełni. [...]

Świadomi ogromu zadań, piętrzących się trudności, pozbawieni środków i narzędzi pracy, wracamy nad nasze morze, by spod gruzów i cmentarzy życia dźwignąć tę Polskę, która przed wielu wiekami krzepła tu w swej narodowej młodości, która u zarania historii orała ziemie nadmorskie, która krwawiła i walczyła tak samo przed tysiącem lat, jak wczoraj. Będziemy ją budować w miarę sił i środków, ale z uporem, z wiarą niezłomną w swoją przyszłość. Będziemy ją budować z żelaza i betonu, jeszcze twardszą niż była kiedykolwiek w przeszłości. Będziemy ścierać fałsz Gottenhafów, Danzigów, Kolbergów, Stettinów i Elbingów, by powstały ze stali i granitu dyszące pracą i muzyką kranów [tzn. dźwigów], odbijające w morzu sztandary biało-czerwone i Gdynia, i Gdańsk, i Szczecin, i Kołobrzeg i Elbląg. Pozostanie na wieki tylko jedna obca nazwa na polskim wybrzeżu, rzucając jak latarnia morska blask niegasnący na dalekie morza: Westerplatte³⁸.

Końcowy fragment wystąpienia Kwiatkowskiego jest dobrą ilustracją tego, jak silne było w społeczeństwie i w polskich kręgach opiniotwórczych przekonanie, że trzeba przeprowadzić w sposób ostateczny akcję „odniemczania” polskiej części wybrzeża Bałtyku. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że niemiecki rozdział dziejów Pomorza, w tym Gdańska, trzeba zamknąć. W oczywisty sposób radykalne podejście milionów Polaków do tej kwestii było zdeterminowane niemiecką polityką okupacyjną z lat 1939–1945. W codziennym życiu Gdańska antagonizm polsko-niemiecki przejawiał się niejednokrotnie w nadużywaniu sytuacji wobec pokonanych Niemców nie tylko przez pospolitych przestępców, rabusiów, szabrowników, ale też przez osoby reprezentujące nowe instytucje państwowe: urzędników, milicjantów, żołnierzy i funkcjonariuszy UBP. Te fakty zapadły na trwałe w pamięć wysiedlanych Niemców. Przejście od niemieckości do polskości w Gdańsku nie nastąpiło, bo nastąpić nie mogło, w sposób bezbolesny.

Polski Gdańsk

Organizatorami instytucji polskich byli w części członkowie Polonii gdańskiej z okresu międzywojennego, m.in. Zygmunt Moczyński czy Marian Pelczar. Obok nich pojawili się ludzie zupełnie nowi na tym terenie, np. przyszły dziejopis pomorski Franciszek Mamuszka. Zagadkową postacią był wicewojewoda ppłk Anatol Zbarski, który pojawił się i zniknął bez śladu, zaznaczając swoją obecność m.in. udziałem w próbie nakłonienia Kaszubów do powołania obszaru autonomicznego. Tę koncepcję wiąże się z hipotetycznymi rozważaniami strony sowieckiej na temat tego, czy powojenna Polska miała być państwem unitarnym czy raczej federacją struktur regionalnych.

Zwraca uwagę racjonalne podejście władz państwowych do problemu miejscowej ludności pochodzenia polskiego. Uwzględniono terror i przymus stosowany przez hitlerowców podczas akcji zniemczania. W rezultacie kilkanaście tysięcy byłych obywateli Wolnego Miasta Gdańska uzyskało prawo do obywatelstwa polskiego. Do 1948 r. w Gdańsku przeszły pomyślnie procedury weryfikacyjne 13 424 osoby³⁹. Inna rzecz, że niektóre z nich wkrótce po tym optowały na rzecz Niemiec i zrzekały się praw obywateli RP. Nie znamy zbiorczych danych statystycznych na ten temat dotyczących Gdańska. Podawane powody ubiegania się

³⁸ AP Gd, 2598, t. 262, Protokół sesji Gdańskiej WRN, 4 X 1945 r., s. 20–21.

³⁹ Z. Skargo, *Osadnictwo w Gdańsku w latach 1945–1947*, Toruń 2002, s. 67.

Spoza dominującego w dzisiejszej historiografii nurtu, który podkreśla niemieckość Gdańska, warto wymienić niektóre prace akcentujące polski wkład we wspólne dzieje:

Szymon Askenazy, *Gdańsk a Polska*, Warszawa 1919; 1923; wznowienie: Toruń 1997.

Władysław Jan Grabski, *300 miast wróciło do Polski. Informator historyczny 960–1960*, wyd. 3 rozszerzone, Warszawa 1960.

Marian Kałuski, *Polskie dzieje Gdańska do 1945 roku, Zbiór szkiców*, Pelplin 2004.

Autor ostatniej z nich, polski dziennikarz i historyk mieszkający w Australii, pisze we wstępie m.in.: „Gdańsk, stolica dzisiejszego województwa pomorskiego, jest najbardziej polskim miastem z wszystkich miast na odzyskanych w 1945 r. Ziemiach Zachodnich i Północnych.

[...] niemieckojęzyczni gdańszczanie byli lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej i do upadku Polski pod koniec XVIII wieku nie czuli się Niemcami. Większość z nich rozmawiała na co dzień po niemiecku, ale za swój honor uważała służenie Rzeczypospolitej. [...]

Gdańsk należał do Polski 668 lat (ok. 979–1308 i 1454–1793), do Państwa Krzyżackiego 146 lat (1308–1454), do Prus/Niemiec 127 lat (1793–1807, 1813–1920 i 1939–1945) i do Francji 6 lat (1807–1813) oraz był częściowo samodzielnym tworem państwowym przez 19 lat (1920–1939).

Kwestionowanie polskości Gdańska, jeśli jeszcze dzisiaj ma miejsce, jest nie tylko pozbawione podstaw etnicznych, historycznych i prawnych, ale jest także aktem wrogim [...]. Polskość Gdańska nic nie zagraża. Dlatego jego historia z lat 1454–1793, kiedy miasto było polskie, a przy tym wieloetniczne i w którym kwitła tolerancja narodowo-religijna, powinna być uznana za przykład harmonijnego współżycia między narodami w jednoczącej się Europie.

Kiedy w 1996 i 2000 roku byłem w Gdańsku, chciałem kupić polską historię Gdańska. Okazało się jednak, że takiej książki nikt dotychczas nie napisał. [...] Brak takiej właśnie pozycji wydawniczej na polskim rynku księgarskim wypełniam, zapewne spełniając oczekiwania wielu Rodaków”.

Oprac. Romuald Niedzielko

o wyjazd na teren okupowanych Niemiec miały najczęściej charakter osobisty. W grę wchodziło dążenie do połączenia się z bliskimi mieszkającymi na zachód od Odry.

Jeszcze do końca 1945 r. ulice Gdańska nosiły niemieckie nazwy, ale gdy tylko uporano się z najpilniejszymi pracami sanitarnymi, uruchomiono miejską komunikację i szkoły polskie, również w tej dziedzinie przeprowadzono procedury zmierzające do usunięcia śladów niemieckiej przeszłości. Osoby najbardziej radykalne snuły nawet plany usunięcia zewsząd niemieckich napisów, z płytami nagrobnymi i obiektami zabytkowymi włącznie. Szczęśliwie ten aspekt tendencji do „odniemczania” Gdańska nie dotknął większości ocalonych zabytków. Tymczasem w życiu publicznym i na ulicy stopniowo zaczynał dominować język polski. Wiosną odprawiono pierwszą od 1939 r. Mszę świętą w języku polskim, podczas której odśpiewano m.in. *Boże, coś Polskę*. 29 września 1945 r. odbył się pierwszy wieczór poezji i prozy polskiej w powojennym Gdańsku. Celowo większość przypominanych utworów (m.in. Jana Kochanowskiego i Mikołaja Reja) pochodziła z czasów ścisłych więzi Gdańska z Rzeczpospolitą, co miało wymiar symbo-

liczny i stanowiło jasną sugestię, że wkroczyliśmy ponownie w epokę, w której Gdańsk stał się integralną częścią Polski⁴⁰. Publicyści i historycy przystąpili do pracy nad kształtowaniem nowego obrazu Gdańska w świadomości społeczeństwa. Zabiegali o utrwalenie przekonania, że zmiany powojenne miały m.in. uzasadnienie historyczne. Służyły temu książki i artykuły Kazimierza Piwarskiego i Mariana Pelczara⁴¹. Cechą krajowej polityki historycznej w pierwszych latach powojennych było eksponowanie tego, co w dziejach miasta łączyło się z polskością, i spychanie na margines lub pomijanie milczeniem dominującego wpływu ludności niemieckojęzycznej na jego rozwój od średniowiecza do 1945 r. Propagandowo wykorzystano trudne do przecenienia wyniki badań archeologów pracujących pod kierownictwem Konrada Jażdżewskiego w 1948 r. w śródmieściu Gdańska. Odkryli oni zabudowę z X w. Przyjęto więc, że początki osady miejskiej zbiegły się z początkami historycznych wpływów państwa piastowskiego na tym obszarze. Przyszłość pokazała, że w istocie te początki były znacznie wcześniejsze⁴².

Niezależnie od prac badawczych, podstawowym wyznacznikiem przeistoczenia Gdańska w polskie miasto stała się jednak jego nowa polska ludność, która stworzyła tu swoją nową małą ojczyznę. Wśród niej znaleźli dla siebie miejsce nieliczni Żydzi, Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, Ormianie. Na 165 494 mieszkańców Gdańska 31 grudnia 1948 r. składało się 101 873 przesiedleńców z centralnej Polski, 26 629 ekspatriantów z ziem wcielonych do ZSRS, 5328 repatriantów z innych państw i 15 205 tzw. autochtonów, czyli przedstawiciele ludności rodzimej, w tym nieliczni Niemców gdańskich⁴³. Przybysze z różnych stron, mimo różnych doświadczeń życiowych i obyczajów, zaczęły tworzyć nową polską społeczność miasta.

„Stary Gdańsk i olbrzymią większość tych pamiątek i skarbów kulturalnych, gromadzonych w mieście przez 1000 lat, Niemcy, gospodarujący tu wszystkiego przez 124 lata, zaprzepaścili. Rozpoczęli tę straszliwą wojnę niby pod hasłem odzyskania zrabowanego przez Polskę Gdańska dla Niemczyzny, a owocem ich obląkańczych poczynań, ich wściekłości i nienawiści stało się to, że w zaślepieniu, byle nie stracić tego, co ukradli, zniszczyli sami, zgruzowali, spalili, wysadzili w powietrze, sprofanowali i to, co było polskie, i to, co było niemieckie w mieście Gdańsku”.

Władysław Jan Grabski, *300 miast wróciło do Polski*,
Warszawa 1960, s. 123

Wybrał RN

⁴⁰ M. Pelczar, *Życie literackie nad Motławą*, „Przegląd Zachodni” 1946, s. 275.

⁴¹ K. Piwarski, *Dzieje Gdańska w zarysie*, Gdańsk 1946; M. Pelczar, *Polski Gdańsk*, Gdańsk 1947.

⁴² P.O. Loew, *Danzig und seine Vergangenheit 1793–1997*, Osnabrück 2003, s. 383.

⁴³ Z. Skargo, *op. cit.*, s. 91–92.

POBÓR POLAKÓW Z POMORZA DO WEHRMACHTU

Podbój Polski w 1939 r. i włączenie części ziem polskich w skład terenów wcielonych do Rzeszy narzucił mieszkańcom Pomorza obowiązek służby wojskowej w armii niemieckiej. W utworzonej decyzją Hitlera z 8 października 1939 r. Okręgu Rzeszy-Prusy Zachodnie (od 2 listopada 1939 r. – Gdańsk-Prusy Zachodnie) już w 1940 r. przeprowadzono pobór Polaków – byłych obywateli Wolnego Miasta Gdańska do Wehrmachtu.

W pierwszym rządzie brano do armii niemieckiej tych, którzy przed wybuchem wojny nie odgrywali aktywnej roli w polskim życiu społeczno-politycznym w Wolnym Mieście. Po ogłoszeniu rozporządzenia o Niemieckiej Liście Narodowej z 4 marca 1941 r., dotyczącego określenia stopnia przynależności państwowej mieszkańców z terenów wcielonych do Rzeszy, pobór Polaków z Pomorza nabrał charakteru masowego¹. Oznaczało to również, że poboru do armii niemieckiej dokonywano, zanim prawnie uregulowano status administracyjno-państwowy mieszkańców tych ziem.

Komisje rozpatrujące wnioski o przyznanie wobec poszczególnych grup ludności Niemieckiej Listy Narodowej miały obowiązek przekazać wojskowym komendom uzupełnień spisy mężczyzn, którzy podlegali służbie wojskowej. Na podstawie marcowego rozporządzenia Heinricha Himmlera oraz reskryptu z 13 marca 1941 r. Oberkommando der Wehrmacht wydało 2 października 1942 r. dekret dotyczący zasad pełnienia służby wojskowej przez osoby wpisane do III grupy Niemieckiej Listy Narodowej. Zgodnie z nim osoby powołane do wojska przed wpisaniem na listę miały być zwolnione od pełnienia służby wojskowej w przypadku, gdyby decyzja komisji do spraw Niemieckiej Listy Narodowej okazała się odmowna. Zwolnienie przysługiwało również wtedy, jeżeli jedno z rodziców poborowego lub oboje zostali zakwalifikowani do grupy IV².

¹ P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy wobec ludności polskiej na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska w latach 1939–1945*, Toruń 2001, s. 141.

² Służbie wojskowej podlegali zaklasyfikowani do grup I, II i III Niemieckiej Listy Narodowej (K. Ciechanowski, *Pobór Polaków z Pomorza Gdańskiego do armii niemieckiej i zmilitaryzowanych oddziałów roboczych w latach II wojny światowej*, „Zeszyty Muzeum Stutthof” 1986, z. 6, s. 49–52). Na ten temat zob. np. J. Orlikowski, *Rok 1945*, oprac. P. Semków, „Biuletyn IPN” 2002, nr 1, s. 62. O polityce narodowościowej Trzeciej Rzeszy na okupowanych ziemiach polskich napisano już wiele. Wystarczy wspomnieć C. Madajczyka, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. I–II, Warszawa 1970, czy B. Musiała, *Niemiecka polityka narodowościowa w okupowanej Polsce w latach 1939–1945*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2004, nr 2, s. 13–36.

Kategorie Niemieckiej Listy Narodowej

Rozporządzenie z 4 marca 1941 r. o Niemieckiej Liście Narodowej i przynależności państwowej ustalało status mieszkańców terenów wcielonych do Rzeszy – zatem dotyczyło bezpośrednio osób zamieszkujących Reichsgau Danzig-Westpreussen. Wstępem do niego był dokument z 12 września 1940 r., który wprowadzał podział na poszczególne kategorie ludności zamieszkującej te tereny.

O rozpoczęciu akcji przyjmowania wpisów na Niemiecką Listę Narodową informowała miejscowa prasa³. Rozporządzenie z 4 marca 1941 r. dotyczyło obywateli polskich, którzy z dniem 26 października 1939 r. zostali bezpaństwowcami, oraz posiadaczy obywatelstwa gdańskiego, którzy je utracili z dniem 1 września 1939 r., lecz z tymże dniem ich miejsce zamieszkania znajdowało się na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska.

Do grupy I zaliczono Niemców-posiadaczy obywatelstwa polskiego lub gdańskiego biorących czynny udział w niemieckim (narodowosocjalistycznym) życiu politycznym. Do grupy II zaliczono Niemców bądź osoby pochodzenia niemieckiego, które zachowały niemiecką świadomość narodowościową wyrażaną na co dzień oraz do wojny nie występowały w sposób aktywny politycznie.

III grupa Niemieckiej Listy Narodowej była wyjątkowo szeroka. Do niej, decyzją twórców dokumentu, należało zaliczyć osoby pochodzenia niemieckiego (spolonizowane), które dawały gwarancję na powrót do narodowosocjalistycznej wspólnoty narodowej, osoby z małżeństw mieszanych (z osobą pochodzenia nienieemieckiego), mające decydujący wpływ na współmałżonka oraz wszystkich tych, którzy – zdaniem twórców rozporządzenia – należeli do grup ludności skłaniającej się ku niemczyźnie (mieszkańcy Pomorza, Śląska).

Grupa IV była przeznaczona dla osób, które co prawda zachowały niemiecką świadomość narodową, ale politycznie przed wybuchem wojny i w czasie akcji wpisowej deklarowały przynależność do polskości⁴.

Wpisowi na Niemiecką Listę Narodową nie podlegali obywatele polscy i obywatele Wolnego Miasta Gdańska, których miejsce zamieszkania z dniem 7 marca 1941 r., tj. wejścia w życie rozporządzenia, znajdowało się na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Z grona osób uprawnionych do wpisu na listę wykluczano również tych, którzy byli posiadaczami obywatelstwa gdańskiego, lecz do dnia wejścia w życie przepisów o Niemieckiej Liście Narodowej nabyli obce obywatelstwo.

Himmler wydał 16 lutego 1942 r. okólnik, w którym precyzował kryteria, jakim podlegali umieszczeni w grupie IV. Zalecał przyjmować do tejże grupy osoby pochodzenia niemieckiego, żyjące w mieszanych małżeństwach z „obcoplemieńcami”, następnie dzieci z małżeństw mieszanych osób pochodzenia niemieckiego i „obcoplemiennego”. W grupie tej znajdowali się również ci, którzy ulegli wpływom Kościoła katolickiego lub ewangelickiego. Zgodnie z okólnikiem do grupy IV wpisywano wszystkich, którzy dobrowolnie wyrzekli się niemieckości ze względów stanowych bądź dla osiągnięcia wysokiej pozycji w Polsce, oraz tych, którzy utracili niemiecką tożsamość narodową na skutek przebywania w izolacji od wpływów

³ Zob. np. *Mit Wirkung vom 1. September 1939 deutsche Staatsangehörige. Errichtung der Deutschen Volksliste*, „Der Danziger Vorposten”, nr 68, 9 III 1941.

⁴ K. Ciechanowski, *Pobór Polaków...*, s. 44–45.

niemieckiej kultury. Posiadaczy IV grupy Himmler polecił określać w sposób oficjalny mianem „spolszczonych Niemców”. Nieoficjalnie jednak nazywano ich renegatami⁵.

Zmiany kryteriów poboru

Wcielanie do wojska odbywało się na mocy ustawy z dnia 16 marca 1935 r. o służbie wojskowej Trzeciej Rzeszy wraz z późniejszymi przepisami wykonawczymi. Do wybuchu wojny w myśl tego aktu prawnego służbę wojskową w armii Trzeciej Rzeszy mógł pełnić Niemiec, który jednocześnie spełniał nazistowskie wymogi rasowe. Zgodnie z paragrafem 4 ustawy czas trwania obowiązku wojskowego ustalono na okres rozpoczęty 19 rokiem życia, a zakończony 45 rokiem życia. Wymóg pełnienia służby podczas wojny podlegał rozszerzeniu o kolejne roczniki⁶.

W okresie od grudnia 1942 r. do sierpnia 1943 r. ponownie przystąpiono do kolejnych regulacji problemów związanych z poborem do armii niemieckiej (w tym i zasad awansowania) osób wpisanych do grupy III oraz ich rodzin, którym przyznano grupę IV Niemieckiej Listy Narodowej.

Osoby należące do grupy III i pełniące służbę wojskową podlegały wielu obostrzeniom, wynikającym z nieufności władz co do ich lojalności wobec Trzeciej Rzeszy. Z wcielonych do Wehrmachtu nie wolno było tworzyć odrębnych pododdziałów, rozdzielając ich w miarę możliwości pojedynczo lub po kilku w plutonie (2–3 osoby). Oprócz tego, zgodnie z zarządzeniem z 25 listopada 1942 r., za próby łamania dyscypliny, usiłowania dezercji lub sabotażu przynależnych do III grupy karano śmiercią. Powołanych do służby wojskowej kierowano od roku 1943 do różnych formacji służących na terenie Rzeszy i państw okupowanych. Powodem, dla którego rozrzucano ich po całej Europie, była obawa administracji przed możliwością popełnienia przez wcielonych dezercji. W tym przypadku represjom podlegali również bliżsi i dalsi członkowie rodzin dezertarów. Możliwość awansu dla osób z poboru ograniczono do stopnia starszego strzelca⁷.

Uchylanie się od służby i dezercje

Występujące przypadki ukrywania się przed powołaniem do wojska były ścigane przez organa powołane do tego celu – żandarmerię, policję i komendę uzupełnień Wehrmachtu. Rozporządzenia o poszukiwaniach osób uchylających się od służby wojskowej publikowano w dziennikach urzędowych właściwych dla danego powiatu. Prócz uchylania się od poboru dość powszechnym zjawiskiem wśród Polaków z ziem wcielonych do Rzeszy była dezercja. Porzucający wrogie szeregi na różnych odcinkach frontu zachodniego trafiali do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Ocenia się, że łącznie do PSZ trafiło ponad 70 tys. Polaków z ziem wcielonych do Rzeszy – dezertarów i osób z obozów jenieckich. Liczba dezertarów na froncie

⁵ P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy...*, s. 134–137.

⁶ W. Kozaczuk, *Wehrmacht 1933–1939. Rozbudowa sił zbrojnych Trzeciej Rzeszy jako narzędzia presji, ekspansji terytorialnej i wojny*, Warszawa 1978, s. 163–167.

⁷ Mimo oddalenia od domu i represji dezercje osób wcielonych do Wehrmachtu z Pomorza były trudne do opanowania przez organa bezpieczeństwa Trzeciej Rzeszy. Urodzony w Gdańsku Zygmunt Chychła (późniejszy mistrz olimpijski w boksie w 1952 r.) służył w armii niemieckiej od 31 I do 1 VIII 1944 r., kiedy zdezerterował i wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (AIPN Gd, 0014F/535, Notatka szefa Miejskiego Sztabu Wojskowego w Gdańsku w sprawie Zygmunta Chychły, b.d., b.p.; J. Morawski, *Lewy sierpowy*, „Rzeczpospolita”, nr 114, 17–18 V 2003; T.Z. Zapert, *Ring, orzeł i swastyka, czyli historia Chychły*, „Życie”, nr 259, 6 XI 2001). Por. K. Ciechanowski, *Pobór Polaków...*, s. 52, 61.

Związek Jaszczurczy wobec poboru rekruta na Pomorzu

Stosunek podziemia oraz władz emigracyjnych do sprawy poboru rekruta przez Niemców był niejednoznaczny, głównie z powodu sytuacji Polaków zamieszkujących ziemie wcielone do Rzeszy, dla których podpis pod Niemiecką Listą Narodową był niejednokrotnie sprawą życia lub śmierci. Jeśli chodzi o ludność Pomorza, stanowisko pragmatyczne reprezentował – wywodzący się z przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego – Związek Jaszczurczy, poprzednik Narodowych Sił Zbrojnych. Istotne było, z kim Polacy w mundurach Wehrmachtu zmuszeni byli walczyć:

„W związku z poborem do wojska niemieckiego Inspektorat Ziemi Zachodnich Związku Jaszczurczego i poszczególne okręgi wydały szereg rozkazów i instrukcji, które streszczały się:

– Starać się uniknąć poboru wszelkimi legalnymi środkami. Nie prowokować represji. Ograniczyć działalność w terenie. Przetrwać.

– Kto z wcielonych dostanie się na front wschodni – walczyć. Nie dać się wziąć do niewoli rosyjskiej. Tam czeka pewna zagłada.

– Ci, którzy znajdą się na zachodnim teatrze wojny – starać się dostać do niewoli przy najbliższej okazji. W niewoli dopominać się o kontakt z wojskowymi władzami polskimi wprost lub przez polskie reprezentacje i przedstawicielstwa.

– Kto znajdzie się na terenach Rzeszy czy krajów okupowanych – przyczyniać się w każdy możliwy sposób do sabotażu, zbierać wiadomości i w miarę okazji (urlopy) przekazywać naszemu Wywiadowi przez dawne swoje kontakty terenowe”.

Mieczysław Dukalski „Plamka”, „Mieczysław Zapora”, p.o. komendanta Okręgu Pomorskiego ZJ, dowódca Akcji Specjalnej Inspektoratu Ziemi Zachodnich ZJ/NSZ

Zob. „Zeszyty do Historii Narodowych Sił Zbrojnych”,
z. 1, Chicago 1961, s. 45–46.

Oprac. Wojciech J. Muszyński

wschodnim, chociażby ze względu na stosunek bolszewików do jeńców, musiała być nieporównywalnie mniejsza. Pomorscy dezercy i poborowi uchylający się od służby w Wehrmachcie zasilili licznie oddziały partyzanckie Armii Krajowej i „Gryfa Pomorskiego” w Borach Tucholskich⁸. Spotykamy ich nie tylko w grupach leśnych na Pomorzu, ale też i w oddziałach partyzanckich AK na terenie całego kraju, z Kresami Wschodnimi włącznie. Wielu z nich zapisało

⁸ K. Ciechanowski (*Pobór Polaków...*, s. 247), pisząc o oddziałach partyzanckich Pomorskiego Okręgu AK, stwierdza wręcz: „Od 1943 roku były one poważnie zasilane przez Polaków wpisanych do III grupy niemieckiej listy narodowościowej, którzy w ten sposób uchylali się od służby w wojsku niemieckim”.

się chlubnie w dziejach swych partyzanckich jednostek. Należy jednak wspomnieć o tym, że część unikających służby wojskowej w armii niemieckiej miała na uwadze nie tyle patriotyzm i niechęć do noszenia obcego munduru, ile dążyła do ratowania własnego życia⁹.

Poborowi o zbyt polskim nazwisku początkowo musieli się liczyć z koniecznością jego zmiany na niemiecko brzmiące, gdyż dotychczasowe brzmienie nastęrczało jego posiadaczowi wielu trudności. Z biegiem czasu odstępowano od tego procederu, pozostawiając nazwisko niemal niezmienione¹⁰. Natomiast polska prasa konspiracyjna sugerowała, że do problematyki używania języka polskiego przez osoby wcielone do Wehrmachtu niemieckie władze administracyjne przez jakiś czas podchodziły dość łagodnie, wręcz ułatwiając możliwość porozumiewania się rekrutów z przełożonymi¹¹.

Z biegiem czasu, w związku z pogarszającą się sytuacją wojenną Niemiec i koniecznością mobilizowania coraz to młodszych i starszych roczników, patrole żandarmerii częściej kontrolowały młodych ludzi. Jednocześnie funkcjonariusze właściwych dla danego terenu komórek NSDAP przystępowali do sporządzania spisów osób zdolnych do służby w formacjach Volkssturmu. Ta akcja rejestracyjna powodowała ucieczki mężczyzn z miast na tereny wiejskie, zwane potocznie „Volkssturmkrankheit” (choroba chroniąca przed Volkssturmem)¹².



Dokonywanie przez władze niemieckie wśród mieszkańców terenów wcielonych do Rzeszy poboru do wojska stanowi część polskiej historii wieku XX. Przez długie lata dla wielu był to fakt wstydlivy, pomijany milczeniem lub wielokrotnie „naciągany” dla uzyskania doraźnych celów. Jednak nie sposób zapomnieć o tym, do dziś bolesnym, fragmencie naszych dziejów.

⁹ P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy...*, s. 142. Różne aspekty służby wojskowej Polaków z Pomorza poruszył J. Borzyszkowski, *O niektórych mitach i realiach życia codziennego Pomorza pod okupacją hitlerowską* [w:] *Spółeczeństwo pomorskie w latach okupacji niemieckiej 1939–1945*, red. K. Minczykowska, J. Sziling, Toruń 2004, s. 20–21. O niektórych aspektach służby wojskowej mieszkańców Pomorza wspomina również M. Owsiniński, *Życie codzienne ludności polskiej na Pomorzu Gdańskim w świetle akt personalnych więźniów Konzentrationslager Stutthof* [w:] *ibidem*, s. 123–124.

¹⁰ P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy...*, s. 142. Zob. Ausweis der Deutschen Volksliste nr 56496 wystawiony w dniu 7 V 1942 r. na nazwisko Eduard Kruzynski (Edward Krużyński) urodzonego w miejscowości Briesen (Brzeziny). Dokument ten wystawiono dla osoby zaklasyfikowanej do III grupy Niemieckiej Listy Narodowej. Por. Soldbuch nr 802 wystawiony w dniu 15 IV 1944 r. na nazwisko Eduard Kruzynski (oba dokumenty ze zbiorów autora).

¹¹ A. Gąsiorowski, *Życie codzienne na Pomorzu w latach 1919–1945 w świetle prasy i źródeł konspiracyjnych* [w:] *Spółeczeństwo pomorskie...*, s. 62–63.

¹² P. Semków, *Polityka Trzeciej Rzeszy...*, s. 143.

„MALGRÉ-NOUS” - ŻOŁNIERZE MIMO WOLI

Oradour

Oradour-sur-Glane to niewielka miejscowość w środkowej Francji. Już sama jej nazwa ma dla francuskiej refleksji nad wojną znaczenie symboliczne. 10 czerwca 1944 r. oddziały niemieckiej dywizji SS „Das Reich” zamordowały tu ponad 600 mieszkańców i spaliły wszystkie zabudowania. Po wojnie nazwa Oradour wróciła do Francuzów raz jeszcze w nowym, dramatycznym kontekście. Oto okazało się, że w zbrodniczych oddziałach służyło 14 młodych Alzatzczyków. Wytoczono im proces w Bordeaux, który zakończył się w roku 1953 wyrokiem śmierci dla sierżanta-ochotnika i skazaniem pozostałych trzynastu na ciężkie roboty. W całej Alzacji i Lotaryngii zawrzało jednak od protestów. Przecież tysiące młodych Francuzów z Alzacji powołano w 1942 r. przymusowo do Wehrmachtu, nawet do Waffen SS. Czy i oni staną przed sądem!? Po wojnie znosili upokorzenia, dla dużej części Francuzów byli zdrajcami. Sprawa Oradour wyostrzyła ten osąd, jednocześnie jednak pozwoliła Francuzom przeżyć w zbiorowej świadomości to, z czym Polacy się mocują do dziś, bo w warunkach państwa komunistycznego jasne postawienie sprawy nie było możliwe. Dla zrozumienia tragicznej sytuacji młodych Pomorzan, Wielkopolan czy Ślązaków, zmuszonych podczas wojny do służby w Wehrmachcie, takie porównanie z losem Alzatzczyków i Lotaryńczyków może być pouczające.

Protesty z roku 1953 doprowadziły do ogłoszenia pospiesznej amnestii dla skazanych. Sprawa nie była łatwa, bo amnestia wywołała z kolei oburzenie bliskich ofiar z Oradour i niechęć do Alzatzczyków, która przetrwała następne kilkadziesiąt lat. Do symbolicznego pojednania i wybaczenia doszło dopiero w roku 1998!

Paradoksy historii

W Strasburgu stoi jedyny w swoim rodzaju pomnik Matki Alzacki, która trzyma na kolanach dwóch martwych synów. Ciało pierwszego opada na zachód, drugiego na wschód. Taki pomnik Matki Polki powinien stanąć w Poznaniu. Byłby równie wymowny. W Wilnie lub we Lwowie powinien stanąć drugi pomnik Matki Polki, której synowie zostali siłą wcieleni do armii sowieckiej. To szczególnie paradoks historii. Przed rokiem gazety na Pomorzu pisały o tym, że konsul rosyjski odznaczył w Słupsku obywateli polskich, w czasie wojny żołnierzy armii sowieckiej, rosyjskimi medalami. Uznano, że popełniono *faux pas*. Nie dlatego wszakże, że w ogóle ich odznaczył, lecz dlatego, że wszystko się odbyło bez udziału przedstawiciela polskich władz. Wyobraźmy sobie, że konsul niemiecki odznacza w Opolu grupę obywateli polskich, w czasie wojny żołnierzy Wehrmachtu, walczących na froncie wschodnim z bolszewikami, którzy we wrześniu 1939 r. napadli bez wypowiedzenia wojny na Polskę. To by dopiero było! A przecież sytuacja jest analogiczna: chodzi o agresorów i organizatorów planowanej (wspólnie!) eksterminacji narodu polskiego, zwłaszcza polskiej inteligencji.



Francuzi ze środowiska „Malgré-nous” („wbrew naszej woli”) często podkreślają wspólnotę losu z Polakami wcielonymi do Wehrmachtu, ponieważ w czasie wojny wielokrotnie się z nimi zetknęli. Młodzi Polacy z kresów zachodnich, urodzeni w latach 1920–1927, mieli w czasie wojny szczególnie silne poczucie rozdarcia, tragedii. Przez tragedię rozumiem brak dobrego wyjścia z sytuacji, kiedy każdy wybór powoduje zło, krzywdę. Znamy przypadki dezercji z Wehrmachtu, których następstwem było skierowanie całej rodziny „zdrajcy” do obozu. Młodzi ludzie uformowani patriotycznie w przedwojennej szkole – na przykładach lwowskich orląt, bohaterów spod Rokitny, Zadwórza, wojny z bolszewikami – we wrześniu 1939 r. w większości jeszcze niepełnoletni, gotowi byli walczyć, konspirować, przekonani, że zwycięstwo jest tylko kwestią tygodni, może miesięcy. I oto gdzieś w roku 1943 czy 1944 dają im mundur Reichsarbeitsdienst, potem Wehrmachtu. Ich rodzice, w szalonym lęku o dzieci, podpisali Volkslistę. To nie był Kraków ani Warszawa. Tam podpis był dobrowolnym wyborem, a w konsekwencji aktem zdrady wobec państwa polskiego. Tu, na terenach wcielonych, na terenie Deutsches Reich, niepodpisanie listy było aktem heroicznym. Potem był obóz lub, w najlepszym przypadku, los obywateli trzeciej kategorii. Ale podpis ze względu na dobro dzieci po kilku latach powracał rykoszetem, gdy z dzieci wyrastali młodzi „Niemcy” podlegający poborowi. Krąg się zamykał. Przejście na drugą stronę frontu trzeba było tak zaplanować, by nie dać się zabić i by wyglądało to na „zagubienie”, a nie ucieczkę. Najłatwiej to było zrobić w ostatnich miesiącach wojny na Zachodzie. A potem żyć, słuchając przez całe lata szyderczych uwag: dlaczego tak późno?

Służącym w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie byłym żołnierzom Wehrmachtu zmieniano dane osobowe, by nie zostali rozstrzelani jako dezercerzy w przypadku dostania

się do niewoli niemieckiej. Chodziło też o losy ich najbliższych w okupowanym kraju. Norbert Warduleński przed wyjazdem do Wehrmachtu we Francji uprzedził rodziców, że przy pierwszej sposobności zdezerteruje do aliantów, i tak zrobił. Rodzice otrzymali oficjalne powiadomienie o zaginięciu syna, a potem byli inwigilowani przez gestapo, więc na wszelki wypadek matka przywdziała żałobę i dała na Mszę św.

Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie – mimo ciężkich strat na polach bitew – ciągle zwiększały swoje stany. Podobno wśród żołnierzy, którzy zdobywali Bolonię, przeważali uciekinierzy z ziem wcielonych do Rzeszy.

Wehrmacht dla wszystkich

W liczącym 4917 osób mieście Kartuzy na Kaszubach mieszkało 4641 Polaków, 256 Niemców i 19 Żydów. Po wybuchu wojny zaczęto osiedlać tu Niemców z Rzeszy, z byłego Wolnego Miasta Gdańska, z państw bałtyckich, z Wołynia i z Besarabii. Na niewiele się to zdało, Niemcy stanowili ciągle mniej niż 10 proc. ludności. By przyspieszyć zaplanowany proces niemczenia, posłużono się Niemiecką Listą Narodową (*Deutsche Volksliste – DVL*). Wprowadzono ją 4 marca 1941 r. Kategorie „Niemców” były bardzo zróżnicowane pod względem przysługujących praw. Nawet dowody osobiste różniły się kolorami. IV grupa DVL obejmowała osoby „niepewne”, nieukrywające swej przynależności do narodu polskiego. Wydawano tym osobom dowody tożsamości koloru czerwonego. Posiadacze grup III i IV mieli mocno ograniczone prawa. Jedyne obowiązki dla wszystkich grup były podobne. Była to przede wszystkim służba w wojsku i w formacjach pomocniczych.

Na Monte Cassino...

Lucjan Balewski z Poznania opowiedział mi następującą, pouczającą historię: „Mówiłem kiedyś znajomemu o swoich wrażeniach z pobytu na cmentarzu żołnierzy polskich na Monte Cassino. Na to mój rozmówca: »Ja też chciałbym tam pojechać i odwiedzić cmentarz na Monte Cassino. Niemiecki... Tam leży mój kuzyn, który zginął podczas nieudanej próby przejścia przez linię frontu do polskiego oddziału«. W czasie wojny niemiecki nauczyciel powiedział mojej siostrze: »losy ludności pogranicza są ciężkie«. Po powrocie do Starogardu, w sierpniu 1945 r., poszedłem na Francuską Górę, leżałem na trawie i byłem szczęśliwy, że wojny już nie ma, a granice od nas tak daleko, że już nikt nie powie mi, że skoro pochodzę z Pomorza, to pewno jestem Niemcem”.

Casus Zygmunt

Miał lat 17, gdy wybuchła wojna. Harcerz, syn nauczyciela z Barłóżna na Pomorzu Gdańskim. Wychowany był w duchu patriotycznym, w gimnazjum nazywano go „Cyceronem” – z powodu sugestywnych recytacji podczas akademii szkolnych. Wstąpił do Sodalicii Mariańskiej, odbył kurs formacyjny. Latem 1941 r. Zygmunt Grochocki został zaprzysiężony w konspiracyjnej organizacji „Jaszczurka”, założonej przez jego kolegów gimnazjalnych. W okresie przymusowej akcji wpisywania ludności polskiej Pomorza na Niemiecką Listę Narodową wiosną 1942 r., został zaliczony do III grupy i w lipcu 1942 r. wcielony do Wehrmachtu. Tu natychmiast, w ekstremalnie niebezpiecznych warunkach, rozpoczął agitację wśród Polaków, żołnierzy Wehrmachtu. Jeszcze jako żołnierz garnizonu malborskiego przyjął przysięgę na wierność Polsce od 10 kolegów z jednostki. Potem trafił do Holandii i do Francji.

Jako żołnierz 108. pułku grenadierów nawiązał kontakt z francuskim ruchem oporu. Był zbyt młody, zabrakło mu doświadczenia konspiracyjnego, nie zachował niezbędnych środków ostrożności. Aresztowany i skazany na śmierć za „zdradę kraju” [!]. Egzekucja odbyła się 20 marca 1943 r. w Nantes. W chwili śmierci miał niespełna 21 lat. Trzy siostry Zygmunta Niemcy wysłali do obozu koncentracyjnego. Była to kara za działalność brata.

Władek

Na terenie okupowanej Francji Władysław Lenz uciekł z Wehrmachtu i wstąpił w lipcu 1944 r. do oddziału partyzanckiego, którym dowodził przerzucony z Londynu, urodzony w Skorzewie na Kaszubach płk Antoni Zdrojewski. Walczył m.in. w Górnej Sabaudii w składzie kompanii, która brała udział w zdobywaniu Thonon i tunelu Le Madeleine oraz przy wyzwalaniu St. Michel i St. Martin de la Porte. W połowie listopada 1944 r., zgodnie z rozkazem z Londynu, 620 partyzantów polskich z tego rejonu przetransportowano do Włoch, jako uzupełnienie jednostek II Korpusu gen. Władysława Andersa, wykrwawionych w bitwie o Monte Cassino i Ankone. Władysława Lenza przydzielono do 9. Batalionu 3. Dywizji Strzelców Karpackich. We Włoszech przeszli szlak bojowy, począwszy od ciężkich walk o przełamanie Linii Gotów nad rzeką Senio oraz walk o Bolonię, do której ze swym batalionem wkroczyli jako pierwsi, wywieszając polską flagę. Tu 9. Batalionowi władze miasta nadały honorową nazwę 9. Boloński Batalion 3. DSK. Władek wrócił do kraju w roku 1947.

Alek

Latem 1944 r. w południowej Francji żołnierz Wehrmachtu Alfons Jabłoński, wraz z paroma kolegami, ucieka do partyzantki francuskiej. Francuzi pomagają mu w przedostaniu się drogą morską do Włoch, do II Korpusu gen. Andersa. Po krótkim, intensywnym przeszkoleniu pełnił niebezpieczną służbę w kompanii saperów 2. Brygady Pancerniej. Przeszedł ciężki dla saperów szlak bojowy II Korpusu od Ankony do Bolonii. Brał udział w specjalnej, nocnej ofensywie pod Bolonią, kiedy w szturmie polskich oddziałów użyto silnych reflektorów przeciwlotniczych, żeby przeszkodzić Niemcom w prowadzeniu skutecznego ognia i uniknąć dużych strat.

Paweł

Kiedy policjant z Schupo uderzył go na ulicy kolbą, oddał mu ciosem w głowę i uciekł. Został aresztowany i po kilku dniach wywieziony na roboty do stoczni w Elblągu. Pod koniec 1943 r. Pawła Rychlickiego wcielono do Wehrmachtu. Na terenie okupowanej Jugosławii uciekł do partyzantów. Z Jugosławii dostaje się do Włoch, a już 12 maja 1944 r. wstępuje do Wojska Polskiego, z przydziałem najpierw do 7. Batalionu Strzelców Karpackich II Korpusu. Od 5 sierpnia bierze udział w walkach frontowych 12. Pułku Ułanów Podolskich, w jednostce pancerniej rozpoznania dywizji. W jednej z cięższych walk nad Adriatykiem od kuli niemieckiego snajpera zostaje ciężko ranny w twarz. Po wyleczeniu przydzielony 15 stycznia 1945 r. do Pułku Ułanów Lubelskich. Awansowany na dowódcę wozu pancernego. 27 marca 1947 r. Rychlicki powrócił do kraju.

Franek

W marcu 1945 r. udało mu się przejść do Anglików. Wcielony do 1. Dywizji Pancerniej, gdzie został kierowcą samochodowym i pancernym. Gdy wojna się skończyła, pozostał w ośrodku szkolenia w Szkocji, gdzie cały wolny czas poświęcał na uprawianie sportu, głów-

nie piłki nożnej i boksu. W roku 1946 Franciszek Rohde został bokserskim mistrzem Szkocji w wadze lekkiej! Latem 1947 r. wrócił do kraju.

Janek

Przed wojną był harcerzem. Mimo niemieckiego nazwiska, często występującego na Pomorzu, Janek Klein czuł się Polakiem. Był wychowany w patriotycznej atmosferze, którą tworzyła szkoła i opowieści ojca – szewca z Gniewa, weterana wojny z bolszewikami 1919–1920 r.



i uczestnika III powstania śląskiego. Miał 12 lat, kiedy wybuchła wojna. Rodzice, ze względu na dobro dzieci, zdecydowali się podpisać DVL, otrzymali III grupę. Młodsza siostra Janka, Celina, zapamiętała ten dzień bardzo dobrze: „Po powrocie z urzędu cały dzień przepłakali. Wiem, że zrobili to dla nas. Znałam przypadki wysyłania całych rodzin do obozu w Potulicach za odmowę podpisania listy”. Potulice były filią KL Stutthof. Tam ludzie umierali. Na decyzję Kleinów miały wpływ narady z sąsiadami, tak jak oni Polakami, którzy uważali, że wojna i tak szybko się skończy, a zanim się skończy, będzie można jeszcze niejedną raz pokazać, kim się jest naprawdę. Teraz najważniejsze to chronić rodziny przed represjami.

Kiedy Janek ukończył 17 lat, trafił do *Reichsarbeitsdienst*, wojskowej formacji pomocniczej. Na zdjęciu z tego czasu widać młodych Polaków z Gniewa w mundurach RAD. Chłopcy w pierwszym szeregu mają nisko opuszczone głowy. Niektórzy w drugim szeregu uśmiechają się szyderczo. Na swój sposób reagują na sytuację, której by się nigdy wcześniej nie spodziewali. Janek stoi ze spuszczoną głową, mundur umyślnie zapiął krzywo, by zademonstrować

swój sprzeciw. Jakiś czas potem jeden z tych chłopców zbiegł z RAD. Podobno marzył o wojsku polskim na Zachodzie. Janek został oskarżony o pomoc w ucieczce i natychmiast trafił do Wehrmachtu. Był listopad 1944 r. 17-letni wrażliwy chłopiec przeżył jeszcze tylko dwa miesiące. Pod koniec stycznia trafił do sowieckiej niewoli, gdzieś pod Głogowem. Niko go tam nie obchodziło, że był Polakiem, dzieckiem jeszcze! Nie wiadomo, jak umarł lub jak został zamordowany. W lutym ślad się urywa, poszukiwania nie dały żadnego rezultatu.

Przez te dwa miesiące Janek wysłał do swoich bliskich w Gniewie ponad 50 wzruszających listów i kartek, które czekają dziś na wydawcę. Ostatnią – 18 stycznia 1945 r. z Brandenburgii. Pisał prawie każdego dnia, czasem dwa razy dziennie! Mimo wojskowej cenzury potrafił w tych listach przekazać nie tylko wielką miłość do rodziny i miejsca urodzenia, ale także refleksje dotyczące swego tragicznego położenia i swoich prawdziwych uczuć. Listy pełne są troski o matkę, o ojca, który też został powołany do Wehrmachtu, zawierają serdeczne pozdrowienia dla wszystkich sąsiadów, których Janek zapamiętał. Zachowały się też listy matki do syna, z wy-



Janek Klein – pierwszy z lewej

razami gorącej miłości, pamięci, słowami modlitwy, oraz listy ojca z frontu do młodszych sióstr Janka. 29 października 1944 r. ojciec pisał z Meerane: „Kochane dzieci. Nie opuszczajcie się w modlitwie. Módlcie się, by dobry Bóg przyprowadził do domu zarówno Waszego tatusia, jak i brata”. Dzień wcześniej Janek pisał do sióstr z Laar: „Dziś w nocy stałem na warcie. Była ciemna noc i mżył drobny deszcz. Przed południem niebo się przejaśniło i zrobiła się piękna pogoda. Czy tak kiedyś i z niepogodą wojny się stanie? Tutaj bezchmurne niebo nas nie cieszy, bo wtedy nadlatują samoloty. Mam nadzieję, że Wy teraz w domu nie doznajecie żadnego zła. Siedzę i myślę o Was, o Tacie i o Mamie. Patrzę na podwórze. Jakaś kura stoi kilka kroków przede mną. Nie przejmuję się wcale, że niedaleko stąd strzela artyleria, że milę stąd przebiega front. Podmucha jesienny unosi mi kartkę, na której piszę, jak gdyby chciał powiedzieć: tu wieje inny wiatr...”

Antek

We wrześniu 1939 r. miał 13 lat. Był harcerzem i uważał, że świetnie nadawałby się na zwiadowcę, znał przecież alfabet Morse’a... Ponieważ mimo to nie chcieli go do wojska, w pierwszych dniach września 1939 r. Antek Górski założył – razem z kolegami Stachem i Witkiem – harcerski Tajny Związek Młodych Lwów. Wstrząsającym przeżyciem była dla chłopców wiadomość o zamordowaniu w podmiejskim lesie ich starszego druha z ZHP, Józefa Grzybka. Zebrali się w pokoju Antka, na strychu. Stolik nakryli białą-czerwoną flagą. Na stoliku położyli książeczkę do nabożeństwa, krzyż harcerski, na środku ustawili krzyż. Odnowili przyrzeczenie harcerskie: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim, być posłusznym prawu harcerskiemu”. Do tych słów dodali o siebie: „i bronić Ojczyzny do ostatniej kropli krwi. Tak nam dopomóż Bóg”.

Jedną z pierwszych akcji zastępu było fotografowanie miejsca masowych zbrodni w Lesie Szpęgawskim pod Starogardem. Cud, że nie zostali aresztowani.

W 1944 r. Antek dostał powołanie do Wehrmachtu. Pierwszą myślą była ucieczka do lasu. Był już umówiony z innymi chłopakami, którzy też otrzymali powołanie. Potem przyszła refleksja: a co z rodzinami? Pocięchą był *Konrad Wallenrod*, którego czytali w ramach latającej polskiej biblioteczki. Przecież Niemcom można szkodzić, będąc wśród nich.

Na peronie prócz zapłakanych rodzin byli SS-mani, SA-mani, Schupo i tajniacy. Ale oni podlegali już wojsku i nie bali się mówić po polsku. Pociąg powoli ruszył. Najpierw była cisza, lecz po chwili cały pociąg, od pierwszego do ostatniego wagonu, śpiewał *Boże, coś Polskę...*

Dopiero pod koniec wojny nadarzyła się Antkowi okazja ucieczki. Oderwał się od oddziału i dał się „aresztować” włoskim partyzantom. Dołączyli inni Polacy. Byli ciągle w niemieckich mundurach, więc zdobyli gdzieś trochę białego i czerwonego fiszbinu i tak jak umieli, ponaszali na mundurach polskie barwy narodowe. Niebawem zostali zatrzymani przez Amerykanów i odstawieni do Livorno, potem do Iolandy, gdzie był przejściowy obóz dla Polaków z niemieckiego wojska. „Do rozpaczki doprowadziła nas wiadomość o zakończeniu wojny. Przecież chcieliśmy się Niemcom odplacić. Niektórzy z nas dostali ataku hysterii. Pocięszano nas, że przecież uderzymy jeszcze na Japonię” – wspominał po latach Antoni Górski.

„Niemcy” prowadzą Niemców...

Przed śmiercią Antoni Górski spisał wspomnienia swoich kolegów, polskich „Malgré-nous”. Oto niektóre z nich.

„Nasze pozycje były na wysokiej górze. Ktoś nas zdradził. Niemcy okrążyli górę i zaczęli atakować. Broniliśmy się, ale oni byli silniejsi. Nie myśleliśmy o poddaniu. Przecież byliśmy uciekinierami. Rozstrzelano by nas, a nasze rodziny byłyby prześladowane. Nie lepsza była sytuacja włoskich partyzantów. W decydującym momencie ich dowódca zastrzelił swoją żonę, synka i siebie. Inni partyzanci też odbierali sobie życie. Nas, Polaków, było tylko dwóch. Co robić? Niemcy atakowali górę z trzech stron. Z jednej strony było strome zbocze, nie do przejścia. Był tam zamrznięty strumyk czy wodospad. Postanowiliśmy tym wodospadem zjechać w dół. Okutaliśmy się w różne ciuchy i płótna namiotowe, co było pod ręką. Ledwo poruszając się, zeszliliśmy niżej, by się ześlizgnąć. Z duszą na ramieniu skoczyliśmy w dół. Objąłem się o różne występy. Wreszcie poczułem straszny ból w nodze i straciłem przytomność. Kolega też zemdał, lecz pierwszy się ocknął. Chociaż strasznie potłuczony, nie miał poważniejszych obrażeń. Ja miałem złamaną nogę. Ukrył mnie półprzytomnego w głębokiej niszy i poszedł po pomoc. Byłem tak grubo ubrany, że nie odczuwałem zimna, ale co chwilę traciłem przytomność. Pomoc nadeszła na drugi dzień. Przetransportowano mnie do jakiejś wioski w górach. Tam na strychu leżał już mój kolega. Mimo opuchlizny zestawiono mi nogę na żywca, z bólu znowu zemdałem. Moim „lekarzem” był człowiek zwany Mani Padre. Po odzyskaniu przytomności napojono mnie i nakarmiono. Ci włoscy górale nie bali się Niemców tak jak Włosi z nizin. Mówili też niezłe po niemiecku. Zresztą, byli sąsiadami Tyrolczyków”.

„To było we Francji. W kilku postanowiliśmy uciec z niemieckiego wojska. Wiedzieliśmy, że u podnóża góry jest zgrupowanie partyzantów. Kiedyś, pełniąc wartę, umówiliśmy się, że przejdziemy do nich. Tak też zrobiliśmy. Francuzi natychmiast nas wykorzystali jako przewodników. Po akcji, zamiast skierować nas do polskich oddziałów, wzięli nas... do niewoli, razem z Niemcami. Na szczęście jakiś niemiecki lekarz przekazał list do konsulatu polskiego. Tymczasem Niemcy chcieli Polaków zlinczować. Trzymaliśmy się razem, żeby się obronić. List dotarł i przysłano polskiego oficera. Byliśmy uratowani”.

„Paweł miał kontakty z francuskim ruchem oporu. Był wśród Francuzów jakiś zdrajca lub specjalnie nasłany przez Niemców szpieg. Niemcom chodziło o listę tych, którzy należeli do organizacji. Okrążyli budynki w kwadracie czterech ulic, gdzie był lokal konspiracyjny. Do obstawy wykorzystano również Polaków. Z bramy, przy której stali Polacy, wyszła jakaś starszuszka przy kijku, ze starą torbą. Paweł natychmiast ją rozpoznał. Była to przebrana młoda dziewczyna, która pracowała dla ruchu oporu. Znała Pawła i dlatego poszła w kierunku Polaków, co ją uratowało. Wyniosła to, czego Niemcy szukali”.

„Byliśmy na froncie, na wysuniętym punkcie. Kolega też Polak. Mimo zakazu paliliśmy papierosy. Naraz patrzmy, a obok nas czołgają się amerykańscy zwiadowcy. W ciemności nie widzieliśmy dokładnie, ilu ich było. Zaryzykowałem i zawałęm: »Ami, I am Polish, go to me!« Zamarli w bezruchu. Za chwilę jeden z nich odezwał się... po polsku! »Polacy!? Let us go!«. Przesunęli się w naszym kierunku. Polak wysunął się naprzód. Chwilę z nami rozmawiał i nadał coś przez radio. Później wypytał mnie o niemieckie posterunki. Wróciliśmy wspólnie do naszego bunkra. Wszedłem pierwszy, zapaliłem świeczkę i zebrałem całą broń. Nawet pas dowódcy, który z kaburą i pistoletem leżał na stole. Wszyscy twardo spali. Tylko jeden mamrotał coś przez sen o zgaszeniu świeczki. Amerykanie weszli do środka. Dowódca, *Unteroffizier*, poddał się. Wyszedłem na zewnątrz, a tam pełno Amerykanów. Przeszli tym

Monument na placu Republiki w Strasburgu

Inicjatorem jego postawienia był Henry Lévy (1871–1937), wybitny obywatel Strasburga, który swój plan wzniesienia pomnika ku czci poległych w wojnie światowej zrealizował dopiero na rok przed śmiercią. Niezbędne środki finansowe (185 tys. franków) zebrano szybko, a twórcą monumentu został rzeźbiarz Léon-Ernest Drivier (1878–1951), który od 1907 r. praktykował u wielkiego Augusta Rodina.

Dzieło pokazuje alegorię Matki Alzacki, trzymającej na kolanach dwóch umierających synów. Jeden patrzy w stronę Francji, drugi w stronę Niemiec. Padli po walce jednego przeciwko drugiemu, ale w chwili śmierci podają sobie dłonie. Odarte z uniformów ciała czynią dramat Strasburga i Alzacji jeszcze bardziej przejmującym.

Pomnik odsłonięto w niedzielę 18 października 1936 r. w obecności Alberta Lebruna, prezydenta Francji. Przemówienie Henry Lévy'ego było poruszające: „Strasburg nie miał dotąd pomnika poległych na wojnie, których tyle jest nawet w najmniejszych miejscowościach we Francji, ale pamięć o poległych pozostawała u nas zawsze żywa, ponieważ poznaliśmy jedną z najbardziej bolesnych stron wojny, kiedy bracia, odseparowani od siebie aneksją 1871 r., przeciwstawiali się sobie i walczyli przeciwko sobie jak wrogowie. Cała tragedia maluje się na zbolącej twarzy pięknej kobiety, która symbolizuje nie tylko ojczyznę, lecz także umęczoną ludzkość, przyjmującą ciała dwóch umierających wojowników, poległych pod dwoma sztandarami. Niech każdy odczuje głębokie przesłanie tego pomnika”.

Po II wojnie światowej monument nabrał nowej treści, związanej z przymusową służbą Alzactczyków i Lotaryńczyków w Wehrmachcie. Wymowną, współczesną interpretację tej alegorii dał przed rokiem Simon Welch. Wykorzystał monument w swojej instalacji artystycznej. Matka Alzatka znajduje się na rondzie, w otoczeniu parku, w samym sercu placu Republiki. Ruch okrężny wokół tego ronda oddaje symbolicznie cyrkulację historyczną Alzacji pomiędzy Francją i Niemcami, a także wzajemnych stosunków tych dwóch państw. Obrazuje też pogmatwaną tożsamość mieszkańców regionu i wynikającą z niej wojenną tragedię.

przesmykiem, którym czołgali się zwiadowcy. Ja wchodziłem jeszcze do innych bunkrów, razem z kolegami Polakami. Później zlikwidowaliśmy jeszcze tzw. punkty wysunięte. Raz tylko bym oberwał, gdyby nie kolega, który strzelił pierwszy. Najciekawsze nastąpiło później. Niemców ustawiono w kolumnę, a nas z karabinami, w niemieckich mundurach, na przemian z Amerykanami, dali jako eskortę. Dziwnie to wyglądało, bo »Niemcy« prowadzili Niemców. Nie wszyscy przecież wiedzieli, że pod niemieckim mundurem bije polskie serce...”

Nie tylko Wehrmacht

Niewiele lepsza była sytuacja młodych Polaków, zaciągniętych wbrew swojej woli do różnych formacji parawojkowych, typu *Arbeitsdienst*, *Arbeitskolonne*, *Baukolonne* etc. Oni również podlegali rygorom wojskowym i również dezertowali, gdy była okazja.

Staszek Mazurowski, przed wojną czołowy skoczek wzwyż na Pomorzu, został w 1943 r. wcielony przymusowo do kolumny roboczej *Arbeitskolonne*. Podczas robót fortyfikacyjnych

„Malgré-nous”

Podobny Pomorzanom, Wielkopolanom i Ślązakom los spotkał Alzatzczyków i Lotaryńczyków, których kraj został anektowany przez Rzeszę 30 listopada 1940 r. Niemcy powołali ich przymusowo do Wehrmachtu na podstawie dekretu gauleitera Roberta Wagnera z 25 sierpnia 1942 r. Liczne były ucieczki do okupowanej zony francuskiej i do Szwajcarii. Reakcja Niemców była w takich przypadkach bezwzględna. W pewnej wsi 19 uciekinierów do Szwajcarii zostało przez żandarmów zatrzymanych i rozstrzelanych, ich ciała tego samego dnia wydano rodzinom.

Większość poborowych wcielono do Wehrmachtu i wysłano na front wschodni, około 2 tys. służyło w SS. W sumie pod niemieckie sztandary powołano około 130 tys. Alzatzczyków i Lotaryńczyków. Straty tych „Malgré-nous” były ciężkie: około 32 tys. zabitych, około 10,5 tys. zaginionych, około 32 tys. rannych, w tym około 10 tys. ciężko rannych. W obozach sowieckich przebywało 23 136 jeńców wojennych z Francji, przeważnie Alzatzczyków i Lotaryńczyków. Większość znalazła się w obozie w Tambowie. Rosjanie nie mieli dla nich litości. Wielu zmarło w niewoli. Śmiertelność jeńców Francuzów wynosiła 5,7 proc., Holendrów – 4,2 proc., Luksemburczyków – 5,6 proc., Jugosłowian – 6,2 proc., Duńczyków – 7,7 proc., Belgów – 8,8 proc. Mimo wszystko była znacznie niższa od śmiertelności wśród Niemców – 15 proc., Rumunów – 29,1 proc. i Włochów – 56 proc. (!). Warunki pobytu w sowieckich obozach (mieszkanie w ziemiankach, jedzenie o wartości 1130 kalorii, ciężka praca w lesie i przy budowie tam, 25 proc. chorujących na tyfus, 15 proc. na gruźlicę) sprawiły, że przeciętny Francuz, powracający z sowieckiej niewoli, ważył 42 kg.

Po powrocie do domów byli żołnierze Wehrmachtu spotkali się z szykanami ze strony wielu rodaków, dla których stali się ludźmi podejrzanymi. Narazili się też członkom Francuskiej Partii Komunistycznej, bo mówili prawdę o nieludzkich cierpieniach jeńców w obozach sowieckich, co nie było wówczas *trendy* w kraju, którego inteligencja była zafascynowana dokonaniem Stalina i jego zbirów.

Beutegermannen lub **Beutekameraden** (niem. *Beute* – łup, zdobycz) – tak w żargonie Wehrmachtu nazywano nieniemieckich, przymusowo rekrutowanych żołnierzy z terenów anektowanych przez Rzeszę.

Oprac. Lucjan Balewski

Źródło: G. Moullec, *Les Prisonniers de guerre français dans les camps russes; De la Wehrmacht aux camps soviétiques. La tragédie des malgré-nous*, „L’Histoire” 2001, nr 255. Zob. także: J. Rutkiewicz, *Francuzi z Hitlerem w tle* [w:] Ch. de la Mazière, *Marzyciel w hełmie*, Warszawa 2005 (wspomnienia dziennikarza kolaboracyjnej gazety „Pays Libre”, ochotnika w 33. Dywizji Grenadierów SS „Charlemagne”); J. Gdański, *Zapomniani żołnierze Hitlera*, Warszawa 2005.

we Włoszech, w czerwcu 1944 r., uciekł do Amerykanów. Potem ochotniczo zgłosił się do II Korpusu gen. Andersa. Został przydzielony do 2. Brygady Pancernej, gdzie ukończył krótki kurs podoficerski. Ponieważ miał maturę, skierowano go do szkoły podchorążych. Po jej ukończeniu został instruktorem kadry w Centrum Wyszkożenia II Korpusu, gdzie przygoto-

wywał kadre podoficerską dla 3. Karpackiej Dywizji Strzelców i 5. Kresowej Dywizji Piechoty. W czerwcu 1947 r. powrócił do kraju.

Zygmunt Lotterhoff „Zyga” był żołnierzem słynnego 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. Po powrocie z niewoli został przymusowo wcielony do brygad budowlanych. W 1943 r. znalazł się we Włoszech. Uciekł do partyzantów, którzy pomogli mu dotrzeć do II Korpusu Polskiego gen. Andersa. Bojąc się o rodzinę w kraju, przybrał nazwisko Lokowski. Otrzymał przydział do 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Brał udział w ciężkich walkach o Ankonę i w całym wyzwolonym szlaku bojowym, aż do zdobycia Bolonii. W 1947 r. wrócił do kraju.

Czesław Goryński został zabrany na roboty przymusowe do francuskiej kopalni. Uciekł stamtąd z dwoma Polakami i pod Calais dostał się do armii amerykańskiej, gdzie zgłosił się do I Korpusu gen. Maczka. Walczył w 1. Dywizji Pancerniej oraz w 16. Samodzielnej Brygadzie Pancerniej na terenie Holandii. Już 5 maja 1946 r. jako żołnierz z bronią wrócił do kraju. Tu tak jak i inni koledzy, musiał się regularnie meldować w UB.

Leon Olszewski został wcielony do brygady budowlanej, w 1944 r. znalazł się we Włoszech, skąd w maju uciekł do Amerykanów. Początkowo był w sztabie amerykańskim tłumaczem polsko-angielsko-niemieckim. Następnie walczył w 2. Brygadzie Pancerniej. Po zdobyciu Bolonii skierowany do podchorążówki na południu Włoch. Przeniesiony w 1946 r. do Anglii, gdzie podjął naukę i został technikiem dentystycznym. Ożenił się i pozostał w Anglii do śmierci.

* * *

Ci, którzy znaleźli się na froncie wschodnim, też niejednokrotnie planowali ucieczkę z Wehrmachtu do Rosjan. Zachowało się jednak niewiele relacji na ten temat. Czy dlatego, że były to nie tak liczne przypadki jak na Zachodzie? A może ci, którzy przeszli, nie mogli już nikomu nic więcej powiedzieć? Skoro Sowieci nie ufali nawet własnym żołnierzom i dla dodania im „odwagi” na froncie strzelali do wycofujących się podczas ataków, to jaką wartość mogło mieć dla nich życie jakiegoś podejrzanego „Niemca”? Wszak „u nas mnogo ludiej”...

Jerzy Hoppe ze Starogardu Gdańskiego dokumentuje losy sportowców z tego powiatu podczas wojny. Udało mu się zebrać liczne informacje na temat tych, którzy zdezerterowali z Wehrmachtu do aliantów. Relacje dotyczące losów ich kolegów na froncie wschodnim są nieliczne i niekompletne. „Na wschodzie rozgrywały się prawdziwe dramaty. Nie wystarczyło zdezerterować z Wehrmachtu, trzeba jeszcze było stanąć przed cynicznym sowieckim politrukiem, dla którego życie ludzkie niewiele znaczyło. Pod Stalingradem na stronę rosyjską przeszedł ciężko ranny Jan Rychlicki (ojciec Teresy Kasprzyk, wielokrotnej reprezentantki Polski w siatkówce), jednak nie uznano go za Polaka, choć było to tak bardzo oczywiste. Trafił do obozu jenieckiego pod Uralem, razem z Niemcami, gdzie w skrajnie trudnych warunkach cudem przeżył. Jego dramatyczne losy to temat na osobną książkę”.

Nie tylko losy Rychlickiego mogłyby posłużyć za kanwę pasjonującej i pouczającej książki. Na wydanie czekają listy Janka Kleina i nieopublikowane, a czasami po prostu jeszcze niezbrane relacje. Czas najwyższy to zrobić, by Matka Polka nie musiała się wstydzić przed Matką Alzatką.

Współpraca: Lucjan Balewski (Poznań), Celina Czudek (Gdynia)
i Jerzy Hoppe (Starogard Gdański)

Brygady międzynarodowe Adolfa Hitlera

Niezależnie od przymusowej mobilizacji prowadzonej na terenach przyłączonych do Trzeciej Rzeszy, do armii niemieckiej, Waffen SS i formacji pomocniczych zgłosiło się w czasie II wojny według ostrożnych szacunków 2–2,5 mln ochotników. Większość pochodziła z okupowanych terenów Europy, azjatyckiej części ZSRS, krajów arabskich, Indii, było też kilkudziesięciu Koreańczyków, Chińczyków i Wietnamczyków. Różniła ich motywacja: wielu było przekonanymi narodowymi socjalistami lub Volksdeuschami, którzy pragnęli uczestniczyć w tworzeniu „Wielkich Niemiec”, część to oportuniści wierzący w zwycięstwo Hitlera i chcący swoim udziałem zapewnić ojczyźnie miejsce w ramach „Nowego Porządku Europejskiego”. Arabscy i hinduscy nacjonałiści liczyli, że walka u boku Niemców przyczyni się do oswobodzenia ich krajów spod dominacji brytyjskiej, wielu ideowych antykomunistów i przedstawicieli narodów ujarzmionych przez ZSRS skorzystało zaś z niemieckiej oferty uczestniczenia w „krucjacie antybolszewickiej”.

Najliczniejszą wszakże grupę stanowili wzięci do niewoli żołnierze sowieccy, którzy wstępowali do tworzonych przez Niemców formacji, szukając ucieczki przed głodem i nieludzkimi warunkami panującymi w obozach jenieckich. Nie zabrakło też poszukiwaczy przygód i zwykłych kryminalistów.

Wartość bojowa jednostek cudzoziemskich była zróżnicowana: część z nich zaliczano do elity niemieckiej armii (np. dywizja hiszpańska lub 5. Dywizja SS „Wiking”), większość jednak charakteryzowała się niskim poziomem wykształcenia i morale, a do tego zasłynęła zbrodniami wojennymi i okrucieństwami w stosunku do ludności cywilnej, np. oddziały ukraińskiej dywizji SS „Galizien” dopuszczały się zbrodni na Polakach w Małopolsce Wschodniej, formacje rosyjskie i muzułmańskie uczestniczące w pacyfikacji Powstania Warszawskiego masowo grabiły i mordowały ludność cywilną.

Największą grupę narodowościową w niemieckich siłach zbrojnych stanowili obywatele ZSRS: Rosjanie, których liczebność szacuje się na ok. 1 miliona (dołączyło też ok. 20 tys. rosyjskich emigrantów, głównie oficerów białej armii), Łotysze i Estończycy – odpowiednio 150 i 100 tys. (częściowo z poboru), Ukraińcy – 75 tys., Kozacy – 70 tys., Litwini – 50 tys., Białorusini – 15 tys. W następnej kolejności: Chorwaci (w tym bośniaccy muzułmanie) – 30 tys., Węgrzy – 20 tys., Serbowie – 15 tys., Albańczycy – 6,5 tys., Rumuni – 3,5 tys., Bułgarzy – ok. 600. Wśród mieszkańców Europy Zachodniej dominowali Holendrzy – 55 tys., a po nich Hiszpanie – 40 tys., Flamandowie – 23 tys., Duńczycy – 20 tys., Włosi (po kapitulacji w 1943 r.) – ok. 20 tys., Francuzi (bez poborowych z Alzacji i Lotaryngii) – ok. 15 tys., Norwegowie – ok. 15 tys., Walonowie – 15 tys., Luksemburczycy (nie licząc przymusowego poboru po 1942 r.) – 2 tys., Finowie – 2 tys., Szwajcarzy – ok. 700, Szwedzi – 300, Brytyjczycy – ok. 100. Wyjątkowo liczne były oddziały sformowane z przedstawicieli środkowoazjatyckiej części ZSRS i narodów Kaukazu: Uzbegy, Kazachowie i Turkmeni – 70 tys., Azerowie – 40 tys., Czeczeńcy, Abchazowie i inne narody Północnego Kaukazu – ok. 30 tys., Gruzini – 25 tys., Ormianie – 20 tys., Tatarzy nadwołżańscy – 12,5 tys., Tatarzy krymscy – 10 tys., Kałmucy – 7 tys. Ponadto w Wehrmachcie, a pod koniec wojny w Waffen SS, służyło 3,5 tys. Hindusów i ok. 5 tys. Arabów i mieszkańców Afryki Płn.

Powyższe, szacunkowe dane nie obejmują wojsk sojuszniczych Trzeciej Rzeszy i paramilitarnych formacji kolaboracyjnych.

Oprac. Wojciech Jerzy Muszyński

JANUSZ MARSZALEC, PIOTR NIWIŃSKI, IPN GDAŃSK

AKOWCY W GDAŃSKU – W OBRONIE SZTANDARU

Zwinąć chorągiew z masztu. Krepą jest zasnuta

Za dywizję Rataja, Okrzei, Traugutta.

Pociąć sztandar w kawałki. Rozdać wśród żołnierzy,

Na drogę niech go wezmą. Na sercu niech leży.

(Kazimierz Wierzyński, *Na rozwiązanie Armii Krajowej*, Nowy Jork, 8 II 1945 r.)

Prześlanie poety było realizowane przez żołnierzy i konspiratorów Państwa Podziemnego przez 45 lat Polski Ludowej. Zanim jednak „pocięli sztandar na kawałki”, wielu wybrało w pierwszych latach powojennych – po rozwiązaniu Armii Krajowej – czynną walkę o niepodległość. Inni zamknęli się we własnej „skorupie”, reszta stała się stronnikiem systemu na pokaz bądź z przekonania. Niewielu jednak zdawało sobie sprawę, że główną rolę, jaką przyjdzie im odegrać, będzie rola strażników pamięci.

Dziwne było to zadanie dla młodzieży, która w 1945 r. właściwie dopiero wchodziła w dorosłe życie. Funkcję tę mogli zacząć realizować dopiero po październiku 1956 r., po zakończeniu terroru stalinowskiego. Spisywanie dziejów Polskiego Państwa Podziemnego stało się powinnością tych, którzy przeżyli komunistyczny terror lat 1944–1956. Misja ta realizowana była w warunkach ograniczeń narzucanych przez władzę, która z niepokojem przyjmowała wszystkie niezależne próby rozliczenia się z przeszłością. Z zadania strażników pamięci środowiska poakowskie (a w istocie zatamizowana społeczność byłych obywateli Państwa Podziemnego) wywiązały się dobrze, mimo że niektórzy – a nawet wielu z nich – zaczęli utożsamiać się z komunistycznym państwem. Legenda przetrwała i, co ważne, przez dziesięciolecia inspirowała młode pokolenia, łącznie ze środowiskami harcerskimi – nawet z kręgów ZHP, „ustawianego” przez władzę komunistyczną.

ŚRODOWISKO WILEŃSKIE

Raporty Służby Bezpieczeństwa jako jedno ze źródeł ideologicznego zagrożenia wskazują środowiska poakowskie, które spisywały „wspomnienia o treści wrogiej ZSRR i Polsce Ludowej”. Jako szczególnie niebezpieczne wymieniane było środowisko wileńskiej AK, skupione w Gdańsku, Wrocławiu i Warszawie. Specyficzna rola przypadła Gdańskowi, który stał się miastem rodzinnym wielu tysięcy wilnian – wygnańców z ukochanego miasta. To oni byli uważani przez SB za główne źródło antysocjalistycznej agitacji. Wraz z akowcami z innych okręgów tworzyli wcale niemałe grono. W 1973 r. SB wytypowała w Gdańsku i okolicach sześciuset byłych akowców i członków innych organizacji podziemnych, wymagających „zabezpieczenia operacyjnego”. Władza obawiała się nie tylko słowa pisanego, ale również nerwowo reagowała na organizowanie kombatanckich uroczystości rocznicowych.

Wielotysięczna rzesza akowców aż do końca lat osiemdziesiątych była pod stałym oglądem bezpieki¹. Tylko w około 100-osobowym środowisku żołnierzy mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” na Pomorzu wytypowano 84 „figurantów” i 7 informatorów (dane z 1954 r.). W latach późniejszych liczba agentury uległa zmniejszeniu, ale akowcy nadal byli typowani jako poważne źródło zagrożenia. Władze niepokoiły się nawet więziami towarzyskimi.

W niniejszym tekście zostanie przedstawiony tylko niewielki, przykładowy fragment walki gdańskiej SB z akowskimi kombatantami, głównie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy walka ta przybrała najostrejsze rozmiary. Przedmiotem zainteresowania operacyjnego gdańskiej Służby Bezpieczeństwa były całe środowiska i poszczególni żołnierze. Bieżącej kontroli podlegali zwłaszcza dowódcy, otaczani szacunkiem przez podkomendnych i angażujący się w akcje środowiskowe o charakterze upamiętniającym, charytatywnym, historycznym czy w rehabilitację osób skazanych w okresie stalinowskim. W sposób szczególny SB inwigilowała najliczniejsze – wielotysięczne, silnie zintegrowane środowiska brygad wileńskich².

Obserwację gdańskiego czy raczej trójmiejskiego środowiska wileńskich kombatantów rozpoczęto już w 1946 r. Związana ona była z próbą likwidacji działających na terenie Pomorza szwadronów partyzanckich, podległych dowódcy 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. „Łupaszcze”. Działania te nie przyniosły większych efektów, z wyjątkiem zwerbowania jednej z łączniczek tych oddziałów, Reginy Mordas-Żylińskiej „Reginy”. Składane przez nią doniesienia były wyjątkowo dokładne i „rzetelne”. Wykorzystano je jednak w pełni dopiero w 1948 r., podczas przeprowadzonej w całej Polsce wielkiej operacji represyjnej w stosunku do środowiska wileńskiego, znanej pod kryptonimem akcja „X”. Aresztowano wtedy tysiące ludzi, wielu skazano na śmierć lub wieloletnie więzienie. Ogrom ujawnionej ówczesnie faktycznej lub rzekomej pracy konspiracyjnej wśród wilnian skłonił komunistyczny aparat represji do kontynuacji obserwacji tego środowiska. W latach 1949–1956 rozpoczęto przeciwko wilnianom w całej Polsce kilkaset operacji, zwerbowano kilkuset informatorów, objęto intensywną obserwacją tysiące osób.

Rok 1956 nie przyniósł jakichś poważnych zmian. Co prawda, intensywność inwigilacji środowiska wileńskiego w stosunku do poprzedniego okresu znacznie spadła, ale w dalszym ciągu utrzymywała się na wysokim poziomie. W przesyłanych przez Wydział III KW MO w Gdańsku do dyrektora Departamentu III MSW sprawozdaniach kwartalnych sprawa inwi-

¹ Więcej o opracowaniu środowisk kombatanckich na Wybrzeżu Gdańskim i ich roli w podtrzymaniu ruchów wolnościowych zob. J. Marszałec, Na „spotkanie” ludziami z AK. SB wobec środowisk akowskich po 1956 r. na Wybrzeżu Gdańskim, „Pamięć i Sprawiedliwość. Pismo Instytutu Pamięci Narodowej”, 2005, nr 1 (7), s. 271–316.

² Mniej intensywnie przypatrywano się szczuplejszym pod względem liczebności środowiskom: 27. Wołyńskiej Dywizji AK, 106. Dywizji AK Okręgu Krakowskiego, 25. Pułku Piechoty AK z Okręgu Łódzkiego. Poza wilnianami szczególną uwagę SB tuż po 1956 r. byli otoczeni: Witold Kucharski „Wicher” (dowódca 1. kompanii 25. Pułku AK Okręgu Łódzkiego), Wincenty Romanowski „Wrzos” oraz zamieszkały w Elblągu Bolesław Nieczuja-Ostrowski „Tysiąc” (dowódca 106. Dywizji AK Okręgu Krakowskiego), który w 2005 r. został uhonorowany nagrodą IPN „Kustosz Pamięci Narodowej”. Mniejsze zagrożenie, zdaniem SB, stanowili akowcy bez większego zaplecza społecznego na Wybrzeżu, np. z Okręgu Lubelskiego AK czy z Ruchu Oporu Armii Krajowej. Jeszcze mniejsze oddziaływanie społeczne miały grupki żołnierzy Okręgu Kielecko-Radomskiego, Warszawskiego oraz innych.

gilacji środowisk kombatanckich wywodzących się z Wilna była jedną z istotniejszych. Rok po roku, kwartał po kwartale informowano o „Sytuacji w środowiskach podziemia”, a w sprawozdaniach tych wilnianie zajmowali z reguły $\frac{3}{4}$ całego tekstu³.

Do najważniejszych spraw prowadzonych w tym okresie należała sprawa operacyjnej obserwacji o kryptonimie „Baza”, założona na środowisko oficerów wileńskiej AK, w szczególności ppłk. Adama Szydłowskiego, por. Witolda Kisiela i por. Teodora Sawickiego. Sprawę tę prowadził osobiście kierownik Grupy I Wydziału III KW MO Gdańsk, kpt. Bolesław Nowiński. Jako główny powód założonej sprawy wysunięto prowadzoną przez oficerów akcję zbierania wspomnień i dokumentów z działalności wileńskiej AK. Miały one posłużyć do napisania monografii, ukazującej faktyczny wkład wileńskiej AK w proces walki o niepodległość Ojczyzny. Tego typu działalność określana była jako „podważanie wysiłku zbrojnego Armii Czerwonej i partyzanckiego ruchu lewicowego”⁴.

Przeciw złotom partyzantów

Odtwarzanie i zacieśnianie kontaktów towarzyskich przez akowców, a co za tym idzie – świadczenie sobie przeróżnej pomocy – wywoływało znaczące zaniepokojenie w gronie funkcjonariuszy SB, szczególnie gdy kontakty towarzyskie zaczęły zmieniać się w „złoty partyzantów”. Takie formy określone zostały jako niebezpieczne „żywienie elementów sanacyjno-akowskich”⁵. Według ustaleń gdańskiej SB, najbardziej intensywnie na tym polu działali partyzanci 3. Wileńskiej Brygady AK.

Głównym animatorem „złotów” był Franciszek Gradzewicz „Bosy”, dowódca plutonu w Brygadzie „Szczerbca”. Pierwszy zjazd kombatancki odbył się w kwietniu 1959 r. Z powodu przeciwdziałania SB nie należał on do udanych, gdyż wzięło w nim udział tylko kilka osób. Ale pomysłu nie zarzucono. Kolejne lata były jednak coraz spokojniejsze dla gdańskiej SB. Wilnianie, zajęci walką o byt, pracą zawodową, zmniejszyli intensywność swojego zaangażowania. Do tego doszła w 1961 r. śmierć ppłk. Szydłowskiego, autorytetu gdańskiego środowiska wilnian. Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych zaangażowanie ponownie zaczęło wzrastać. Osobą, która po śmierci ppłk. Szydłowskiego przejęła niejako prymat nad zacieśnianiem więzi towarzyskich, stała się Sabina Korejwo „Sabina”, sanitariuszka z 3. Wileńskiej Brygady AK. W 1968 r. zaczęła drogą korespondencyjną odtwarzać zerwane więzi. Namawiała swoich towarzyszy broni do przyjazdu, do zorganizowania szerszego spotkania, które stałoby się podstawą do integracji. Zebrała wokół siebie grupę partyzantów z 3. Brygady, zamieszkałych w Trójmieście, w tym Zdzisława Chrystę „Mamuta”. Latem 1968 r. zorganizowano pierwszy „złot 3-brygadowców”, jak zaczęto te spotkania nazywać. Informacja o tym, pozyskana od t.w. „Kismet”⁶, zelektryzowała gdańską SB. Rozpoczęto więc sprawę operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Sabina”, której celem było przeciwdziałanie następnym złotom. Już następny, zorganizowany w prywatnych domkach rekreacyjnych nad jeziorem Mausz, odbył

³ M.in. AIPN Gd, 004677, t. 4, Sprawozdania kwartalne Wydziału III KWMO Gdańsk z 1957 r.

⁴ AIPN Gd, 0027/868, Charakterystyka materiałów sprawy operacyjnej obserwacji pod kryptonimem „Baza” z 6 XI 1961 r., k. 18–19; Relacja Teodora Sawickiego z kwietnia 2004 r. (zbiory Piotra Niwińskiego).

⁵ AIPN Gd, 0046/77, t. 5, Sprawozdanie kwartalne Wydziału III KWMO Gdańsk z 11 XI 1958 r., k. 82.

⁶ O „Kismet” zob. w cytowanym wyżej artykule J. Marszałca, s. 298.

się pod pełną kontrolą SB. Przeprowadzono obserwację zewnętrzną zlotu, wśród uczestników umieszczono zaś „Kismetą”. Od tego momentu zjazdy kombatantów z 3. Brygady odbywały się regularnie mimo prób przeciwdziałania ze strony SB. Zaangażowano funkcjonariuszy z innych województw, którzy mieli za zadanie uniemożliwić przyjazd na dany zlot (włączono ostatecznie pięć komend miejskich MO, 13 komend wojewódzkich i jedną powiatową dla przeciwdziałania przyjazdowi 138 osób). Przeprowadzono kontrole korespondencji, nie dopuszczając do wysyłania zaproszeń na zjazd. Podjęto też szereg inicjatyw we władzach administracyjnych, które miały uniemożliwić spotkania. Jak wynika z zachowanych dokumentów, „w związku z powyższym Służba Bezpieczeństwa planuje podjąć następujące zadania:

- spowodować przeprowadzenie przez jednostkę Kontroli Ruchu Drogowego MO kontroli przejazdu uczestników spotkania na odcinku Sulęczyńno–jezioro Mausz,
- zainspirować sprawdzanie przez służbę leśną, czy uczestnicy spotkania posiadają zezwolenie na palenie ognisk w miejscach zalesionych,
- spowodować, aby ośrodek turystyczny nie przyjął zamówienia na obiad dla uczestników spotkania.

W przypadku naruszenia przez uczestników spotkania jakichkolwiek przepisów porządkowych, zmierzać się będzie do wyciągnięcia konsekwencji na drodze karno-administracyjnej⁷⁷.

Jednak dopiero w 1975 r. udało się tę inicjatywę ostatecznie stłamsić, wprowadzając w środowisku konflikt i zniechęcając do dalszej działalności Sabinę Korejwo.

Zagrożenie – tablica

Kolejnym poważnym problemem dla gdańskiej SB był pomysł ufundowania tablicy pamiątkowej w Bazylice Mariackiej, poświęconej poległym partyzantom z 3. Wileńskiej Brygady AK, który narodził się jesienią 1970 roku. Grono inicjatorów ufundowania tablicy skupiło się właśnie wokół Saby Korejwo (Franciszek Gradzewicz „Bosy”, Zdzisław Christa „Mamut” oraz Władysław Markowski „Dżumba” i Marian Korejwo „Milimetr”).

Dość szybko SB ustaliła, m.in. na podstawie podsłuchu telefonicznego i kontroli korespondencji, że projektantem ostatecznym (pierwotnym pomysłodawcą wizerunku tablicy był Stanisław Kiałka) oraz jej wykonawcą została Elżbieta Szczodrowska, gdańska rzeźbiarka. Natychmiast postanowiono wziąć ją pod obserwację celem odciążenia od wykonywania pracy. SB dowiedziała się, że koszt powstania tablicy zamierzono pokryć przez zorganizowanie zbiórki pieniężnej wśród kombatantów. Ustalono także dość szybko treść tablicy, która pierwotnie miał brzmieć: „Żołnierzom III Wileńskiej Brygady Armii Krajowej »Szczerbca« – świętej pamięci kapitana Fróga, poległym w latach 1943–1944 w walkach o wolność Ojczyzny – Towarzysze Broni”⁷⁸. Jednocześnie na tablicy miały znaleźć się nazwiska poległych partyzantów. Działania związane z przygotowaniem tablicy, według prowadzących sprawę funkcjonariuszy SB, miały „pozostać tajemnicą wobec władzy państwowej”⁷⁹, co nadawało im znamię czynu antypaństwowego. O ile zebrań kombatanckich, „zlotów” trudno było zabronić, o tyle działalność upamiętniającą można było podciągnąć pod odpowiedni paragraf.

⁷ AIPN Gd, 0027/3073, t. 1, Informacja naczelnika Wydziału III KWMO Gdańsk z 7 V 1974 r., k. 56.

⁸ *Ibidem*, t. 2, Informacja naczelnika Wydziału III KWMO Gdańsk z 26 III 1971 r., k. 164.

⁹ *Ibidem*, t. 2, Meldunek o wszczęciu śledztwa w sprawie nr rep. 17/71 nr prok. 12 Ds. 5/71, k. 172.

Na „wniosek Wydziału Śledczego Prokurator Wojewódzki w Gdańsku wszczął w tej sprawie śledztwo z art. 273 § 1 KK”¹⁰. Zarzuty dotyczyły prawa karno-administracyjnego: naruszenia przepisów o zbiórkach publicznych i braku pozwolenia na zawieszenie tablicy od wojewódzkiego konserwatora zabytków. Zaplanowano więc „przesłuchanie w charakterze świadków osób zajmujących się realizacją tablicy na okoliczność: zawiązania się grupy [...] finansowania projektu i dokonania nielegalnej zbiórki pieniędzy [...] odbytych spotkań i ich treści [...]. Po wykonaniu wszystkich czynności opracować szczegółową informację dla instancji politycznych w celu rozwiązania tej grupy na płaszczyźnie politycznej lub administracyjnej”¹¹.

W ramach prowadzonego śledztwa prokuratorskiego zaczęto wzywać na rozmowy osoby, które były zaangażowane w realizację tablicy. Zastępca naczelnika Wydziału Śledczego st. insp. Wydziału Śledczego mjr Franciszek Kurczyński przeprowadził wiele „rozmów wyjaśniających” w gdańskiej KW MO z osobami, które mogły posiadać wpływ na prace przy wykonaniu tablicy, w tym z przełożonymi rzeźbiarki w Pracowni Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Tymczasem podjęta przez Wydział „W” KW MO w Gdańsku inwigilacja korespondencji małżeństwa Korejwów dostarczyła informacji na temat rozpoczętej przez „Sabine” zbiórki. Tym razem nie tylko otwarto i skontrolowano korespondencję, ale także zatrzymano jej część do dyspozycji prokuratury. Do tej pory bowiem, zbiórka prowadzona była na zasadzie znajomości, teraz, przez rozesłane po Polsce pisma, zaczęto zbierać pieniądze niemal masowo, starając się nadać temu pewne sformalizowane ramy. SB uznała to za „zbiórkę publiczną” podlegającą specjalnym obostrzeniom prawnym, które w tym wypadku zostały naruszone. Działania SB, po włączeniu do sprawy prokuratury, nie były już dyskretne i zorientowały Korejwów o inwigilacji ich przedsięwzięcia. Sabina Korejwo wysyłała więc kartki pocztowe z prośbą o potwierdzenie, że przesyłka doszła. Masowe odpowiedzi o braku otrzymania przesyłki były wystarczającym znakiem ingerencji władz. Korejwo zdecydowała się wtedy na ukrycie części ewidencji wpłat i dokumentacji u jednego ze znajomych, którego tożsamość, mimo starań SB, pozostała nieznana. Jednocześnie Zdzisław Christa rozpoczął starania o „legalizację” przedsięwzięcia. Zwrócił się do Prezydium MRN, a następnie do WRN w Gdańsku, z prośbą o zgodę na przeprowadzenie publicznej zbiórki pieniężnej. Zgody jednak nie uzyskał, a wręcz przeciwnie, zagrożono mu, że kontynuacja zbiórki będzie wiązała się z sankcjami karnymi.

Działania SB zaczęły w tym momencie przynosić spodziewane skutki. Na podstawie decyzji prokuratora skłoniono m.in. wiceprzewodniczącego Obywatelskiego Komitetu Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa Tadeusza Matusiaka do cofnięcia pierwotnej decyzji, wyrażającej zgodę na instalację tablicy.

Jednocześnie zaczęto działania represyjne w stosunku do rodziny Korejwów. W rozmowie służbowej z dyrektorem III LO w Gdańsku, do którego uczęszczał Ryszard Korejwo, młodszy syn Sabiny, zasugerowano chęć usunięcia go ze szkoły i skierowania do pracy. Dyrektor jednak sprzeciwił się relegacji. Przeprowadzono też rozmowy „ostrzegające” z Korejwami i Zdzisławem Christą. Nie przyniosły one jednak żadnego efektu.

Wobec uporu Korejwów postanowiono przeprowadzić „rozmowę operacyjną” z Elżbietą Szczodrowską, by zaniechała pracy lub opóźniła termin jej oddania tak, aby SB miała czas na

¹⁰ *Ibidem*, t. 2, Informacja naczelnika Wydziału III KWMO Gdańsk z 26 III 1971 r., k. 165.

¹¹ *Ibidem*, k. 163–166; *ibidem*, Meldunek o wszczęciu śledztwa w sprawie nr rep. 17/71 nr prok. 12 Ds. 5/71, k. 172. Działania te realizował kpt. Zygmunt Borawski, st. inspektor Wydziału Śledczego.

podjęcie innych kroków. Postraszone więc Szczodrowską, że bierze udział w nielegalnej operacji, za którą grozić jej będą sankcje karne. Starano się także wykorzystać „własne uczucia o charakterze społeczno-politycznym”¹², argumentując, że najlepszym miejscem wmurowania tablicy byłoby Muzeum Wojska Polskiego, gdyż w Gdańsku działały szwadrony mjr. „Łupaszki”. Szczodrowska zgodziła się zerwać umowę pod pozorem nieotrzymania oficjalnego zezwolenia władz. Prosiła tylko o rekompensatę finansową ze względu na trudną sytuację materialną, w jakiej się znajdowała, i o zwrot pieniędzy wydatkowanych na materiały. Po uzyskaniu wstępnej akceptacji rekompensaty strat finansowych przez SB rozmowa została zakończona. Jednak już dwa dni później okazało się, że Szczodrowska dotrzymała umowy i sporządziła tablicę na czas. SB próbowała jeszcze namówić ją do uszkodzenia tablicy. W razie odmowy zamierzano tego dokonać przed jej wmurowaniem, zaplanowanym na 25 września 1971 r. w Bazylice Mariackiej.

Ostatecznie plany te zarzucono. Powodem była decyzja pierwszego sekretarza KW PZPR w Gdańsku Stanisława Karkoszki, który zezwolił na uroczyste odsłonięcie. Także tutaj SB zareagowała natychmiast, prosząc Karkoszkę o potraktowanie Sabiny Korejwo „z dużą rezerwą i ostrożnością”¹³. Interwencja poskutkowała tylko częściowo. Korejwo uzyskała poparcie władz partyjnych dla umieszczenia tablicy, jednak nie w Bazylice Mariackiej, ale w małym i rzadko uczęszczanym przez turystów kościele pod wezwaniem św. Bartłomieja. Tam więc odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, poświęconej poległym żołnierzom 3. Wileńskiej Brygady AK.

Esbecy postanowili wykorzystać ten moment do zebrania nowych danych, by wykorzystać je do dalszego rozpracowywania środowiska wileńskiego. Zatrudniono m.in. funkcjonariuszy z Wydziału „B” (techniki operacyjnej), którzy nagrali treść kazania i wykonali w sposób tajny szereg fotografii uczestników uroczystości. Uroczystość była bardzo podniosła. Wzięło w niej udział, według szacunków SB, 350 osób, w tym 30 młodych ludzi (co szczególnie pieczołowicie odnotowano). Wśród zebranych było 65 osób spoza Trójmiasta, zaproszonych przez Korejwów. Honorowymi uczestnikami uroczystości, uważanymi za czołowe postacie, byli Sabina i Marian Korejwowie, Zdzisław Christa oraz najbliższa rodzina Gracjana Fróga „Szczerbca”. Po poświęceniu tablicy odprawiono żałobną Mszę świętą w intencji poległych partyzantów, celebrowaną przez dwóch księży¹⁴. Bezpośrednio po uroczystościach, między godz. 18.00 a 21.00, około 120 kombatanatów spotkało się w sali klubowej PAX przy ul. Mariackiej. Mimo że spotkanie było zamknięte, dzięki swoim informatorom SB poznała jego przebieg. Niewielka grupka uczestników udała się do mieszkania Korejwów, gdzie nostalgicznie wspomniano czasy wojny, m.in. śpiewając partyzanckie piosenki. Następnego dnia o godz. 10.00 odbyła się Msza św. żałobna w intencji poległych partyzantów z 3. Brygady, w czasie której złożono wiązanki kwiatów pod tablicą. Po jej zakończeniu grupa około 50 osób udała się na Westerplatte, gdzie w sposób zorganizowany złożono kwiaty pod pomnikiem. Spotkanie zakończyło się uroczystym obiadem w restauracji „Monopol”.

¹² *Ibidem*, Notatka służbowa naczelnika Wydziału III KWMO Gdańsk z 9 IX 1971 r., k. 227; *ibidem*, Plan rozmowy operacyjnej z Elżbietą Szczodrowską z 13 IX 1971 r., k. 228-230.

¹³ *Ibidem*, Notatka służbowa inspektora Wyzd. III K. Zajewskiego z 29 VI 1971 r., k. 222; *ibidem*, Notatka służbowa naczelnika Wydziału III KWMO Gdańsk z 6 VIII 1971 r., k. 226; *ibidem*, Informacja dot. aktualnej sytuacji wśród byłych członków AK dla KW PZPR Gdańsk z 14 IX 1971 r., k. 249.

¹⁴ SB stwierdziła z niejaką ulgą, iż kazanie nie zawierało akcentów politycznych. Nie zaintonowano także *Boże, coś Polskę*.

Nagonka na „Sabinę”

Odsłonięcie tablicy odbyło się mimo opisanych działań SB. Wykorzystano jednak ten moment do dokładniejszego zorientowania się w sytuacji środowiska akowskiego, niezwłocznie zaczynając kampanię, której celem była jego destabilizacja. Przede wszystkim, głównie przez tajnych współpracowników, wprowadzono konflikty między kombatantami. Zasugerowano Sabinie Korejwo, że jest jedyną osobą, której „chce się” organizować tego typu uroczystości. Nie była to prawda, gdyż środowiska olsztyńskie, szczecińskie i wrocławskie także chciały zorganizować „zjazdy” wilnian, ale próby te zostały niejako „w zarodku zduszone” przez tamtejsze pionys SB, poinformowane o tym fakcie przez gdańską bezpiekę. Jednocześnie zaczęto intensywną nagonkę na „Sabinę”, wprowadzając przez tajnych współpracowników fałszywe informacje o jej współpracy z SB. „Podobno dzięki pani Sabinie Korejwo, Służba Bezpieczeństwa otrzymała kompletne listy imienne znamienitej większości byłych żołnierzy [3.] brygady, ponieważ byli oni ofiarodawcami sum pieniężnych, które wpisywali podpisując się na listach, przedłożonych im przez osoby przeprowadzające kwestę pieniężną”¹⁵. Zaczęto też wykorzystywać uzyskane w ciągu dotychczasowej działalności informacje z życia osobistego Korejwów, by doprowadzić do destabilizacji rodziny. W efekcie Sabina Korejwo poczuła się opuszczona i niedoceniona przez środowisko, dla którego tak wiele dokonała. Po 1975 r., kiedy kolejny „zjazd” nie doszedł do skutku, zaczęła się wycofywać z aktywnej działalności. SB dopięła wreszcie swojego celu. Aż do 1980 r. środowisko wilnian w Trójmieście nie przejawiało już aktywności na tak wielką skalę jak dotychczas.

ŚRODOWISKO WOŁYŃSKIE

W krótkim szkicu należy zwrócić uwagę także na Wincentego Romanowskiego – „zamitowanego z przymusu” gdańszczanina, który nigdy nie zapomniał swej małej ojczyzny – Wołynia. Ten znany i ceniony kronikarz i historyk Armii Krajowej, oficer 27. Wołyńskiej Dywizji AK, był jednym z najbardziej świadomych, a jednocześnie najsilniej inwigilowanych akowców w Gdańsku. W 1961 r. funkcjonariusz SB pisał o nim: „Jest to człowiek obcy nam i przeciwny ideologicznie”¹⁶.

Kronikarz

Pierwszą sprawę dotyczącą Romanowskiego założono 27 lutego 1959 r. (sprawa agenturalnego sprawdzenia o kryptonimie „Kronikarz”)¹⁷. Kłopoty Romanowskiego z bezpieką zaczęły się od przechwycenia jego listów do mieszkającego w Paryżu przyjaciela z lat szkolnych, Jerzego Jankowskiego. Wypowiadał się w nich na temat rewolucji 1956 r. na Węgrzech. SB uznała rzecz za tak poważną, że 17 września 1959 r. zdecydowano się na przekształcenie sprawy agenturalnego sprawdzenia w sprawę ewidencyjno-obszerną (o kryptonimie „Organizator”)¹⁸.

¹⁵ *Ibidem*, Wyciąg z doniesienia t.w. ps. „Huzar” z dn. 19 XI [19]73 r., k. 30.

¹⁶ AIPN Gd, 0027/933, Ocena i analiza sprawy operacyjnej obserwacji krypt. „Organizator”, 15 XI 1961 r., k. 19.

¹⁷ *Ibidem*.

¹⁸ *Ibidem*, Postanowienie o przekształceniu sprawy agenturalnego sprawdzenia na sprawę ewidencyjno-obszerną krypt. „Organizator”, 17 IX 1959 r., k. 10.



Wincenty Romanowski – harcerz, akowiec, historyk

Urodził się 18 VII 1912 r. w Dąbrowie w powiecie łuckim. W młodości działał w harcerstwie. Uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r. W AK był zastępcą dowódcy Obwodu Zdołbunów; walczył w 27. Dywizji Wołyńskiej AK, nosił pseudonimy „Wrzos” i „Makitra”. Po wojnie mieszkał w Makowiskach w gminie Solec Kujawski, w Bydgoszczy, a następnie w Gdańsku. W 1949 r. ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pracował jako referent prawnie-ekonomiczny w Wojewódzkim Zarządzie Budownictwa w Gdańsku i innych przedsiębiorstwach. Po 1990 r. opublikował książki *Kainowe dni* (Warszawa 1990) oraz *ZWZ-AK na Wołyniu 1939–1944* (Lublin 1993). W maszynopiśmie pozostają jego wspomnienia z kampanii wrześniowej. Po 1990 r. nadal zajmował się działalnością społeczną. Swoje zbiory, m.in. materiały dotyczące Wołynia w czasie wojny, przekazał Bibliotece PAN w Gdańsku. Zmarł w Gdańsku 8 VIII 1995 r.

Oprócz komentowania bieżących wydarzeń politycznych Romanowski zajmował się typową dla wielu ideowych akowców działalnością kronikarską. Został głównym historykiem dziejów AK na Wołyniu. Kontaktował się nawet z Melchiorzem Wańkowiczem, którego przekonywał do napisania książki o walkach 27. Dywizji (ten jednak propozycję odrzucił, podobnie jak próby płynące ze środowiska wileńskiego, uważając je za donkiszoterię). Bezpieka zwracała szczególną uwagę na Romanowskiego, gdyż posiadał spisy oficerów jednostki – „jak gdyby ewidencję kadry oficerskiej”. W sprawozdaniach bezpieki przedstawiano je jako dowód na niebezpieczne, mobilizacyjne plany AK¹⁹. Równie groźne wydawały się jego kontakty z Jerzym Jankowskim, działaczem emigracyjnym z antykomunistycznego Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”. W postanowieniu o wszczęciu sprawy operacyjnej o kryptonimie „Kronikarz” pisano: „z kontrwywiadowczego i operacyjnego punktu widzenia do osoby Romanowskiego odnieść się trzeba jak najbardziej poważnie, bacząc, że w określonych warunkach politycznych może on stać się wybitnie szkodliwym politycznie, a niewykluczone, że może być wykorzystany i przez obcy wywiad”²⁰.

Romanowski był śledzony przez wiele następnych lat, kiedy zbierał materiały historyczne i pisał „do szuflady” swoje książki. Miał dość rozległe plany – z jednej strony gromadził materiał o zbrodniach UPA i dziejach AK na Wołyniu, a z drugiej chciał pisać o „praworządności” w PRL i represjach UB na przykładzie młodzieżowej grupy antykomunistycznej Związek Skautów Polski Walczącej, działającej na początku lat pięćdziesiątych w Pasłęku. Inicjatywa ta wygasła razem z nadziejami na rzeczywistą odnowę życia społeczno-politycznego w Polsce w 1957 r. Gdańską SB niepokoiło to, że „figurant” stawał się łącznikiem między starą generacją oficerską AK a młodym pokoleniem, czerpiącym ideowo z Polski Walczącej.

¹⁹ *Ibidem*, 0046/23, t. 3, Sprawozdanie KW MO za I kwartał 1959 r., 13 IV 1959 r., k. 6.

²⁰ *Ibidem*, 0027/933, Postanowienie o wszczęciu sprawy agenturalnego sprawdzenia przeciwko Wincentemu Romanowskiemu, 27 II 1959 r., k. 3.

Wiedza SB o życiu, kontaktach i planach Romanowskiego początkowo była niewielka. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych bezpieka nie mogła znaleźć w jego otoczeniu odpowiednich kandydatów na tajnych współpracowników. Korzystano więc z pomocy kadr zakładu pracy i z „techniki operacyjnej” (kontrola korespondencji i podsłuch telefoniczny). W 1963 r. próbowano też kilkakrotnie wpływać na Romanowskiego w trakcie starannie przygotowywanych rozmów, był on jednak inteligentnym i trudnym do zastraszenia rozmówcą. Był też spostrzegawczy i sprytny – od 1958 r. wiedział, że jest inwigilowany. Wtedy zmieniło się „zabarwienie polityczne” jego listów do Jankowskiego. SB przypuszczała, że Romanowski specjalnie zaczął wychwalać stosunki w PRL, aby wyrobić sobie „legendę” lojalnego obywatela.

Integracja środowiska

Mimo osaczenia pozostawał czynny, silnie integrując środowisko wokół idei utrwalenia jego historii. Uczestniczył w spotkaniach kombatantów 27. Dywizji na Lubelszczyźnie. Sam organizował mniejsze zebrania i narady w swoim domu na gdańskiej Starówce. Miały one charakter spotkań towarzyskich „przy kawie”. W jego kręgu obracało się około czterdziestu oficerów, w tym płk Kazimierz Bąbiński „Luboń” (komendant Okręgu Wołyńskiego AK) i mjr Tadeusz Sztumberk-Rychter „Żegota” (szef sztabu i następnie dowódca 27. Wołyńskiej Dywizji AK). Jak pisali esbecy, Romanowski wykazywał „wiele przedsiębiorczości w łączeniu tych osób i utrzymywaniu z nimi kontaktów zarówno listownych, jak też gdzie się tylko da zrobić – osobistych”²¹. Jego autorytet rósł z biegiem lat. Od 1964 r. był głównym organizatorem weryfikacji stopni oficerskich i akcji odznaczeniowej żołnierzy 27. Dywizji. O pomoc zwracały się do niego osoby z całej Polski. Mimo że wyrastał na osobę „numer jeden” wśród Wołyniaków i zacieśniał więzy z emigracją „londyńską”, w 1965 r. SB zatwierdziła wniosek o zakończenie sprawy „Organizator”. Funkcjonariusze uznali, że nie „prowadził żadnej wrogiej działalności i do PRL ustosunkowany jest pozytywnie”²². Ta niekonsekwentna postawa gdańskiej SB, która jeszcze rok wcześniej zupełnie inaczej oceniała Romanowskiego, wiązała się z ogólną strategią MSW porządkowania spraw akowskich. W tym czasie dokonuje się zamykanie wielu, wydawać by się mogło, dobrze rokujących spraw „starej bazy” i przechodzenie na metodę wrywkowej kontroli „figurantów”.

Nieustraszony

Romanowski pozostał w spisach „elementu wrogiego”, by jego sprawa mogła być w każdej chwili odkurzona. Stało się tak na początku lat siedemdziesiątych na fali nowej ofensywy gdańskiej SB wymierzonej w odtwarzających dawne więzi koleżeńskie akowców.

W tym czasie Wincenty Romanowski kontynuował z zapałem działalność kronikarską, przygotowując się do napisania dziejów AK na Wołyniu. Ten – jak pisała SB – „praktykujący katolik o idealistycznym światopoglądzie i prosanacyjnej orientacji” w październiku 1977 r. stał się obiektem ponownych, tym razem intensywniejszych niż w latach sześćdziesiątych czynności operacyjnych SB. Wyniku starań SB nie znamy z powodu niezachowania się materiału archiwalnego. Zachowany piętnastopunktowy plan działań operacyjnych z pewnością

²¹ *Ibidem*, Postanowienie o przekształceniu sprawy agenturalnego sprawdzenia na sprawę ewidencyjno-obszerną krypt. „Organizator”, 17 IX 1959 r., k. 11.

²² *Ibidem*, Wniosek o zakończenie sprawy operacyjnej obserwacji dotyczącej Wincentego Romanowskiego, 4 I 1965 r., k. 30–31.

był skrupulatnie realizowany. Efekty tych starań, w tym rozmowy profilaktyczno-ostrzegawczej, nie mogły być jednak – zważywszy na charakter „figuranta” – imponujące. Tak jak poprzednio, Romanowski nie dał się zastraszyć i nadal gromadził materiały historyczne, spotykał się z wieloma kombatanami, przyjaźnił z ks. Józefem Zator-Przytockim – byłym kapelanem AK i żywą legendą Kościoła gdańskiego. Utrzymywał bliski kontakt ze znanym gdańskim akowcem, Witoldem Kucharskim. Był współorganizatorem wielu rocznicowych nabożeństw i animatorem spotkań wołyńskich harcerzy. To on zainicjował i nadzorował wmurowanie tablicy pamiątkowej ku czci 27. Wołyńskiej Dywizji AK w Bazylice Mariackiej w Gdańsku. Zbierał też fundusze na tablicę ku czci marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Na zaproszenie Romanowskiego przyjechał do Polski z ZSRS na kilka miesięcy ks. Józef Kuczyński, dziełny kapłan, który po wieloletnich łagrach pozostał w Sowietach i głosił słowo Boże.

Wydaje się, że Romanowski miał ciekawą cechę, charakterystyczną dla wielu osób świadomych, że są obiektem „rozpracowania” przez SB: w sytuacji napiętej potrafił usuwać się w cień, schodząc na jakiś czas z pola widzenia bezpieki. Efekty tej postawy stały się oczywiste w latach dziewięćdziesiątych, kiedy zaczęły ukazywać się jego książki.

„Z uwagi na niekorzystną sytuację...”

Zanim jednak to nastąpiło, 1 lutego 1977 r. stał się „figurantem” piątej z kolei sprawy operacyjnej. Tym razem poważniejszej – objęto go kategorią „operacyjnego rozpracowania”, a nie „sprawdzenia”, jak do tej pory. W wykryciu „przestępstwa” i tym razem, tak jak w 1961 r., pomogła SB kontrola korespondencji. Wydział „W” znalazł w anonimowych przesyłkach do sześciu osób tłumaczenie z francuskiego artykułu *Polityka rządu polskiego w kwestii Kościoła* oraz wiersz *Pastorałka 70*, nawiązujący do wystąpień na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. Rozpoczęto śledztwo, porównywano wzory pisma maszynowego, typowano autorów. Ogółem porównano z materiałem dowodowym 2 tys. wzorów pism. Ta żmudna praca w połączeniu z analizą cech osobowościowych i przeszłości osób sprawdzanych pozwoliła jednoznacznie wskazać na Romanowskiego jako kolportera tekstów. Mimo dowodów nie zdecydowano się jednak na dalsze działania, jak choćby przeszukania czy „rozmowy ostrzegawcze”. Ograniczono się do odmowy wydania paszportu. Uzasadnienie zamknięcia sprawy, ukazujące metody SB i jej pragmatyzm, warto przytoczyć w całości: „Z uwagi na niekorzystną sytuację operacyjną w kraju postanowiono odstąpić od zaplanowanych przedsięwzięć. Zmianę decyzji uzasadniono tym, że figurant posiada biegłą znajomość prawa, a materiał dowodowy opiera się na dokumentach »W« [niejawnej kontroli korespondencji] i danych operacyjnych [m.in. agentury]. Ponadto powiązania figuranta ze środowiskiem sanacyjno-wojskowym oraz klerem katolickim, zajmującym w hierarchii kościelnej eksponowane stanowiska, stwarzają mu dogodne warunki do ewentualnego kontaktu z osobami wchodzącymi w skład grup »opozycyjnych«, co w przypadku wykorzystania przez niego tej ewentualności mogłoby wywołać niepożądane reperkusje prawne i społeczno-polityczne. W związku z powyższym dalsze działania w sprawie skierowane zostały na rozpoznanie aktualnej postawy figuranta i stwierdzenie, czy działalność objęta zagrożeniem jest przez niego dalej kontynuowana”²³.

²³ *Ibidem*, Meldunek operacyjny dotyczący kolportażu materiałów o treści antysocjalistycznej, 28 X 1977 r., k. 20; *ibidem* Notatka służbowa dotycząca sprawy operacyjnego rozpracowania krypt. „Papista”, 24 VI 1977 r., k. 36–37.

Wypadek?

Po stwierdzeniu, że Romanowski zaprzestał kolportażu „antysocjalistycznych materiałów”, SB odstąpiła od systematycznych działań operacyjnych, „sprawdzając” go doraźnie. W latach osiemdziesiątych odświeżyła stare materiały i rozpoczęła nową „sprawę operacyjną”. Zarzuty wobec Romanowskiego były poważniejsze, gdyż jako radca prawny „Solidarności” znalazł się w centrum polskiej „kontrewolucji”. Po ciężkim wypadku w grudniu 1980 r. (został przejechany na pasach przez samochód) wycofał się z życia społecznego. W środowisku przyjaciół pozostało przekonanie, że wypadek to robota bezpieki. Inną niewyjaśnioną sprawą jest włamanie do mieszkania Romanowskiego pod nieobecność domowników. Zginęło zaledwie kilka drobiazgów, nie było też śladów wejścia²⁴. Okoliczności pozwalają przypuszczać, że było to działanie SB, która weszła do mieszkania w celu założenia podsłuchu telefonicznego bądź tajnego przeszukania.

Po wypadku ze zdwojoną siłą kontynuował pracę nad monografią ZWZ i AK na Wołyniu. Próbował sformalizować swoje badania, początkowo nawet udało mu się uzyskać pomoc na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie uczęszczał na seminarium doktoranckie. Współpraca ta, najprawdopodobniej pod naciskiem SB, została przerwana. Wsparcia udzielił mu wówczas doc. Tomasz Strzembosz, który został nieformalnym opiekunem pracy. Nie było jednak możliwości, aby przedstawić ją jako dysertację doktorską. Po latach, już w wolnej Polsce, wydało ją drukiem wydawnictwo Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Zmarł w 1995 r. i został pochowany w kwaterze AK na cmentarzu Łostowickim w Gdańsku. Na wydanie czekają jego wspomnienia z 1939 r. Ukażą się prawdopodobnie w 2007 r.

²⁴ Notatki z rozmowy z Haliną Pamięta-Romanowską, 3 XII 2004 r., w zbiorach autora.

RACJA PO ICH STRONIE

LUDNOŚĆ POMORZA GDAŃSKIEGO WOBEC 5. WILEŃSKIEJ BRYGADY AK MJR. ZYGMUNTA SZENDZIELARZA „ŁUPASZKI”

Jesienią 1945 r. na Pomorze przybywa wraz ze swymi najbliższymi współpracownikami Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” – oficer służby stałej WP, dowódca 5. Wileńskiej Brygady AK, zwanej „Brygadą Śmierci”, dowódca oddziałów partyzanckich Eksterytorialnego Ośrodka Mobilizacyjnego Wileńskiego Okręgu AK na Białostocczyźnie i Pomorzu. Mjr „Łupaszka” należy do najwybitniejszych postaci konspiracji antykomunistycznej, został uznany przez komunistów za jednego z największych wrogów.



O jego popularności, a także silnej pozycji świadczy to, że był on tropiony i zwalczany z niezwykłą zaciętością i brutalnością, a negatywna kampania propagandowa nie ustała nawet po schwytaniu Majora i wykonaniu wyroku śmierci.

W stosunku do mjr. „Łupaszki” oraz jego podkomendnych przez cały okres trwania PRL używano określeń: zbrodniarze, bandyci, zdrajcy, niemieccy kolaboranci itp. Przez 50 lat konsekwentnie utrwalano w społeczeństwie stworzoną przez funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa publicznego czarną legendę „bandyty z Wileńszczyzny”. Pisano, że społeczeństwo odrzuciło „bandyckie oddziały »Łupaszki«”. W książce *Dzieje Brus i okolicy* czytamy: „Grasujące grupy leśne nie znajdowały oparcia u miejscowej ludności, wręcz przeciwnie, ich rabunkowa działalność i zbrodnie spotkały się ze sprzeciwem i potępieniem”¹. Czy rzeczywiście tak było? Czy wszystkie „grupy leśne” działające w latach 1945–1947 na terenach pomorskich uznawane były przez mieszkańców za wrogie, tak jak wskazuje powyższy cytat?

Sowieci i komunistyczne represje

Pomorze zostało zajęte przez Armię Czerwoną w pierwszych miesiącach 1945 r. Dla większości mieszkańców tego regionu był to pierwszy kontakt z systemem komunistycznym. W myśl zawartego 26 lipca 1944 r. układu między PKWN a rządem ZSRS w sprawie jurysdykcji ZSRS na terytorium Polski w strefie przyfrontowej, polskie władze komunistyczne oddawały Związkowi Sowieckiemu panowanie nad ludnością polską, a tym samym sankcjonowały przeprowadzane akcje represyjne. Ich realizacją zajmowały się jednostki NKWD oraz kontrwywiadu wojskowego Smiersz, działające na zapleczu Armii Czerwonej. Pomorze uznawane było przez Rosjan za tereny rdzennie niemieckie, co spowodowało, że zamieszkującą tam ludność traktowano ze szczególnym okrucieństwem.

¹ *Dzieje Brus i okolicy*, red. J. Borzyszkowski, Chojnice–Gdańsk 1984, s. 424.

We wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach wyzwanych przez Armię Czerwoną schemat postępowania władz sowieckich był taki sam. Niemal natychmiast po zakończeniu walk do swojej „pracy” przystępowały NKWD i Smiersz wspierane przez UBP oraz działaczy tworzących się komórek PPR. Rozpoczęły się masowe aresztowania, wywózki i brutalne śledztwa. Oprócz Niemców oraz wpisanych na Niemiecką Listę Narodową wylapywano także tych wszystkich, których uznano za jednostki szczególnie niebezpieczne. Były to osoby, wokół których mogły tworzyć się grupy oporu antykomunistycznego – członkowie konspiracji niepodległościowej, przedwojenni policjanci, działacze partyjni i społeczni, a także nauczyciele i duchowni.

Gen. Okulicki wydał 19 stycznia 1945 r. rozkaz nakazujący rozwiązanie Armii Krajowej. Nie zwolnił jednak żołnierzy z obowiązku służby Ojczyźnie. W momencie wkroczenia na Pomorze Armii Czerwonej część działaczy konspiracji kontynuowała swoją działalność. Represje ze strony nowych władz dotknęły działaczy wszystkich funkcjonujących na Pomorzu formacji: Armii Krajowej, Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, „Miecz i Pług”, Polskiej Armii Powstania oraz organizacji podziemia narodowego. Już w 1945 r. odbyły się pierwsze procesy, w których skazano dowódców organizacji konspiracyjnych. W listopadzie 1945 r. na karę śmierci skazano dowódców oddziałów partyzanckich AK – por. Antoniego Bruskiego „Graba” oraz ppor. Zbigniewa Nieczuję-Smoleńskiego – aresztowanych w czerwcu 1945 r. Prezydent nie skorzystał w stosunku do nich z prawa łaski i wyroki wykonano².

Wielu oficerów i żołnierzy po aresztowaniu wywieziono do obozów pracy rozsianych na terenie całego ZSRS. Zatrzymywano nie tylko działaczy konspiracyjnych, represje dotyczyły także ludność cywilną. Jak wynika z danych przedstawionych przez Mirosława Golona, na zapleczu II Frontu Białoruskiego do 28 marca 1945 r. aresztowano 68,4 tys. Niemców i 18,2 tys. Polaków³. Wszystkie te działania nie pozostawały bez wpływu na postawę ludności rodzimej wobec nowej władzy, ale także oddziaływały na jej postawę wobec odradzającej się konspiracji, tym razem wymierzonej w okupanta sowieckiego. W społeczeństwie dominowały wówczas dezorientacja i poczucie zastraszenia. Utrzymujący się terror oraz bezkarność oprawców rodziły także coraz silniejszy sprzeciw wobec nowej władzy.

Rok 1945 to także początek przeobrażeń struktury narodowościowej na Pomorzu. Rozpoczęto wówczas masowe wysiedlenia ludności niemieckiej przy jednoczesnym osiedlaniu na terenach północnej Polski ludności przybywającej z Kresów Wschodnich. Dla przykładu, w samym tylko w województwie gdańskim w 1945 r. osiedlono 363 157 osób; na wsi 99 801 (z czego 73 377 osadników z innych regionów Polski, a 26 424 przesiedleńców z Kresów), w miastach zaś 263 356 osób (w tym 200 897 osadników i 62 459 przesiedleńców zza Buga)⁴. Przedstawione zmiany ludnościowe wpływały na atmosferę panującą w 1946 r. na Pomorzu. Trzeba pamiętać, że przybywający ze Wschodu przywozili ze sobą багаż doświadczeń stosunków z Sowietami, które składały się na postawę nieufności wobec nich.

² G. Baziur, *Armia Czerwona na Pomorzu Gdańskim 1945–1947*, Warszawa 2003, s. 78.

³ M. Golon, *Polityka radzieckich władz wojskowych na i policyjnych na Pomorzu Nadwiślańskim w latach 1945–1947*, Toruń 2001, s. 63.

⁴ S. Banasiak, *Osadnictwo na Ziemiach Zachodnich i Północnych w latach 1945–1950*, Warszawa–Poznań 1969, s. 22.



Józef Bruski, fot. AIPN By

5. Wileńska Brygada AK i ludność Pomorza

W tzw. okresie pomorskim działalności 5. Wileńskiej Brygady AK teatrem działań tworzących ją oddziałów było terytorium trzech województw – bydgoskiego (Bory Tucholskie), gdańskiego i olsztyńskiego. Ruszające do walki z komunizmem oddziały w większości składały się z partyzantów brygad wileńskich. Teren, w którym przyszło im obecnie walczyć, był dla nich nieznanym. Początkowo nie mieli również oparcia w miejscowej ludności. Odbudowując brygadę, mjr „Łupaszka” zamierzał oprzeć się wyłącznie na przybyłych z Wileńszczyzny dawnych towarzyszach broni i współpracownikach. Założenie to wynikało z dbałości o bezpieczeństwo szwadronów, miało też uniemożliwić przeniknięcie do oddziałów konfidentów. Wychodzącym w pole dowódcom nakazał Major daleko idącą ostrożność w kontaktach z miejscową ludnością, jednak już od początku starał się uzyskać jej zaufanie.

Znaczącą rolę odegrały tutaj dwie osoby. Pierwszą z nich był Adolf Hirs, partyzant 5. Brygady na Wileńszczyźnie, rodowity Kaszuba, który swoją osobą niejako rekomendował wileńskich partyzantów ludności Pomorza. Drugą był Ottomar Zielke, przedwojenny działacz społeczny – mianowany po wojnie administratorem kilku poniemieckich majątków, dzięki nim zbudował sieć „przyjaznych” punktów kontaktowych.

Pojawienie się zbrojnych oddziałów leśnych w połowie 1946 r. na terenach Borów Tucholskich, Kaszub i Warmii nie uszło uwadze zamieszkującej tam ludności. Przeprowadzane przez żołnierzy mjr. „Łupaszki” akcje bojowe wymierzone przede wszystkim w funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, działaczy PPR, żołnierzy Armii Czerwonej, a w mniejszym stopniu przeciwko żołnierzom Wojska Polskiego i milicjantom, spowodowały, że ludność zaczynała patrzeć na nich przychylnie. Wychodzącym w pole szwadronom „Łupaszka” nakazywał ostrożność, ale – zdając sobie sprawę, że bez poparcia, a przynajmniej neutralnej życzliwości miejscowej ludności nie zdołają utrzymać się w terenie – polecił wzmoczenie akcji propagandowej. Chciał przedstawić się społeczności pomorskiej – wytłumaczyć, kim są jego żołnierze, skąd pochodzą i o co walczą. Wykorzystywano do tego celu każdą nadarzącą się sposobność. W sporządzonej przez funkcjonariusza Wydziału „C” KWMO w Bydgoszczy

„Charakterystyce bandy Łupaszki” czytamy: „W kontaktach bezpośrednich z gospodarzami, u których kwaterowali, podkreślali przy każdej okazji, iż ustrój panujący w Polsce wkrótce się zmieni, że Polska jest w niewoli gdyż rządzą nią Rosjanie”⁵.

W początkowym okresie działalności żołnierzy wileńskich na Pomorzu kontakty z miejscową ludnością cechowała jednak przede wszystkim wzajemna ostrożność. W miarę upływu czasu dezorientacja i strach zaczęły ustępować miejsca życzliwości. Z pewnością przyczyniła się do tego niezwykła karność i dyscyplina oraz konsekwentnie stosowana zasada poszanowania prywatnej własności przez partyzantów. Pieniądże niezbędne do zapewnienia działalności partyzanci zdobywali, organizując akcje ekspropriacyjne na obiekty państwowe – banki, punkty skupu i sklepy, także na spółdzielnie. W raporcie szefa PUBP w Sztumie skierowanym do Referatu Walki z Bandytyzmem Wydziału III WUBP w Gdańsku czytamy: „Część bandytów była także u obywatela Wereszczyńskiego, zam. w Mikołajkach, który posiada sklep kolonialny. W tym czasie u ww. ob. odbywało się zebranie organizacyjne PPS-u. [...] Następnie wzięli ze sklepu kilkanaście butelek piwa i papierosy, pytając się właściciela, czy sklep jest jego własnością. Po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi, zapłacili za wzięte towary”⁶.

Podobnie postępowano w innych przypadkach – w Sierakowicach partyzanci zarekwirowali w miejscowym sklepie gotówkę na potrzeby oddziału, wystawiając pokwitowanie. Jednak po uzyskaniu informacji, że sklep ten należy, jako spółka, do miejscowej ludności, wszystkie zarekwirowane pieniądze zwrócono.

Takie postępowanie nie było incydentem, lecz regułą. Jeśli „leśni” dysponowali pieniędzmi, to za potrzebną im żywność i odzież płacili. Zdarzały się, co prawda, przypadki rekwirowania obuwia czy mundurów na rzecz partyzantów, szczególnie powracających z armii Andersa. Szybko zużywające się buty często wymieniano, pozostawiając własne. Były to jednak praktycznie jedyne przypadki rekwizycji u osób prywatnych.

Takie postępowanie było wyrazem zrozumienia ogromnie trudnej sytuacji materialnej ludności – Major nie chciał jej dodatkowo obciążać koniecznością utrzymywania oddziałów partyzanckich. Prowadzona przez nie walka była przecież wymierzona nie w ludność, ale w władze, które uważano za obce.

Często w zeznaniach, a także późniejszych wspomnieniach, gospodarze oskarżeni o współpracę z partyzantami podkreślali, że „oni niczego nie kradli, za wszystko płacili”⁷. Bardzo ważne było również zachowanie partyzantów w trakcie pobytu u gospodarzy – żołnierze dawali świadectwo swej religijności, rozpoczynając i kończąc każdy dzień modlitwą. Wielu miało przypięte do mundurów ryngrafy z Matką Boską Ostrobramską. Dla religijnych Kociewiaków, Kaszubów i Mazurów był to czytelny znak. Jan Wojciechowski, leśniczy z Bukówki w powiecie Chojnice, skazany w 1946 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Bydgoszczy na 6 lat więzienia, tak wspomina szwadron „Zeusa”: „To byli patrioci. Dla mnie to nie ulega wątpliwości, walczyli o wolną Polskę. Idea była słuszna”⁸.

⁵ AIPN By, 010/15, Charakterystyka bandy Łupaszki, Wydział „C” KWMO w Bydgoszczy, 1973, k. 5.

⁶ Cyt. za: W. Zieliński, *Działania V Brygady Wileńskiej AK na Wileńszczyźnie, Białostoczczyźnie, Podlasiu i Pomorzu. Współpraca ludności Pomorza ze szwadronami V Brygady Wileńskiej AK*, mps pracy magisterskiej, kopia w zbiorach autora, s. 39.

⁷ J. Łytkowski, relacja z 2005 r., w zbiorach autora.

⁸ Cytat za: W. Zieliński, *Działania V Brygady...*, s. 43.

Pomoc miejscowych, współpracownicy

Stosowana przez podkomendnych mjr. „Łupaszkę” taktyka ataków i szybkich odskoków przyczyniała się do ogromnej mobilności oddziałów. Utrudniało to pościgi, ale także powodowało, że często tylko raz stacjonowano w danym gospodarstwie, leśniczówce czy kolonii. Niemniej jednak każdy z operujących na Pomorzu oddziałów miał swoje zaufane „meliny”, do których chętnie wracano. Należy tu wymienić choćby leśniczówkę Smolarnia, gospodarstwo rodziny Łydkowskich w Zwierzyńcu, obejście rodziny Zblewskich we wsi Kaszuba oraz rodziny Braunów w Lipinkach. Oddziały miały także swoich informatorów i łączników (Gertruda Kapłanowska, Zofia Kapiszko). Wspominana „Charakterystyka bandy Łupaszkę” podaje liczbę 83 współpracowników⁹. Było ich jednak znacznie więcej, wielu bowiem funkcjonariusze UB nie zidentyfikowali.

Z pewnością bardzo ważnym elementem w budowaniu własnej sieci współpracowników działających w Borach Tucholskich oddziałów było nawiązanie kontaktu z operującą na tym



Edmund Zblewski, fot. AIPN By

terenie Grupą Tartak, dowodzoną przez Władysława Chelińskiego „Małego”, wywodzącą się z pozostałości siatki AK-WiN Okręgu Pomorskiego. Kontakt ten, nawiązany dzięki pośrednictwu ks. Sylwestra Kończala – proboszcza parafii Lipinki i Kasparus – pozwolił partyzantom na korzystanie z siatki terenowej, którą dysponował oddział „Małego”, złożony z miejscowych ludzi, a co więcej, na nawiązanie kontaktu z byłym inspektorem Inspektoratu Chojnice AK por. Stefanem Gussem „Danem”.

⁹ AIPN By, 010/15, Charakterystyka bandy Łupaszkę, Wydział „C” KWMO w Bydgoszczy, 1973, k. 20.

Odwzajemnianie pomocy

Oddziały wileńskie przeprowadzały również akcje, które wynikały z potrzeb i próśb miejscowej ludności. Z pewnością taki charakter miała akcja przeprowadzona przez ppor. „Lufę” we wsi Lipinki w maju 1946 r. Otoczono wówczas budynek tamtejszego urzędu gminy i spalono wszystkie znajdujące się w nim dokumenty, a w szczególności te dotyczące tzw. kontyngentów, czyli świadczeń rzeczowych, stanowiących udźkę dla miejscowych rolników¹⁰. W tej samej miejscowości również oddział „Lufa” przeprowadził akcję publicznego ukarania kobiety, której donos był podstawą aresztowania ks. Kończala i Jana Sikorskiego – byłego dowódcy



Janek Sikorski, fot. ze zbiorów P. Szubarczyka

oddziału partyzanckiego AK z Borów Tucholskich z czasów okupacji niemieckiej. Takich akcji było znacznie więcej.

Ppor. Olgierd Christa „Leszek” – zastępca dowódcy szwadronu Zdzisława Badochy „Żelaznego”, a po jego śmierci jego następcą, wspomina: „Ludzie często okazywali nam wielkie zaufanie. Pamiętam przypadek, kiedy miejscowa ludność z okolic Śliwic prosiła nas o ściganie bandy, która przed naszym przybyciem na nich napadła. W samych Śliwicach był posterunek milicji, którego funkcjonariusze mocno dawali się ludziom we znaki i skarżyli się na ich postępowanie. Rozgłosiliśmy więc w okolicy, że każdego złapanego milicjanta ze Śliwic rozstrzelamy. Doprowadziło to do wymiany obsady posterunku”¹¹.

Również dowódcy oddziałów odwzajemniali się zaufaniem rodzimej ludności. Często to jej głos decydował o życiu lub śmierci

funkcjonariuszy czy też członków PPR. Było tak w przypadku komendanta jednego z posterunków niedaleko Czarnej Wody. „Leszek” tak wspomina to zdarzenie: „Często go spotykaliśmy, gdy objeżdżał rowerem okoliczne wioski. Nigdy nawet broni mu nie zabraliśmy. Dłacz-

¹⁰ L. Kowalska, relacja z 2005 r. w zbiorach autora; AIPN Lu, 19/128, Akta Śledcze WUBP w Lublinie przeciwko H. Wieliczce ps. „Lufa”, k. 68.

¹¹ Cyt. za: W. Zieliński, *Działania V Brygady...*, s. 46.

go? Ponieważ chłopi mówili, że jest porządny człowiek, ściga złodziei, krzywdy nikomu nie da zrobić”¹².

Podobnie sytuacja wyglądała w Skórczu. Po rozbrojeniu posterunku MO zatrzymano szefa miejscowego UBP – sierżanta Kisiela, który, jak wspomina Olgierd Christa: „zachowywał się on po męsku, oświadczając »Żelaznemu«, iż »nie będzie na klęczkach prosił o życie«, co zostało odebrane jako ewenement. Miejscowi nie mieli o nim negatywnej opinii”¹³. Ta pozytywna opinia i niezwykle zachowanie spowodowały, że został on zwolniony. Skonfiskowano mu tylko broń. Wszystkie te działania spowodowały, że partyzanci zyskiwali coraz większą sympatię i zrozumienie ze strony Pomorzan.

Walka i propaganda

Występowały też oczywiście przypadki informowania MO i UBP o stacjonowaniu czy przemarszu oddziałów. Donosy były podstawą wszczęcia akcji pościgowych. Obecnie trudno jest ocenić, które z tych doniesień spowodowane były niechęcią wobec partyzantów, a które wypełnieniem polecenia dowódców oddziałów. Jak wspominają bowiem ppor. Józef Bando „Jastrząb” i Janina Smoleńska „Jachna”, dowódca często mówił gospodarzom, aby meldować do MO, że zatrzymał się u nich oddział zbrojny. Takie postępowanie miało uchronić gospodarzy przed posądzeniem o współpracę.

Oceniając postawy ludzi w tamtych dniach, należy pamiętać, że był to czas niezwykle trudny – nie zabliźniły się jeszcze rany wojenne, a już rozpoczęła bezpardonowa walka o władzę. I nie była to walka na słowa, ale walka na śmierć i życie. Komuniści bezwzględnie zwalczali każdy objaw sprzeciwu.

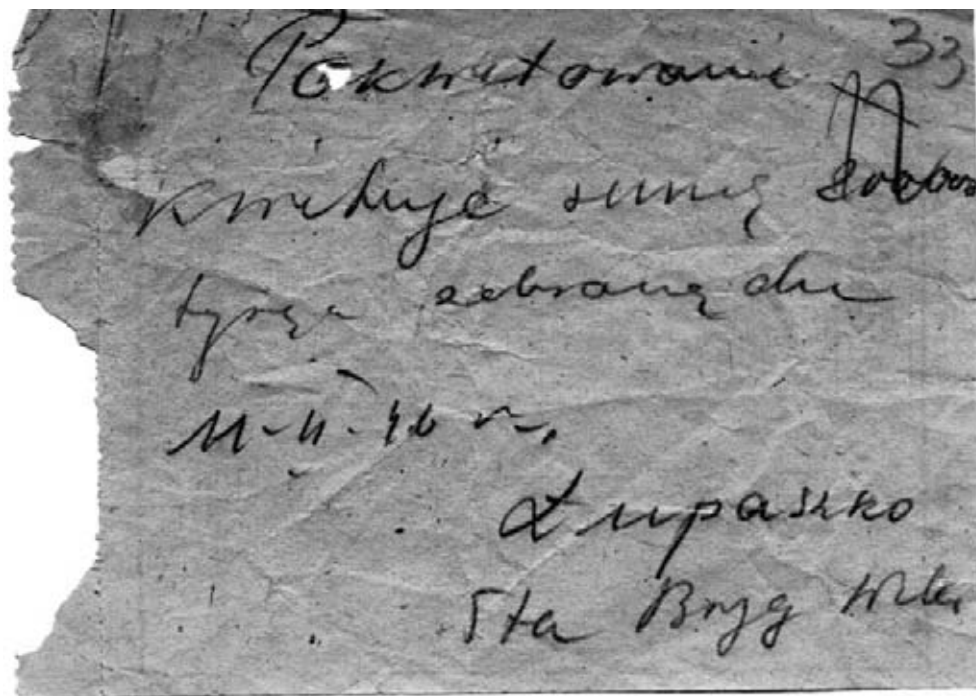
Niemal jednocześnie z walką zbrojną podjętą przez władze komunistyczne z 5. Wileńską Brygadą AK rozpoczęto propagandową walkę o pamięć i „prawdę historyczną”. Za wszelką cenę starano się, aby komunistyczna wersja zdarzeń była jedyna i ostateczna. Niemal w każdej miejscowości, gdzie stoczono potyczki, fundowano pamiątkowe tablice, obeliski i pomniki, aby uczcić tych, którzy polegli w walce o „utrwalenie władzy ludowej”. W kolejnych latach organizowano tam okolicznościowe apele i przypominano o rzekomych zbrodniach i okrucieństwach „Lupaszki” i jego ludzi. W powstających pracach pisano: „zdecydowana większość społeczeństwa polskiego po zakończeniu II wojny światowej podjęła trud odbudowy kraju. Tego nakazu chwili nie zrozumiała garstka ludzi, którzy w ślepych egoizmie klasowym i nienawiści do młodej władzy ludowej postanowili pchnąć kraj na drogę bratobójczej walki. Rok 1945 upłynął



Ks. Sylwester Kończal,
fot. ze zbiorów autorki

¹² *Ibidem*, s. 47.

¹³ O. Christa, *U „Szczerbca” i „Lupaszki”*, Warszawa 1999, s. 183.



w miarę spokojnie. Sytuacja uległa zmianie w 1946 r., co było skutkiem napływu na Pomorze oddziałów »Łupaszki« firmującego swą zbrodniczą działalność znakiem Armii Krajowej»¹⁴.

Lata propagandy przyniosły owoce. Nadal spotyka się osoby, które uparcie powtarzają kłamstwa o żołnierzach konspiracji antykomunistycznej. Pozwolę sobie zacytować fragment książki wydanej w 1994 r. *Lipusz–Dziemiany. Monografia*, której autor nie rezygnuje z komunistycznej retoryki: „[...] ludzie z lasu występowali częściowo w umundurowaniu, z wojskowymi i religijnymi emblematami, napadów i rekwizycji dokonywali rzekomo w imieniu Armii Krajowej, walczącej z narzuconym reżimem. [...] Ludność miejscowa, aczkolwiek zrazu nieufna wobec nowej władzy i obojętna wobec deklaracji ideowo-politycznych, nie okazywała czynnie wrogości, a raczej przyjęła postawę lojalną. Działania ludzi z lasu nie znalazły więc poparcia, zaś akty przemocy, mordy i rabunki wywoływały dezaprobatę. Organizacja »Łupaszki« ujawniła się wiosną 1946 r., a w ciągu lata i jesieni dokonała szeregu napadów [...]»¹⁵.

Na koniec oddam głos milicjantom i ubekom, którzy żalą się, że pomoc dla oddziałów Majora była tak wielka. „Banda często zmieniała miejsce pobytu, działając na terenie kilku powiatów i 3 województw. Posiadała gęsto rozbudowaną sieć współpracowników i łączników wśród okolicznej ludności»¹⁶.

„Ludność, która zamieszkuje w większej połowie na naszym województwie, to są repatrianci z Wileńszczyzny ustosunkowani do bandy dobrze, współpracuje, pomaga żywnością, miejscowa ludność Mazurzy również dobrze ustosunkowani do bandy »Łupaszki«. [...] Rabunki i napady

¹⁴ W. Look, *Kartki z dziejów ziemi chojnickiej*, „Zeszyty Chojnickie” 1972, nr 4, s. 68–69.

¹⁵ *Lipusz–Dziemiany. Monografia*, red. J. Borzyszkowski, Gdańsk 1994, s. 390–391.

¹⁶ AIPN By, 010/12, Charakterystyka bandy Łupaszki, Wydział „C” KWMO w Bydgoszczy, 1973, k. 20.

dokonywane przez bandę mjr. »Łupaszki« miały często charakter czysto polityczny, jak zabieranie umundurowania przez bandę było płacone, zabieranie broni z MO, były wypadki, że w zamian pozostawiano starą broń, w częstych przypadkach bandyci nie brali karabinów tylko broń automatyczną. Przy rozbijaniu posterunków MO odbierano broń i przy odejściu oddawano broń z powrotem milicjantom. Zauważono w czasie przeprowadzania wywiadu, że często zdarza się spotkać urzędników państwowych i oficerów WP [będących] sympatykami i współpracownikami bandy mjr. »Łupaszki«, gdyż przez nich posiada łączność i sieć informacyjną. Wszystkie leśniczówki i gajówki były punktami zbornymi oraz siedzibami bandy mjr. »Łupaszki«¹⁷.



Józef Bruski – 1952 r., fot. AIPN By

Józef Bruski, skazany za pomoc oddziałom Łupaszki, stwierdza po latach: „Historia pokazała, że racja była po ich stronie. Ludzie się bali, ale przede wszystkim mieli dość tej czerwonej hołoty. Wiem, że przemawiają teraz u mnie emocje, ale fakt, że musieliśmy się bać przedwojennych parobków, którzy poszli do UB lub zostali działaczami PPR, był również przyczyną udzielania przez ludność pomocy »bandom«, jak ich zwali ci, którzy faktycznie na to miano zasługiwali. Pięć lat więzienia, zakaz osiedlania się w promieniu 100 km od granicy zachodniej – to bezpośrednia cena, jaką zapłaciłem za pomoc leśnym. Niczego nie żałuję”¹⁸.

¹⁷ Opracowanie szefa Oddziału Wywiadowczo-Śledczego WBW woj. mazurskiego por. Horodeckiego z lipca 1946 r., Dane o bandzie mjr. „Łupaszki”; cyt. za: K. Krajewski, T. Łabuszewski, „Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”, Warszawa 2002, s. 391.

¹⁸ Relacja J. Bruskiego z 16 II 1996 r., cyt. za: W. Zieliński, *Działania V Brygady...*, s. 44. Za współpracę z oddziałami „Łupaszki”, dwukrotne udzielenie schronienia oddziałowi „Zeusa” oraz przechowywanie broni partyzantów Józefa Bruskiego skazano na łączną karę 24 lat więzienia, złagodzoną do lat 18 (amnestionowany w 1952 r.).

ZEMSTA CZY „WYPADEK PRZY PRACY”?

**Tajemnica śmierci Tadeusza Szczepańskiego (1960–1980)
– działacza Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża**

*Tym wszystkim,
którzy zginęli z rąk „nieznanych sprawców” z UB/SB...*

Była środa, 16 stycznia 1980 r. W „Dzienniku Bałtyckim”, jak co dzień, informacje z życia regionu – I Sekretarz KW PZPR Tadeusz Fiszbach powiedział to i tamto, przygotowania do VIII Zjazdu PZPR idą pełną parą, delegaci wojewódzkiej organizacji partyjnej już gotowi do wyjazdu do stolicy... No i jeszcze jedna bardzo ważna informacja. Niektórzy mówią, że podobno jedna z niewielu prawdziwych w PRL – prognoza pogody: „Jak nas poinformował dyżurny synoptyk, dziś na Wybrzeżu będzie zachmurzenie początkowo duże i zamglenia, w ciągu dnia przejaśnienia. Temperatura od –6 st. rano do –2 st. Na samym Wybrzeżu ok. 0 st. Wiatry umiarkowane północno-zachodnie. Orientacyjna na następną dobę: bez większych zmian”¹. Tego dnia w niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach zginął tragicznie Tadeusz Szczepański (ur. 28 lutego 1960 r.) – młodzieńki mechanik samochodowy w Przedsiębiorstwie Produkcji i Montażu Urządzeń Elektrycznych Budownictwa „Elektromontaż” w Gdańsku, a zarazem działacz antykomunistycznych Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Przez ponad 25 lat mówiło się, że to tragiczny wypadek. Prawie nikt nie chciał wracać do sprawy. Nawet z pierwotnej wersji *Człowieka z żelaza* wycięto podobno scenę wyciągnięcia ciała Szczepańskiego z Motławy. Sprawa wydawała się beznadziejna i zamknięta. Było tak do czasu, kiedy w archiwum IPN w Warszawie natknąłem się na zdumiewający dokument, z którego jednoznacznie wynika, że SB – i to na poziomie MSW – kierowała śledztwem w sprawie zaginięcia Szczepańskiego i za wszelką cenę broniła wersji o tragicznym wypadku.

Ostatni egzamin

Tadeusz Szczepański wyszedł 16 stycznia 1980 r. o godz. 7.00 rano z domu. Tego dnia nie musiał iść do pracy. Otrzymał zwolnienie. O godz. 8.00 w gdańskim oddziale Ligi Obrony Kraju przy ulicy Kopernika zdawał egzamin na prawo jazdy kategorii „C”, na który został skierowany przez Wojskową Komisję Uzupełnień. Egzamin skończył się pomyślnie ok. godz. 16.00. Cała grupa, prawie 40 osób, zdała egzamin. Potem, zgodnie z tradycją, 7-osobowa paczka świeżo upieczonych młodych kierowców poszła opić egzamin do baru „Jacek”. Wypili po dwie setki wódki, musieli też skonsumować zakąskę, bo Polska Ludowa dbała przecież o trzeźwość obywateli. Po półtorej godziny opuścili „Jacka”, ale postanowili

¹ „Dziennik Bałtycki”, nr 12, 16 I 1980, s. 1.

jeszcze zrzucić się na wódkę i pogadać na wolnym powietrzu. Kupili trzy półlitrowki i poszli Podwałem Staromiejskim w stronę kanału. Blisko kanału Raduni, a zarazem nieopodal budynków Zakładów Okrętowych Urządzeń Elektrycznych i Automatyki „Elmor”, znaleźli ustronne miejsce.

Po wypiciu alkoholu najpewniej cała siódemka dotarła do Podwała Staromiejskiego i tam zaczęła się rozchodzić do domów. Tadeusz Szczepański szedł razem z kolegami z „Elektromontażu”, Wiesławem Zielińskim i Krzysztofem Romanowskim. Później ustalono, że feralnego wieczora Zieliński trafił do izby wytrzeźwień². Romanowski zezna potem, że na wysokości Hali Targowej pożegnali Zielińskiego, on ze Szczepańskim zaś dotarł aż do przejścia podziemnego przy Dworcu Głównym PKP w centrum Gdańska. „Tam pożegnałem się ze Szczepańskim i pojechałem do domu” – mówił Romanowski³. Nieco wcześniej podobną wersję przedstawił rodzicom Szczepańskiego, o czym po sąsiedzku dowiedziała się Wiesława Gałdyn, żona funkcjonariusza gdańskiej MO Janusza Gałdyna (później pułkownika SB), która o wszystkim poinformowała odpowiednie organa. Przekazując to, zaznaczyła, że zna osobiście Tadeusza Szczepańskiego, że „nie miał żadnych nałogów, oddawał wszystkie pieniądze matce, przebywał zawsze w domu, nie miał kolegów o złej reputacji”⁴.

Od chwili rozstania z Romanowskim nic w tej tragicznej historii się nie zgadza, poza jednym – Tadeusz Szczepański po raz pierwszy w życiu nie powrócił na noc do domu. Nie powrócił też w czwartek, i w piątek... Zniknął.

Gdzie jest nasz syn?

Zaniepokojeni rodzice zastanawiali się, co stało się z ich synem. „Rozpacz w domu. Byliśmy u matki. Matka załamana, ojciec załamany” – wspominał jeden z kolegów Szczepańskiego⁵. Następnego dnia rodzice wypytywali kolegów Tadeusza o szczegóły egzaminu i spotkania „pod chmurką”. Romanowski zapewniał rodziców, kolegów (uczestników kursu samochodowego), a także przełożonych w pracy, że odprowadził Szczepańskiego do dworca PKP, a nawet „wsadził” go do tramwaju linii nr 13 lub nr 9, który kursuje do dzielnicy Gdańsk Stogi, gdzie mieszkał⁶. Przez kilka dni rodzice zwlekali z zawiadomieniem milicji o zaginięciu syna. Dopiero w dniu 21 stycznia 1980 r. o godz. 8.00, być może za namową kolegi z „Elektromontażu” – Lecha Wałęsy⁷, Cecylia Szczepańska zgłosiła się na Komisariat

² AIPN Gd, 57/18, Notatka służbowa por. J. Likierskiego, Gdańsk, 7 II 1980 r., k. 9; *ibidem*, ref. L. Kmiotek, Notatka urzędowa z rozmowy z Wiesławem A. Zielińskim, Gdańsk, 7 II 1980 r., k. 10; *ibidem*, ref. L. Kmiotek, Notatka urzędowa z przeprowadzonej rozmowy z ob. Leszkiem Szydłowskim, Gdańsk, 8 II 1980 r., k. 11.

³ *Ibidem*, 57/18, Notatka służbowa z rozmowy por. J. Kasianiuka z K. Romanowskim, Gdańsk, 7 II 1980 r., k. 7–8.

⁴ *Ibidem*, Notatka służbowa por. J. Likierskiego, Gdańsk, 6 II 1980 r., k. 4.

⁵ L. Wałęsa, *Droga nadziei*, Kraków 1990, s. 104.

⁶ AIPN Gd, 57/18, Notatka urzędowa referenta L. Kmiotka z rozmowy z Krzysztofem A. Solińskim, Gdańsk, 9 II 1980 r., k. 14; *ibidem*, Notatka służbowa por. J. Likierskiego z rozmowy z kierownikiem transportu „Elektromontażu” ob. Lipskim, Gdańsk, 7 II 1980 r., k. 6; *ibidem*, Protokół przesłuchania świadka L. Wałęsy, Gdańsk, 21 III 1980 r., k. 50.

⁷ Tak zeznał w Prokuraturze Rejonowej w Gdańsku Lech Wałęsa w dniu 21 III 1980 r. (por. *ibidem*, k. 50).

Fot. ze zbiorów K. Wyszukowskiego



Solidarnościowa głodówka protestacyjna WZZ w obronie uwięzionego działacza SKS i WZZ Błażeja Wyszukowskiego, który podjął głodówkę w gdańskim areszcie przy ul. Kurkowej. U góry od lewej: Barbara Wyszukowska, Bogdan Borsewicz, Kazimierz Szołoch, N.N. U dołu: Andrzej Gwiazda, Magdalena Wyszukowska (żona uwięzionego Błażeja) z synem Łukaszem, Joanna Duda-Gwiazda. Fot. wykonana 2 czerwca 1978 r.

VII MO przy ulicy Ugory na gdańskich Stogach, by poinformować milicję, że od 17 stycznia 1980 r. syn nie wrócił do domu⁸. Przyniosła fotografię syna, mówiła, że czytał dużo książek. Na podstawie informacji przekazanych przez matkę sporządzono treść komunikatu o Tadeuszu Szczepańskim: „Wiek z wyglądu 16–18 lat, wzrost 170 cm, włosy krótkie, proste, ciemne, zarostu nie ma, twarz pociągła, cera śniada, czoło pionowe, oczy niebieskie, nos mały, prosty, uszy małe przylegające, uzębienie pełne, znaki szczególne: nie ma. [...] Płaszcz, kurtka ze skaju ocieplana, bluza (bluzka) golf zielony oraz pulower, spodnie sztruks granatowy, bielizna podkoszulka z krótkim rękawem, siwa, obuwie półbuty beżowe, rodzaj przedmiotów zabranych ze sobą – zeszyt [...]”⁹. W tym miejscu pojawia się pierwsza wątpliwość: dlaczego komunikat o zaginięciu T. Szczepańskiego ukazał się w „Dzienniku Bałtyckim” dopiero 10 lutego 1980 r.?¹⁰ Podobno był jakiś komunikat w prasie 23 stycznia 1980 r. oraz informacja w „Panoramie Gdańskiej” (program regionalny TV).

⁸ *Ibidem*, Odpis zawiadomienia o zaginięciu osoby, Gdańsk, 21 I 1980 r., godz. 8.00, k. 2.

⁹ *Ibidem*, k. 2.

¹⁰ *Komunikat MO* [ze zdjęciem T. Szczepańskiego], „Dziennik Bałtycki”, nr 31, 10 II 1980, s. 2.

„Sympatyzował z jakimś ruchem robotniczym”

Milicja rozpoczęła poszukiwania. Przesłuchiwała kolegów Tadeusza Szczepańskiego, przeprowadziła wywiad w jego miejscu pracy i zamieszkania. W czynnościach dochodzeniowo-śledczych najbardziej wykorzystywano Krzysztofa Romanowskiego, który ostatni widział Szczepańskiego. Wydaje się, że mówił prawdę, nie dając podpuścić się funkcjonariuszom MO. W czasie przesłuchania w dniu 7 lutego 1980 r. najpewniej zasugerowano mu¹¹, że Szczepański mógł na dłużej oddalić się nad kanał i już stamtąd nie wrócić. Romanowski powiedział: „Nie pamiętam, by Szczepański odchodził w czasie picia alkoholu nad kanałem od naszej grupy na dłużej – oddalał się co jakiś czas, jak my wszyscy, w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych (oddania moczu)”. Po chwili kolega zaginionego z „Elektromontażu” zwrócił też uwagę na raczej nieznaną milicjantom wątek: „Szczepańskiego mogę określić jako chłopca spokojnego – rzadko pił alkohol – czy miał jakąś dziewczynę nie wiem, nie zwierzał mi się z tego. Od znajomego z pracy – Lecha Wałęsy słyszałem, że Szczepański sympatyzuje z jakimś ruchem robotniczym – lecz z jakim bliżej nie wiem. Przypadkiem słyszałem rozmowę Wałęsy i Szczepańskiego o jakimś zebraniu. Nie wiem czy Szczepański miał jakichś osobistych wrogów. Szczepański nigdy w żadnych rozmowach ze mną nie poruszał tematu

Fot. z arch. IPN Gd.



Manifestacja 11 listopada 1979 r. w Gdańsku. Manifestanci maszerują z kościoła Mariackiego w Gdańsku pod pomnik króla Jana III Sobieskiego. Na fotografii widoczny m.in. Lech Wałęsa. Zdjęcie operacyjne SB.

¹¹ Wyraziłem pewną wątpliwość, używając słowa „najpewniej”, gdyż dokumenty z przesłuchania przez funkcjonariuszy MO nie mają charakteru protokołu, lecz zwykłej notatki służbowej, która pozbawiona jest treści wypowiedzianych przez milicjantów.

działalności ruchu robotniczego – nigdy o niczym takim nie wspominał, dlatego też, rozmowa jego z Wałęsą na ten temat zdziwiła mnie, ale nigdy do tego nie wracałem i Szczepańskiego nie wypytywałem na ten temat”¹².

Dzięki informacjom Krzysztofa Romanowskiego milicja ustaliła dokładnie czas, miejsce spotkania i picia alkoholu. W notatce funkcjonariusza MO czytamy: „Dokonano penetracji przyległego terenu oraz bunkra – nie ujawniono żadnych śladów przebywania lub jakiegokolwiek zwłoki. Pobliskie ujście Raduni do Motławy jest nie zamrażnięte. Teren ten jest zarośnięty, dalej w kierunku ulicy Wałowej i Łagiewniki teren jest pofałdowany, leży tam różne płyty betonowe, rury i chałdy [sic!] piasku, ziemi. Nabrzeże Raduni jest nieogrodzone – niezabezpieczone płaskie – brak stromych brzegów, natomiast nabrzeże pobliskiej Motławy (około 50 metrów) jest strome lecz zabezpieczone barierkami”¹³ [tak w oryginale – S.C.]. Później dokonano również penetracji terenu siłami ZOMO¹⁴. Bez żadnego efektu.

„Nagie zwłoki mężczyzny”

W poniedziałek 17 marca 1980 r. o godz. 18.10 ktoś zatelefonował do Komisariatu II MO w Gdańsku z informacją, że na wysokości stacji pomp przy Elektrociepłowni „Ołowianka” pływają w Motławie nagie zwłoki mężczyzny. W dokumentach MO dołączonych do akt śledztwa (wyciągi z książki interwencji Pogotowia Milicyjnego KW MO w Gdańsku) jest mowa o tym, że informacja o znalezieniu zwłok Szczepańskiego została przekazana telefonicznie przez niejakiego Szumiała, który przedstawił się jako trener Gwardyjskiego Klubu Sportowego „Wybrzeże”. Jednak wkrótce okazało się, że nikt o takim nazwisku nie pracuje w GKS „Wybrzeże”¹⁵. Mało tego, z innego dokumentu MO wynika, że po telefonicznym zgłoszeniu informacji o znalezieniu zwłok Szczepańskiego pierwszy milicjant pojechał pod wskazane miejsce już o godz. 18.00! Dokumenty te są sprzeczne, gdyż według jednego o znalezieniu zwłok T. Szczepańskiego zawiadomiono o godz. 18.10, z drugiego zaś wynika, że już o godz. 18.00 referent Wiktor Jędrasiak na polecenie dyżurnego udał się na miejsce znalezienia zwłok.

Oto pełna treść notatki sporządzonej przez Wiktora Jędrasiaka z Komisariatu II MO w Gdańsku: „Dnia 17. 03. 1980 r. o godz. 18.00 na polecenie dyżurnego udałem się na miejsce znalezienia zwłok usytuowanego na brzegu odpływu kanału Motławy na wysokości Stacji Pomp przy Elektrociepłowni »Ołowianka II«. Po przybyciu na miejsce ustaliłem, że w wymienionym miejscu w odległości 0,5 m zanurzone w wodzie leżą nagie zwłoki mężczyzny w wieku ok. 25 lat. Ponadto zwłoki miały obcięte obie kończyny dolne na wysokości środka kości piszczelowej, duże przecięcie barku po stronie klatki piersiowej oraz przecięcie czaszki po prawej stronie. Zwłoki przekazane do Zakładu Medycyny Sądowej celem ustalenia przyczyny zgonu”¹⁶.

¹² AIPN Gd, 57/18, Notatka służbowa z rozmowy por. J. Kasianiuka z K. Romanowskim, Gdańsk, 7 II 1980 r., k. 8.

¹³ *Ibidem*, Notatka służbowa por. J. Likierskiego, Gdańsk, 8 II 1980 r., k. 12.

¹⁴ *Ibidem*, k. 12.

¹⁵ AIPN Gd, 57/18, Notatka urzędowa st. insp. Wydziału Śledczego KW MO w Gdańsku por. Wł. Rojka, Gdańsk, 24 IV 1980 r., k. 122; *ibidem*, Wyciąg z książki interwencji Pogotowia Milicyjnego KW MO w Gdańsku, Gdańsk, 24 IV 1980 r., k. 121.

¹⁶ *Ibidem*, ref. Wiktor Jędrasiak, Notatka służbowa, Gdańsk, 17 III 1980 r., k. 17.



18 grudnia 1979 r. Składanie wieńców pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina.
Tadeusz Szczepański był wówczas pod stoczną z kwiatami

Tragiczny wypadek?

Lektura *Protokołu oględzin i otwarcia zwłok* sporządzonego przez lekarza medycyny Romana Zbychorskiego z Akademii Medycznej w Gdańsku w dniu 19 marca 1980 r. jest przerażająca. Garść kilku cytatów: „Głowa – w okolicy ciemieniowej prawej rana dł[ugości] 18 cm, szer[okość] 2 cm o brzegach prawie równych”, „widoczne w dniu wgniecenie kości pokrywy czaszki”, „klatka piersiowa – po stronie lewej rozległa rana biegnąca poziomo wzdłuż obojczyka lewego na odcinku 17 cm dochodząc do mostka, następnie biegnie ku dołowi na odcinku 12 cm, dając odgałęzienie ku dołowi i środkowi ciała”, „kończyna dolna prawa – na pośladku rana w kształcie litery L o dł[ugości] 13 cm, [...] stwierdza się brak stopy i podudzia 21 cm poniżej stawu kolanowego”; „kończyna dolna lewa – [...] stwierdza się brak stopy i podudzia 13 cm poniżej stawu kolanowego”; „szyja i klatka piersiowa – stwierdza się złamanie kręgosłupa pomiędzy kręgiem VII szyjnym a I piersiowym” itd.¹⁷

Biegli lekarze z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Gdańsku orzekli jednoznacznie, że Tadeusz Szczepański zmarł śmiercią gwałtowną i nagłą na skutek utonięcia. Świadczyć o tym miały zwłaszcza badania płuc, które wykazały charakterystyczne dla takich zgonów ostre rozdęcie pęcherzyków płucnych. Lekarze stwierdzili ponadto, że wszystkie rany i obrażenia na ciele Szczepańskiego wystąpiły już po jego śmierci. Według biegłych

¹⁷ *Ibidem*, lek. med. Roman Zbychorski, Protokół oględzin i otwarcia zwłok, Gdańsk, 19 III 1980 r., k. 87–89.

obcięcie stóp i inne obrażenia powstały na skutek „działania śrub statków przepływających po Motławie”. W identyczny sposób wytłumaczono także całkowite pozbawienie odzieży. Tę wersję przyjmie później za swoją również Prokuratura Rejonowa w Gdańsku z prowadzącym śledztwo prokuratorem Leszkiem Lackorzyńskim na czele, który w dniu 31 maja 1980 r. umorzy śledztwo. Wcześniej, bo już 29 kwietnia 1980 r., Lackorzyński telefonicznie poinformował pełnomocnika rodziny Szczepańskiego adwokata Jacka Taylora o zakończeniu wszystkich czynności dowodowych¹⁸.

W grupie WZZ-owskiej

Kolegą Tadeusza Szczepańskiego z „Elektromontażu” był Lech Wałęsa. Pracowali w tym samym warsztacie, mieszkali na tej samej ulicy Wrzosey, w robotniczej dzielnicy Gdańska – Stogach. To on wciągnął Szczepańskiego do Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Szczepański był członkiem grupy Wałęsy, która kolportowała niezależną prasę i ulotki, a czasem również niszczyła propagandowe tablice i afisze¹⁹. W dniu 23 stycznia 1980 r., w proteście przeciwko wręczeniu wypowiedzeń z pracy kilkudziesięciu pracownikom „Elektromontażu”, działacze WZZ w tym zakładzie powołali Komisję Robotniczą²⁰. Deklarację podpisało pięć osób, w tym m.in. Lech Wałęsa i Sylwester Niezgodą, z którymi Szczepański był związany. Za tę działalność w dniu 2 lutego 1980 r. zwolniono Wałęsę i Niezgodę z pracy. W swoich pamiętnikach Wałęsa cytuje wypowiedzi uczestników grupy WZZ z „Elektromontażu”. Jeden z nich, przedstawiony w *Drodze nadziei* jako „NN”, tak wspominał sprawę śmierci Szczepańskiego: „Wałęsa zgromadził wokół siebie kilka osób, samych robotników. Wśród nich był właśnie ten nieszczęsny Tadeusz Szczepański, który odegrał bardzo ważną rolę w przygotowaniach do obchodów Grudnia: on właśnie dostarczył sprzęt nagłaśniający. To on też z grupy WZZ-owskiej złożył pod drugą bramą Stoczni Gdańskiej wieniec. W styczniu ukończył kurs samochodowy. Prawdopodobnie na jego zakończenie wstąpił gdzieś z kolegami na wódkę. Nigdy nie wrócił do domu, na Stogi. Po paru miesiącach, na wiosnę, wyłowiono jego ciało z Motławy. Ta sprawa jest do dziś niewyjaśniona. M.in. pytałem się Wałęsy, jakie jest jego zdanie na ten temat. Wałęsa uważał, że Tadeusz nie zginął śmiercią naturalną. Zginął, i było bardzo o tym głośno. Zima była dosyć sroga, na kanale był lód, statki w tym czasie nie kursowały, Motława zamrznięta, mróz dochodził do dwudziestu stopni. [...] Okazało się, że został wyłowiony z Motławy w marcu, kiedy były już roztopy”²¹.

Świadek Wałęsa

Bezpieka, która wówczas rozpracowywała Wałęsę w ramach Sprawy Operacyjnego Rozpracowania kryptonim „Bolek”, wiedziała, jakie zajmuje on stanowisko w sprawie śmierci Szczepańskiego. Początkowo z satysfakcją odnotowywano w raportach SB, że sprawa ta nie wywołuje żadnych komentarzy „wśród działaczy antysocjalistycznych” Trójmiasta²².

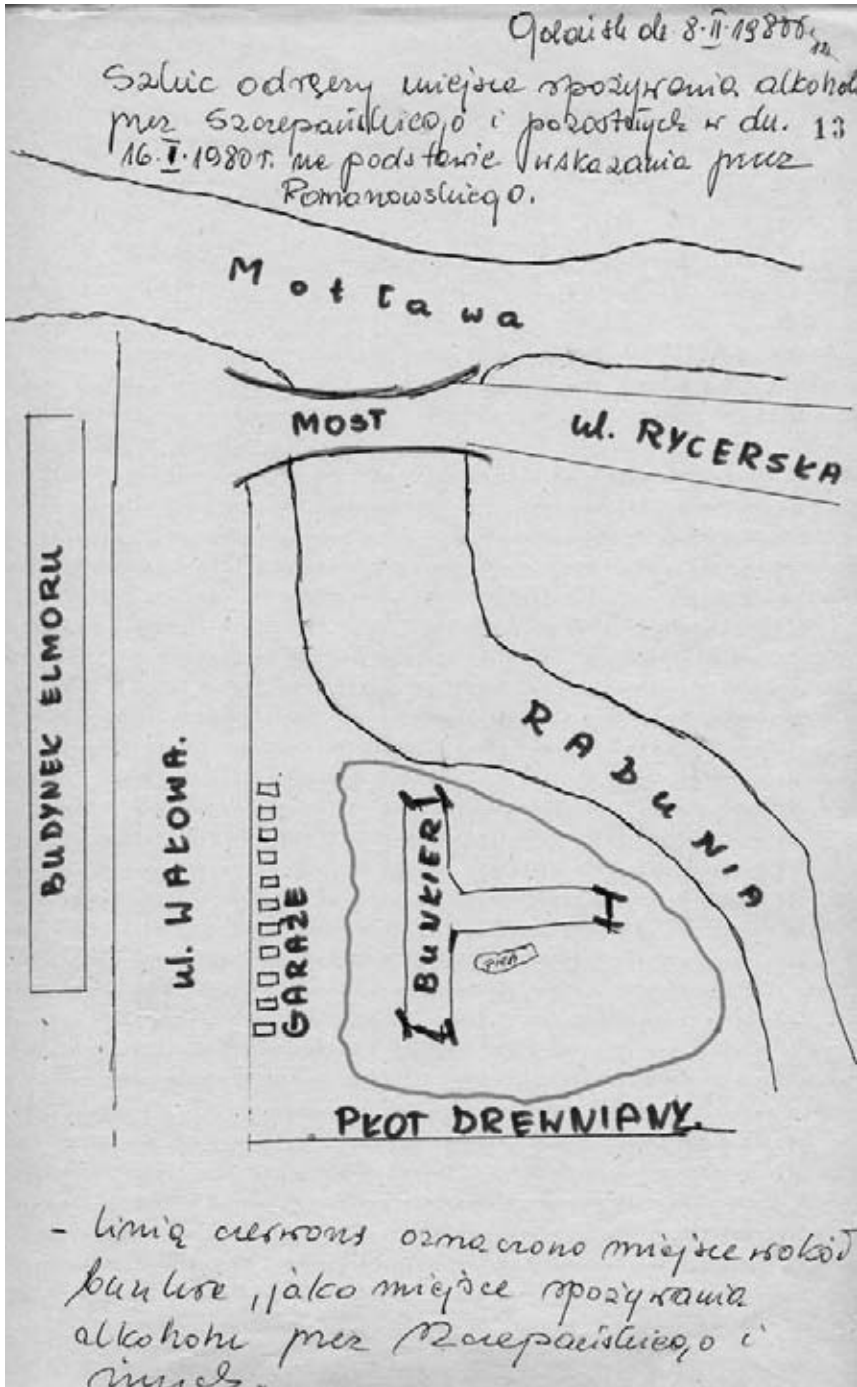
¹⁸ *Ibidem*, Notatka urzędowa wiceprokuratora Leszka Lackorzyńskiego, Gdańsk, 30 IV 1980 r., k. 124.

¹⁹ Relacja Józefa Drogonia, Gdańsk, kwiecień 2004 r.

²⁰ *Do załogi Elektromontażu*, Gdańsk, 23 I 1980 r., druk ulotny w zbiorach autora.

²¹ L. Wałęsa, *Droga nadziei*, s. 104.

²² AIPN Gd, 0046/364, t. 3, Informacja dot. sytuacji operacyjno-politycznej w okresie 18–21 bm. w obiektach i środowiskach zabezpieczanych przez Wydział III „A” i III, Gdańsk, 21 III 1980 r., k. 71.



Fot. z arch. IPN GD

Plan sytuacyjny miejsca, gdzie Tadeusz Szczepański wraz z kolegami spotkali się, by uczcić zdany egzamin na prawo jazdy w dniu 16 stycznia 1980 r.

Jednak na początku lutego 1980 r. Wydział III uzyskał informację, że Wałęsa poinformował bezpośrednio Jacka Kuronia o śmierci Szczepańskiego. Podczas swojego pobytu w Gdańsku Kuroń obiecał działaczom WZZ, że KSS KOR opublikuje wkrótce „apel o poszukiwaniu” Szczepańskiego²³. W dniu 13 lutego 1980 r. KSS KOR opublikował komunikat *W związku z zaginięciem współpracownika Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża*, w którym przedstawiono sylwetkę Szczepańskiego jako działacza WZZ oraz okoliczności, w których po raz ostatni go widziano (odprowadzony do tramwaju ok. 18.30). W komunikacie apelowano również o udzielenie wszelkiej pomocy w poszukiwaniach, podano też adresy kontaktowe do Bogdana Borusewicza, Andrzeja Gwiazdy i Lecha Wałęsy²⁴. Sprawą zainteresował się Departament III, III „A” oraz Wydział II Biura Śledczego MSW, od tej pory była więc również analizowana i kontrolowana na poziomie MSW.

Już po wyłowieniu zwłok Szczepańskiego z Motławy 21 marca 1980 r. L. Wałęsa został przesłuchany przez wiceprokuratora Prokuratury Rejonowej w Gdańsku J. Majcherczyka. Wałęsa zeznał, że słabo znał Szczepańskiego, zetknął się z nim dopiero w „Elektromontażu”, a nawet nie wie, gdzie mieszkał. W czasie przesłuchania wypowiedział jednak bardzo interesującą kwestię: „Nie utrzymywałem z nim bliższych kontaktów towarzyskich, a raz bodajże w miesiącu grudniu 1979 r. miałem z nim rozmowę, z której wynikało, że w mieszkaniu u niego miało być 2-ch funkcjonariuszy milicji, którzy okazywali mu legitymację i mieli mu oświadczyć by nie brał on udziału w manifestacji złożenia wieńców pod Stoczną w związku z rocznicą śmierci stoczniowców. Trudno mi powiedzieć dlaczego do Szczepańskiego z tym się zwracano, ale mogę tylko przypuszczać, że związane to było z tym, że pracuje on razem ze mną, a ja byłem wtedy organizatorem tej manifestacji”²⁵. Wałęsa nie podpisał protokołu, a na koniec dodał, że jest „bardzo zmęczony” i „być może niektóre fakty zostały pominięte”, gdyż „przebywał przez 48 godzin w areszcie”²⁶.

Romanowski zmienia zeznania

Zanim jednak wszystko w sprawie śmierci Tadeusza Szczepańskiego stało się oczywiste, w dniu 20 marca 1980 r. Prokuratura Rejonowa w Gdańsku wszczęła śledztwo. W toku śledztwa, głównie na podstawie „przesłuchań świadków i biegłych, oględzin i sekcji zwłok, wizji lokalnej i eksperymentu procesowego”²⁷, ustalono, że wieczorem 16 stycznia 1980 r. Romanowski i Szczepański „szli razem ulicą Grodzką i na jej końcu, przy skrzyżowaniu ulic Grodzkiej, Podwala Staromiejskiego i Sukienniczej Romanowski wyrzucił się po raz trzeci. Po podniesieniu z ziemi Romanowski nagle skręcił z ulicy Podwale Staromiejskie w bok i poszedł dalej, nie oglądając się na idącego do tej pory razem z nim Tadeusza Szczepańskiego. [...] Przesłuchiwany w charakterze świadka Krzysztof Romanowski stanowczo stwierdził, iż

²³ AIPN Gd, *Kronika KWMO i WUSW w Gdańsku we latach 1980–1984*, Gdańsk 1984, s. 6; AIPN, 01224/1948, Meldunek operacyjny Jana Lesiaka, 8 II 1980 r., k. 92–93; AIPN BU, MSW II 2433, Zespół Informacyjny Sztabu MSW, Informacja sytuacyjna, Warszawa, 8 II 1980 r., k. 16.

²⁴ *Dokumenty Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”*, wstęp i opracowanie A. Jastrzębski, Warszawa–Londyn 1994, s. 489–490.

²⁵ AIPN Gd, 57/18, Protokół przesłuchania świadka L. Wałęsy, Gdańsk, 21 III 1980 r., k. 50.

²⁶ *Ibidem*, k. 51.

²⁷ AIPN Gd, 57/18, Protokół z wizji lokalnej i eksperymentu procesowego w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci Tadeusza Szczepańskiego, Gdańsk, 27 III 1980 r., k. 92–102.

ostatnim miejscem, w którym widział Tadeusza Szczepańskiego było wyżej opisane skrzyżowanie ulic Grodzkiej, Sukienniczej i Podwala Staromiejskiego²⁸.

W tym miejscu pojawiła się jednak kwestia zmiany zeznań złożonych przez Romanowskiego, który wcześniej, w czasie przesłuchań przez MO i rozmów z rodzicami oraz kolegami Szczepańskiego, mówił, że odprowadził go aż do Dworca Głównego PKP w Gdańsku. Oddajmy raz jeszcze głos wiceprokuratorowi Prokuratury Rejonowej w Gdańsku Lackorzyńskiemu: „Po sprawdzeniu podanych przez niego [K. Romanowskiego – S.C.] faktów, a w szczególności stwierdzeniu, że w krytycznym czasie Wiesław Zieliński został zabrany do Izby Wytrzeźwień, Krzysztof Romanowski zmienił wersję wydarzeń. Mianowicie stwierdził, że na skutek wypitego alkoholu w pewnym momencie zrobiło mu się niedobrze i poszedł w boczną uliczkę zwymiotować. Gdy wrócił na ul. Podwale Staromiejskie to Szczepańskiego już nie było. Szukając go doszedł do skrzyżowania tej ulicy z ul. Rajska, gdzie został zaczepiony przez nieznanego mężczyznę. Mężczyzna ten towarzyszył mu do dworca PKP i dlatego początkowo pomylił go ze Szczepańskim, co było przyczyną podania, że Szczepańskiego odprowadził do dworca. Przesłuchiwany w charakterze świadka w Prokuraturze Rejonowej w Gdańsku, Krzysztof Romanowski jeszcze raz zmienił wersję zdarzeń, jakie miały miejsce w dniu 16 stycznia 1980 r. i zeznał zgodnie z opisanym wyżej stanem faktycznym. W trakcie tego przesłuchania Romanowski stwierdził, że kłamał zarówno podczas rozpytywania go przez MO, jak również w swoim zakładzie pracy, gdy o okoliczności związane z zaginięciem Tadeusza Szczepańskiego pytali się ich koledzy. Powodem tego był strach przed ewentualnymi konsekwencjami i przesłuchaniami w organach ścigania, które wiązał z tym, iż był ostatnim z uczestników picia alkoholu, który widział Tadeusza Szczepańskiego przed jego zaginięciem. Romanowski tak samo jak milicji i kolegom z Elektromontażu, kłamał również i rodzicom Tadeusza Szczepańskiego, którzy od niego chcieli się dowiedzieć, jak przebiegały wydarzenia²⁹.”

„Dusili jak on się kąpał”

W środowisku antykomunistycznym w Trójmieście nie dowierzano ustaleniom prokuratury. Niektórzy z działaczy WZZ pamiętali bowiem narzekania T. Szczepańskiego na nachodzących go w domu funkcjonariuszy SB. Wśród WZZ-owców mówiło się o tym, że pewnego dnia, kiedy Szczepański był sam w domu, do mieszkania wtargnęli esbecy i chcąc wymusić od niego jakieś informacje (niektórzy twierdzą, że mogło chodzić o zmuszenie go do współpracy), grozili mu śmiercią, topili go w wannie i bili mokrymi ręcznikami (nie zostawiają śladów)³⁰. „Jego Służba Bezpieczeństwa strasznie przycisnęła. Zrezygnował, bo podobno go dusili jak on się kąpał [w wannie – S.C.]. [...] Zginął w okolicach Motławy” – wspominał w 1981 r. Sylwester Niezgodą³¹. Według SB podobne opinie wygłaszał Bogdan Borsewicz, który na początku kwietnia 1980 r. podczas spotkania ze stoczniovcami miał powiedzieć jednoznacznie, że „badania sądowo-lekarskie

²⁸ *Ibidem*, Postanowienie o umorzeniu śledztwa, Gdańsk, 31 V 1980 r., k. 238.

²⁹ *Ibidem*, k. 239.

³⁰ Relacja Joanny i Andrzeja Gwiazdów, Gdańsk, 9 V 2006 r.; relacja Krzysztofa Wyszowskiego, Gdańsk, listopad 2005 r.

³¹ *WZZ a „Solidarność”*, zapis z sesji poświęconej WZZ, wydawnictwo „Fakt”, Gdańsk 1981, s. 17–18, mps w zbiorach autora.

w sprawie śmierci T. Szczepańskiego są fałszowane, gdyż posiada on informacje, że SB torturowała Szczepańskiego zrywając mu paznokcie a następnie obciąła mu nogi, aby nie było śladów”³².

Z kolei inny z działaczy WZZ, Lech Kaczyński, miał pewne wątpliwości co do tego, czy Szczepański zginął z rąk bezpieki, choć kategorycznie tego nie wykluczał: „Sprawa Tadeusza Szczepańskiego to była sprawa z początku 1980 roku, o ile ja dobrze pamiętam. Chodzi o tego chłopaka, którego znaleziono... On był z tej grupy młodych, którzy trafili do WZZ-tów na jesieni 1979 roku. Do dzisiaj niewyjaśniona sprawa. Tam są poszlaki, że to było zabójstwo przez SB, głównie z tego powodu, że przedtem go prześladowano. Jakaś ekipa, opowiadał taki Niezgoda z tej grupy, ze Stogów, związanej z Wałęsą, prawdę powiedziawszy chuligan, później drukarz, że tam wpadła do tego Szczepańskiego swojego czasu bezpieka i go podtopili w wannie, znaczy to by się układało w pewien ciąg zdarzeń, natomiast ja muszę powiedzieć, że ja nie jestem pewien. Tam są trzy wersje, zabójstwo przez Służbę Bezpieczeństwa, zabójstwo kryminalne i wypadek. Każda z nich... [...] Wersja wypadku, to powiedziałbym – jest 20%, wersja, że bezpieka – 50%, wersja, że sprawa kryminalna – 30%. Tak to bym ocenił. Dlaczego tak niski procent dają dla bezpieki? Bo bezpieka w Gdańsku tego rodzaju rzeczy nie robiła. Tutaj, trzeba sobie jasno powiedzieć, że tutaj było łagodniej niż gdzie indziej. I stąd. Natomiast chłopaka osobiście... ja być może się z nim stykałem tej jesieni 1979 roku, ale nie pamiętam tego. Wiem, że to był nieduży, drobny chłopak i że byli tam tacy. Proszę pamiętać, że na tych spotkaniach ostatnich, które prowadziłem, gdzieś na początku października 1979 roku, to zdarzało się, że cały pokój pani Ani [Walentynowicz – S.C.] był tak zajęty, że oni siedzieli już na podłodze, że tam nie było miejsca, tam było już ponad trzydzieści osób, trzydzieści parę...”³³.

Według SB „w dniu 21 bm. [marca] J[oanna] Gwiazda przekazała J[ackowi] Kuroniowi informację uzyskaną od L[echa] Wałęsy, że w Motławie znaleziono ciało Tadeusza Szczepańskiego. J. Kuroń polecił jej, aby skontaktowali się z rodziną T. Szczepańskiego i uzyskali pełnomocnictwo dla adw. J[acka] Taylora jako pełnomocnika prawnego w tej sprawie. Poinformowano Wydz[iał] III Dep[artamentu] III A”³⁴. W dniu następnym Kuroń poinformował dziennikarzy zachodnich (m.in. z agencji Reuter, ANSA, DPA, UPI) o wyłowieniu zmasakrowanego ciała Szczepańskiego z Motławy, zaznaczając, że był on działaczem WZZ i Komisji Robotniczej „Elektromontażu”³⁵. Kuroń był poruszony sprawą Szczepańskiego, o czym świadczą liczne notatki warszawskiej SB, w których jest m.in. mowa o tym, że porównuje on

³² AIPN BU, 0296/270, t. 2, Informacja dot. aktualnej sytuacji w kraju według meldunków nadesłanych w dniu 11 kwietnia 1980 roku, Warszawa, 12 IV 1980 r., k. 35. W późniejszym okresie B. Borusewicz zmienił zdanie, uznając śmierć Szczepańskiego za wypadek. Zob. E. Szczesiak, *Borusewicz. Jak runął mur. Rozmowy z liderem opozycji demokratycznej, legendą Sierpnia '80 oraz podziemia „Solidarności”, pierwowzorem „Człowieka z żelaza”*, Warszawa 2005, s. 116.

³³ Relacja nieautoryzowana, zebrana przez Danutę Kędzierską-Sadowską, mps w zbiorach Krzysztofa Wyszkowskiego. Zob. także: S. Cenckiewicz, *Oczami bezpieki. Szkice i materiały z dziejów aparatu bezpieczeństwa PRL*, Kraków 2004, s. 349–350.

³⁴ AIPN, 0204/1417, Meldunek operacyjny Jana Lesiaka, Warszawa, 22 III 1980 r., k. 25–26.

³⁵ *Ibidem*, k. 27–28. O śmierci Szczepańskiego informowali kraj także inni działacze WZZ i ROPCio z Trójmiasta, m.in. Jan Zapolnik (AIPN BU, 0296/270, t. 1, Informacja dot. aktualnej sytuacji w kraju wg. meldunków nadesłanych w dniu 22 marca 1980 roku, Warszawa, 23 III 1980 r., k. 109).



Fot. z arch. IPN

Zdjęcie wykonane przez MO w czasie wizji lokalnej. Na fotografii koledzy Tadeusza Szczepańskiego, którzy razem z nim uczestniczyli w kursie na prawo jazdy

też śmierć do sprawy Stanisława Pyjasa. Kuroń miał mieć nawet pretensje do działaczy WZZ Wyrbrzeża, że zbyt małą wagę przywiązują do ustalenia przyczyn śmierci³⁶.

„Matka i ojciec strasznie płakali”

Pogrzeb Tadeusza Szczepańskiego odbył się 25 marca 1980 r. na cmentarzu Emaus w dzielnicy Siedlce. SB uniemożliwiła udział w nim kolegom Szczepańskiego z „Elektromontażu” – Wałęsie i Niezgodzie, a także innym działaczom z Trójmiasta (m.in. Tadeuszowi Szczudłowskiemu z ROPCiO). Zatrzymano również Marylę Płońską z WZZ, której odebrano też wieniec z szarfą z napisem: „Tragicznie zmarłemu koledze WZZ, KOR”. Na pogrzebie przemawiał Bogdan Borusewicz. Według SB wokół grobu Szczepańskiego zgromadziło się ok. 200 osób, według opozycjonistów dwa tysiące³⁷. Dzień później „nieznani sprawcy” pobili uczestniczącego w pogrzebie Piotra Karczewskiego³⁸.

³⁶ AIPN, 0204/1417, t. 17, Pismo kpt. E. Kudybińskiego z Departamentu III MSW do płk. J. Bogusza z Biura Śledczego MSW, Warszawa, 31 III 1980 r., k. 114–115.

³⁷ AIPN BU, 0296/270, t. 2, Informacja dot. aktualnej sytuacji w kraju według meldunków nadesłanych w dniu 25 marca 1980 roku, Warszawa, 26 III 1980 r., k. 111.

³⁸ J.J. Lipski, *Komitet Obrony Robotników*, Gliwice 1988, s. 294.

W 1981 r. tak wspominał te wydarzenia Sylwester Niezgoda: „Przyjechała Maryla Płońska i przywiozła wieniec. Była niesamowita ilość Służby Bezpieczeństwa. Na klatkach schodowych, wszędzie obstawiali, żeby ten wieniec nie wyszedł. Mnie brali, Leszka Wałęsę, i Marylę. [...] Leszka żona wtedy była w ciąży. Nas w chamski sposób zabrano na 48 godzin, na Piwną, a wieniec cały pognieciony i poszarpany zawieźli pod drzwi mieszkania Leszka i tam go rzucili. Jego żona, wtedy była msza na Stogach, zaniosła go i w takim stanie, w jakim był poszedł na cmentarz”³⁹. Inny z WZZ-owców, Leon Stobiecki, dodawał: „Brałem udział w tym pogrzebie. Była bardzo duża grupa osób, około tysiąca. Milicja jeździła radiowozem w koło tego kościoła i rozganiała ludzi, którzy brali udział w tym pogrzebie. Kiedy autokary przewoziły nas na cmentarz – taki nowy cmentarz na [ul.] Kartuskiej, zorientowaliśmy się, że jesteśmy bacznie śledzeni przez Służbę Bezpieczeństwa. Potem każdy nasz krok przy kaplicy był filmowany. Ja, kiedy doszedłem w okolice Bogdana Borusewicza, którego znałem tylko z widzenia i ze zdjęcia chrztu córki Lecha Wałęsy, kiedy zbliżyłem się do Leszka byłem kilkakrotnie filmowany. Wiedziałem już, że robi to Służba Bezpieczeństwa. Każdy nasz ruch był ograniczony. Chodziło o to, żeby każdy był jak najbliżej innych, i można było ocenić czy ktoś został aresztowany czy nie. Na cmentarzu było około dwa, do dwa i pół tysiąca ludzi. Był to bardzo piękny pogrzeb. Pytałem się mamy, bo mieszka na Stogach, a ten chłopiec nazywał się Szczepański – dlaczego na tabliczce nie ma napisu, że zginął śmiercią tragiczną. Przecież zginął on w niewyjaśnionych okolicznościach. Po zdaniu egzaminu II kategorii do domu nie wrócił. Okazało się, że Służba Bezpieczeństwa zabroniła rodzinie dać taki napis, a więc na krzyżu musiała mieć taki napis, jaki bezpieka podyktowała”⁴⁰.

MSW kieruje śledztwem

W połowie 2004 r. w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, w aktach dotyczących rozpracowania Komitetu Obrony Robotników kryptonim „Gracze”, natknąłem się na bardzo interesujący dokument Departamentu III. Jest to notatka służbowa mjr. Ryszarda Bartnickiego z Departamentu III MSW z 10 kwietnia 1980 r. przeznaczona dla zastępcy dyrektora Departamentu III płk. Tadeusza Szczygła (na dokumencie jest jego pieczętka i podpis), w której zawarto szczegółowe wytyczne na temat sposobu kierowania śledztwem w sprawie śmierci Tadeusza Szczepańskiego⁴¹. Autor czterostronicowej notatki zawarł w niej wiele konkretnych wskazówek zarówno dla gdańskiej prokuratury, jak i Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku, które jeszcze skuteczniej uprawdopodobnią wersję wypadkową śmierci Szczepańskiego. Co ciekawe, szczegółowa lektura i analiza akt śledztwa zachowanych w gdańskim IPN w zdecydowanej większości potwierdziła realizację postulatów zawartych w notatce przez Prokuraturę Rejonową w Gdańsku.

Przykładem niech będą chociażby te z wytycznych Bartnickiego, które dotyczą wprowadzenia do akt śledztwa dokumentów wystawionych przez Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej Oddział Morski w Gdyni potwierdzających „całkowite pokrycie lodem i śniegiem” powierzchni w dniu 16 stycznia 1980 r., a także przez Kapitanat Portu w Gdańsku, który z ko-

³⁹ WZZ a „Solidarność”..., s. 17.

⁴⁰ *Ibidem*, s. 18.

⁴¹ AIPN, 0204/1405, t. 12, k. 38–41.

lei miał potwierdzić intensywność ruchu jednostek pływających po Motławie oraz określić stan zamrożenia rzeki. Innym przykładem, dość poruszającym, jest wniosek Bartnickiego, by do akt śledztwa wprowadzić protokół przesłuchania „lekarza z zakresu medycyny sądowej na okoliczność działania morza i rzek na topielca, czy działanie to pozbawia go ubioru”. Funkcjonariusz Departamentu III pisał bardzo konkretnie, że „wytypowany lekarz powinien powołać się w trakcie przesłuchania na znane mu osobiście oraz ze spraw o utonięcie i specjalistycznej literatury tego rodzaju przypadki”. W aktach śledztwa znajdujemy protokół przesłuchania Romana F. Zbychorskiego z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Gdańsku w dniu 10 kwietnia 1980 r. zawierający szczegółowe wyjaśnienia na temat okoliczności zgonu T. Szczepańskiego, pojawienia się licznych obrażeń ciała, z powołaniem się na podobne przypadki „opisywane w literaturze fachowej”.

Bartnicki zwraca również uwagę na to, że „istotny wpływ na korzystną sytuację prawną w omawianej sprawie” miał m.in. fakt odwołania w dniu 27 marca 1980 r. pierwotnych zeznań przez Krzysztofa Romanowskiego, który wycofał się ze stwierdzenia, iż odprowadził Szczepańskiego pod dworzec PKP w Gdańsku.

„Dziennik Bałtycki” na pasku SB

Pod koniec notatki oficer Departamentu III pochwała pomysł KW MO w Gdańsku o propagandowym wykorzystaniu sprawy utonięcia T. Szczepańskiego na łamach „Dziennika Bałtyckiego”. „Zakres tego wykorzystania ograniczony zostanie jednak tylko do naświetlenia szerzących się niekorzystnych zjawisk opilstwa związanego z promocjami na kierowców” – napisał. W „Dzienniku Bałtyckim” z pierwszego półrocza 1980 r. znalazłem odzwierciedlenie wytycznych SB. Za ledwie w siedem dni od powstania notatki Bartnickiego na łamach „Dziennika Bałtyckiego” ukazał się artykuł podpisany inicjałami „H.O.” pt. *Tragiczne skutki nietrzeźwości*⁴². Czytamy w nim: „Powszechnie wiadomo, że alkohol jest jedną z częstych przyczyn wielu tragicznie kończących się wypadków drogowych. Tymczasem jakże często sięgając po kufel piwa, lampkę wina czy kieliszek mocniejszego trunku nie zastanawiamy się nad tym, jakie konsekwencje może to spowodować. Stąd też niemal każdego dnia kroniki milicyjne odnotowują wypadki, w których ofiarami są nietrzeźwi zarówno kierowcy pojazdów, ich pasażerowie, a także i piesi. Z danych uzyskanych w Wydziale Ruchu Drogowego Komendy Woj[ewódzkiej] MO Gdańsku wynika, że nadużycie alkoholu towarzyszy średnio 25 proc. wszystkich wypadków drogowych w tym województwie. Oznacza to, że co czwarty wypadek spowodowany jest właśnie na skutek alkoholu. Co więcej, wypadki tego typu charakteryzują się wysoką śmiertelnością, nie mówiąc już o licznych przypadkach okaleczeń, trwałego kalectwa, czy znacznych stratach materialnych. W ub. roku nietrzeźwi kierowcy spowodowali 163, a nietrzeźwi piesi aż 307 wypadków drogowych. W tym miejscu nasuwa się pytanie, czy zdarzeń tych można by uniknąć? Niewątpliwie tak, ale pod warunkiem, że wśród uczestników ruchu drogowego wszyscy byłiby trzeźwi. Tymczasem w rzeczywistości tak nie jest. Znane jest powiedzenie, iż okazja czyni złodzieja, ale pijaka także. Służą temu przeliczne okazje, jak »zakrapiane« imieniny, rocznice, zdane egzaminy, »wkupne« w pracy, czy wszelkie inne biesiady, na których do spożywania alkoholu zmusza się nawet tych, którzy

⁴² Zob. H.O., *Tragiczne skutki nietrzeźwości*, „Dziennik Bałtycki”, nr 87, 17 IV 1980, s. 3.

prowadzą pojazd, lub trunków w ogóle nie używają. Wiadomo też, że większość z nas nie lubi wylewać za przysłowiowy kołnierz, stąd potem w ruchu drogowym mamy licznych nietrzeźwych jego uczestników, zagrażających nie tylko sobie, ale i innym. Bowiern alkohol znacznie obniża sprawność umysłową, opóźnia reakcje i pozbawia krytycyzmu”.

W dalszej części artykułu znajdujemy już odwołanie do przykładu T. Szczepańskiego: „Widzimy zatem, że alkohol zbiera tragiczne żniwo. Tym bardziej więc niepokoi fakt, że z jego udziałem odbywają się takie uroczystości jak np. zakończenie kursu na prawo jazdy, a więc wśród tych osób, które zawsze powinny świecić przykładem trzeźwości i posiadać jej nawyk. Ostatnio w Gdańsku zdarzył się śmiertelny wypadek, którego bezpośrednią przyczyną był właśnie alkohol, a jego ofiarą – pracownik Przedsiębiorstwa Produkcji i Montażu Urządzeń Elektrycznych Budownictwa »Elektromontaż« 20-letni Tadeusz S., który 16 stycznia br. zdawał egzamin na kierowcę kategorii »C« w LOK w Gdańsku. Jak wynika z ustaleń śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową w Gdańsku, Tadeusz S. po zdaniu egzaminu już na terenie LOK wypił wspólnie z kilkoma osobami 1/2 l. wódki. Potem kursanci w licznej grupie udali się do baru »Kos«, gdzie wypito po kilka butelek piwa, a następnie w barze »Jacek« – po kilka kieliszków wódki. Po wyjściu z baru Tadeusz S. oraz 6 innych uczestników kursu złożyło się na zakup w pobliskim sklepie monopolowym półtora litra wódki, po czym alkohol ten wypił »pod chmurką« między godz. 18.30 a 19.30 w nie uczęszczanym miejscu, na placyku w okolicy ujścia kanału Raduni do Motławy przy zakładach »Elmor« w Gdańsku. Po wypiciu tak znacznej ilości alkoholu młodzi ludzie rozchodzili się już w stanie kompletnego upojenia. Jednego z nich patrol MO znalazł późnym wieczorem leżącego pod ławką przy ul. Wałowej, skąd odwieziono go do Izby Wytrzeźwień. Pozostali dotarli szczęśliwie do swych domów, natomiast Tadeusz S. ze swym kolegą z kursu i zakładu pracy – Krzysztofem R. – idąc często przewracali się. Po dojściu do ul. Podwale Staromiejskie w pobliżu Motławy Tadeusz S. pozostał sam, bowiem Krzysztof R. – również mocno pijany – skręcił w boczną uliczkę przekonany, że jego kolega idzie za nim. Rodzice Tadeusza S. zaniepokojeni, że syn nie powrócił na noc do domu (co mu się nigdy nie zdarzało) zawiadomili organa MO o jego zaginięciu. Rozpoczęto poszukiwania zaginionego, a następnie śledztwo. Ustalono opisany wyżej stan faktyczny oraz wyłowiono zwłoki Tadeusza S. z Motławy. Z opinii sądowo-lekarskiej Zakładu Medycy Sądowej Akademii Medycznej w Gdańsku, opartej na materiałach z sekcji zwłok oraz badań dodatkowych wynika, że Tadeusz S. zmarł śmiercią gwałtowną wskutek utonięcia, o czym świadczy ostre rozdzęcie płuc, zaś stwierdzone obrażenia ciała nastąpiły już po śmierci i mogły powstać na wskutek działania np. śrub przepływających w tym miejscu licznych statków”.

Pod koniec artykułu tajemniczy autor „H.O.” w szczegółach pisze o promilach alkoholu w organizmie Szczepańskiego, a następnie dodaje: „Podczas odtworzenia przebiegu zdarzeń i wizji lokalnej świadek Krzysztof R., który krytycznego dnia jako ostatni widział swego kolegę Tadeusza S., przeprosił uczestniczących w wizji lokalnej rodziców za to, że pozostawił ich syna samego, tłumacząc to tym, iż sam był pijany i nie zdawał sobie sprawy z tego, co czyni. No cóż, smutnego faktu niepotrzebnej śmierci młodego człowieka to już nie zmieni. Nowo kreowany kierowca na skutek nadużycia alkoholu zginął w Motławie. Przykład ten – tragiczny i wstrząsający – niech będzie ostrzeżeniem dla tych, którzy nagminnie pijąc alkohol powodują najprzeróżniejsze ludzkie nieszczęścia”. Nic dodać, nic ująć.

Należy także nadmienić, że 14 maja 1981 r. kierownictwo MSW wróciło do sprawy śmierci Tadeusza Szczepańskiego. Generał Adam Krzysztoporski, ówczesny wiceminister spraw wewnętrznych, który nadzorował SB i koordynował działania wymierzone w NSZZ „Solidarność”, ściągnął do Warszawy akta śledztwa w tej sprawie. Zwrócił je 29 czerwca 1981 r. Dlaczego akurat wówczas chciał się z nimi zapoznać? To jedna z wielu zagadek w tej zawiłanej historii.

Po 1989 r. próbowano wrócić do sprawy Tadeusza Szczepańskiego. Znow zajął się nią Leszek Lackorzyński, który współpracował z tzw. komisją Jana Rokity⁴³. Śledztwo to nie przyniosło jednak żadnych nowych ustaleń, a Szczepański nie został nawet ujęty w sprawozdaniu komisji Rokity, w odróżnieniu np. od innej zagadkowej śmierci gdańskiego działacza antykomunistycznego – Jana Samsonowicza⁴⁴. Prokurator Lackorzyński nie dysponował opisaną powyżej notatką służbową mjr. Ryszarda Bartnickiego z Departamentu III MSW. Wydaje się, że odnalezienie dzisiaj tego dokumentu może okazać się przełomowe dla śledztwa w tej sprawie. Miejmy nadzieję, że tak właśnie będzie.

⁴³ E. Szczesiak, *op. cit.*, s. 116.

⁴⁴ *Raport Rokity. Sprawozdanie Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności MSW*, wstęp Jan Rokita, posłowie Antoni Dudek, Kraków 2005, s. 25, 158–159 i 162; Z. Kwoka, *Aż do śmierci oddany sprawie „Solidarności”*. Czy Jan Samsonowicz został w 1983 roku zamordowany przez Służbę Bezpieczeństwa?, „Głos”, [http://www.glos.com.pl/Archiwum_nowe/Rok%202006/05_06_2006/strona/publicystyka.html oraz <http://osowa.com>].

Dokument

1980, 10 kwietnia – Notatka służbowa mjr. Ryszarda Bartnickiego z Departamentu III MSW na temat sposobu kierowania śledztwem w sprawie okoliczności śmierci Tadeusza Szczepańskiego

Warszawa, dnia 10^a kwietnia 1980 r.

T A J N E

Egz. Nr 1^b

17. IV. 80^c

ZASTĘPCA DYREKTORA
DEPARTAMENTU III MSW
płk mgr Tadeusz Szczygieł⁴⁵

NOTATKA SŁUŻBOWA

1. W dniu 1. 04. br. dokonano przy współudziale insp[ektora] Wydz[iału] II Biura Śledczego MSW ppor. M[ichała] Kotowskiego⁴⁶ przeglądu akt śledztwa własnego Prokuratury Wojewódzkiej w Gdańsku – Nr 4 Ds-24/80 w sprawie śmierci Tadeusza Szczepańskiego.

Aktualny stan śledztwa prawidłowo obrazuje załączona informacja Prokuratury Wojewódzkiej z 28 III. br.

W wyniku przeglądu akt ustalono, że przed umorzeniem śledztwa (z powodu nie popełnienia przestępstwa art. 11 pkt. 1 kpk) i przed zaznajomieniem z aktami sprawy rodziców T. Szczepańskiego⁴⁷ i ich pełnomocnika – adwokata J[acka] Taylora⁴⁸ należy dokonać m.in. następujących uzupełniających czynności śledczych.

Dokonanie tych czynności wyeliminowałoby możliwość ewentualnego składania przez adwokata wniosków dowodowych w zakresie uzupełnienia postępowania przygotowawczego.

^a Wpisano odręcznie.

^b Wpisano odręcznie.

^c Obok odręcznie wpisanej daty także odręczny podpis gen. Tadeusza Szczygła i jego pieczęć.

⁴⁵ Tadeusz Szczygieł (ur. 1931 r.) – gen. MSW; w resorcie bezpieczeństwa od 1951 r.; funkcjonariusz Departamentu IX; w latach 1973–1975 zastępca Komendanta Wojewódzkiego MO ds. SB w Gdańsku; później m.in. zastępca dyrektora Departamentu III MSW i dyrektor Departamentu IV MSW.

⁴⁶ Michał Kotowski (1946–1987) – mjr MSW (1977 r.); w resorcie spraw wewnętrznych od 1967 r.; zaczął w referacie SB w Garwolinie; w latach 1977–1987 funkcjonariusz Biura Śledczego MSW.

⁴⁷ Rodzice Tadeusza Szczepańskiego to: Cecylia i Feliks Szczepański.

⁴⁸ Jacek Taylor (ur. 1939 r.) – prawnik i adwokat; absolwent Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu; obrońca w procesach politycznych; w latach 1978–1980 współpracował z Biurem Interwencji Komitetu Samoobrony Społecznej Komitetu Obrony Robotników, Komitetem Założycielskim Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża i Ruchem Młodej Polski.

1.1. Uzyskać pismo z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej Oddział w Gdańsku w celu udokumentowania stanu pogody w godzinach wieczorowo-nocnych dnia 16.01.1980 r. i w nocy z 16/17.01.1980 r., gdyż tylko fragmentarycznie w dwu zeznaniach świadków zawarte jest stwierdzenie, że „było śliśko i był śnieg”⁴⁹.

1.2. Uzyskać pismo z Kapitanatu Portu w Gdańsku, lub innej kompetentnej instytucji określając stan zamrożenia rzeki Motławy w dniach 16/17.01.1980 r. oraz jaka w tym okresie była intensywność ruchu jednostek pływających po Motławie⁵⁰.

1.3. Wprowadzić do akt śledztwa dokument stwierdzający, że w rejonach libacji alkoholowej przeprowadzono siłami jednego plutonu Z[motoryzowane] O[dwody] M[ilicji] O[bywatelskiej] penetrację terenu w celu ewentualnego znalezienia T. Szczepańskiego lub innych śladów jego pobytu lub zaginięcia⁵¹.

1.4. Dokonać oględzin akt personalnych z miejsca pracy T. Szczepańskiego w celu udokumentowania okresu jego zatrudnienia, opinii, ewentualnego opuszczania dni pracy, nadużywania alkoholu, itp. Na powyższe okoliczności należy przesłuchać w charakterze świadków, również bezpośrednich przełożonych T. Szczepańskiego.

1.5. Uzyskać pismo z Ośrodka Szkolenia Kierowców L[igi] O[brony] K[raj]u-u w Gdańsku na temat uczestnictwa w kursie oraz wyniku egzaminu.

⁴⁹ Pismo z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej Oddział Morski w Gdyni datowane na 26 IV 1980 r. wpłynęło do Prokuratury Rejonowej w Gdańsku w dniu 28 IV 1980 r. Informacje na temat stanu pogody w Gdańsku w dniu 16 I 1980 r. opracowała mgr B. Dziadziuszko, pismo podpisał zaś zastępca kierownika Oddziału Stefan Maracz (?) [nazwisko na pieczęcie nieczytelne] (zob. AIPN Gd, 57/18, k. 119).

⁵⁰ Por. AIPN Gd, 57/18, Pismo zastępcy dyrektora ds. Eksploatacji Fr. Sikorskiego z Przedsiębiorstwa Państwowego „Żegluga Gdańska” do Prokuratury Rejonowej w Gdańsku z 29 IV 1980 r., k. 120. Poleceniu mjr. R. Bartnickiego z Departamentu III MSW odpowiada bardziej dokument wystawiony w dniu 29 IV 1980 r. przez kapitana żeglugi wielkiej Jerzego Niewiadomskiego w imieniu Kapitanatu Portu w Gdańsku. W dokumencie tym, adresowanym do Prokuratury Rejonowej w Gdańsku, jest mowa o prowadzonych wielokrotnie w dniach 15–18 I 1980 r. inspekcjach w rejonie Motławy. Załączono również wyciągi z dziennika pokładowo-maszynowego statków „Kontroler – 10” oraz „Kontroler – 6” (zob. AIPN Gd, 57/18, k. 110–117).

⁵¹ Por. AIPN Gd, 57/18, Notatka służbowa por. J. Likierskiego, Gdańsk, 8 II 1980 r., k. 12. Na dokumencie widnieje odręczna adnotacja przełożonego por. J. Likierskiego [brakuje podpisu] z datą 8 II 1980 r., w której jest mowa o „konieczności »przeczesaania« terenu przez większe siły – najlepiej sił ZOMO”. Zob. także: *ibidem*, Notatka urzędowa ref. Leszka Kmietka, Gdańsk, 10 II 1980 r., k. 16. W dokumencie tym jest mowa o tym, że w dniu 10 II 1980 r. w godz. 10.00–11.00 dokonano „penetracji wód rzeki Motławy po obu jej stronach [...] przy użyciu jednostki pływającej Zarządu Portu Gdańsk – Straży Portowej – »Strażak II« pod dowództwem kierownika Czesława Chechowskiego oraz jednostki pływającej Kapitanatu Portu Gdańsk – »Kontroler – 10« pod dowództwem Bronisława Ławacz”.

1.6. Dołączyć do akt śledztwa notatkę urzędową oficera dyżurnego II Komisariatu MO w Gdańsku na temat, kto pierwszy poinformował go o zauważeniu zwłok pływających na rzece Motławie⁵².

Jeżeli osoba zgłaszająca telefonicznie o tym fakcie – przedstawiła się, to należy przesłuchać ją w charakterze świadka⁵³.

Notatkę na powyższą okoliczność można odtworzyć na podstawie zapisu w książce wydarzeń oficera dyżurnego II Komisariatu MO w Gdańsku.

1.7. Przesłuchać w charakterze świadka lekarza z zakresu medycyny sądowej na okoliczność działania morza i rzek na topielca, czy działanie to pozbawia go ubioru. Wytypowany lekarz powinien powołać się w trakcie przesłuchania na znane mu osobiście oraz ze spraw o utonięcie i specjalistycznej literatury tego rodzaju przypadki⁵⁴.

Ponieważ postępowanie przygotowawcze w sprawie śmierci T. Szczepańskiego jest prowadzone w formie śledztwa przez Prokuraturę Rejonową w Gdańsku, czynności powyższe po akceptacji kierownictwa Biura Śledczego MSW zostaną przekazane po linii Prokuratury.

2. Istotny wpływ na korzystną sytuację prawną w omawianej sprawie miał fakt wyłowienia w dniu 17 marca zwłok T. Szczepańskiego z Motławy, zatrzymanie w krytycznym dniu uczestnika libacji [Wiesława] Zielińskiego⁵⁵

⁵² Por. *ibidem*, Notatka urzędowa st. insp. Wydziału Śledczego KW MO w Gdańsku por. Wł. Rojka, Gdańsk, 24 IV 1980 r., k. 122; *ibidem*, Wyciąg z książki interwencji Pogotowia Milicyjnego KW MO w Gdańsku, Gdańsk, 24 IV 1980 r., k. 121. W obu dokumentach jest mowa o tym, że informacja o znalezieniu zwłok T. Szczepańskiego została przekazana w dniu 17 III 1980 r. o godz. 18.10 przez niejakiego Szumiała, trenera Gwardyjskiego Klubu Sportowego „Wybrzeże”. Jednak wkrótce okazało się, że nikt o takim nazwisku nie pracuje w GKS „Wybrzeże”. Z innego dokumentu MO wynika, że po zgłoszeniu informacji o znalezieniu zwłok Szczepańskiego pierwszy milicjant pojechał pod wskazane miejsce o godz. 18.00. (por. AIPN Gd, 57/18, ref. Wiktor Jędrasiak, *Notatka służbowa*, Gdańsk, 17 III 1980 r., k. 17). Dokumenty te stoją ze sobą w sprzeczności gdyż z jednego wynika, że o znalezieniu zwłok T. Szczepańskiego zawiadomiono o godz. 18.10, zaś z drugiego wynika, że już o 18.00 ref. Wiktor Jędrasiak na polecenie dyżurnego udał się na miejsce znalezienia zwłok.

⁵³ Nie ustalono ostatecznie, kto poinformował milicję o znalezieniu zwłok T. Szczepańskiego. W dniu 26 IV 1980 r. przesłuchano natomiast Stanisława J. Steinke, który był trenerem piłki ręcznej juniorów, pracownikiem (na ½ etatu) w GKS „Wybrzeże” Gdańsk. Zaprzeczył on jednak, jakoby zawiadamiał MO o znalezieniu ciała T. Szczepańskiego (por. *ibidem*, k. 108).

⁵⁴ W aktach sprawy znajduje się protokół przesłuchania Romana F. Zbychorskiego z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Gdańsku w dniu 10 IV 1980 r. W zeznaniach R. Zbychorskiego znajdują się szczegółowe wyjaśnienia na temat okoliczności zgonu T. Szczepańskiego, pojawienia się licznych obrażeń ciała. Lekarz ten powołuje się także na podobne przypadki „opisywane w literaturze fachowej” (por. *ibidem*, k. 104–105).

⁵⁵ Wiesław Zieliński (ur. 1959 r.) – kolega Tadeusza Szczepańskiego z kursu samochodowego; zatrudniony w Przedsiębiorstwie Produkcji i Montażu Urządzeń Elektrycznych Budownictwa „Elektromontaż” jako elektromonter transformatorowy.

w Izbie Wyrzeźwień⁵⁶ oraz odwołanie w dniu 27. III. br. przez^d K[rzysztofa] Romanowskiego⁵⁷ relacji o odprowadzeniu T. Szczepańskiego do tramwaju, która dała podstawę do szerzenia nie mających oparcia w rzeczywistym przebiegu zdarzeń wersji przyczyn jego zgonu.

2.1. Nowa sytuacja wpłynęła na oficjalne zadeklarowaną zmianę stosunku B[ogdana] Borusewicz⁵⁸ do tej sprawy. W przeprowadzonej w końcu marca br. rozmowie operacyjnej B. Borusewicz stwierdził, że KSS KOR popełnił błąd angażując się w sprawę zaginięcia T. Szczepańskiego i nadając jej tym samym aspekt polityczny⁵⁹. W przypadku udokumentowania, że zginął on w okolicznościach niezawinionych – KSS KOR będąc konsekwentnym winien wydać oświadczenie dementujące swoje poprzednie stanowisko. Decyzja w tym przedmiocie, jak stwierdził, zależy jednak „od Warszawy”.

3. Aspektu politycznego zaginięcia T. Szczepańskiego nadał opublikowany w dniu 14 lutego br. tekst oświadczenia KSS KOR z 13.02.1980 r. w sprawie T. Szczepańskiego z Gdańska wydanego z inicjatywy KZ WZZ w tym głównie L[echa] Wałęsy⁶⁰.

W oświadczeniu podano szereg nieprawdziwych danych takich jak:

- T. Szczepański był działaczem Wolnych Związków Zawodowych;
- za działalność w WZZ został pozbawiony pracy w przedsiębiorstwie

[Produkcji i Montażu Urządzeń Elektrycznych Budownictwa] „Elektromontaż” w Gdańsku;

- w dniu 16.01.1980 r. ok. godz. 18.30 widziano Szczepańskiego wsiadającego do tramwaju linii „9” na ulicy Hucisko.

3.1. Wobec podważalności wymienionych stwierdzeń zwartych w oświadczeniu i pozytywnych wyników toczącego się śledztwa istnieje możliwość wykorzystania toczącego się postępowania przygotowawczego (wydłużonego w związku z koniecznością dokonania czynności uzupełniających) do podjęcia działań, których celem byłoby wykazanie i procesowe udokumentowanie działaczom KSS KOR tendencyjności i fałszywości treści złożonego przez nich oświadczenia.

3.2. Bazując na treści oświadczenia KSS KOR z dnia 13.02. br. uzyskanego w trakcie śledztwa należy przesłuchać w charakterze świadka L. Wałęsę,

^d *Dopisano odręcznie.*

⁵⁶ AIPN Gd, 57/18, Notatka służbowa por. J. Likierskiego, Gdańsk, 7 II 1980 r., k. 9; *ibidem*, Rachunek nr 482/23 za pobyt i usługi w Izbie Wyrzeźwień, Gdańsk, 16 I 1980 r., s. 128.

⁵⁷ Krzysztof Romanowski (ur. 1960 r.) – kolega Tadeusza Szczepańskiego; zatrudniony w „Elektromontażu” jako kierowca.

⁵⁸ Bogdan Borusewicz (ur. 1949 r.) – historyk i polityk; uczestnik marca 1968 r. (skazany na trzy lata więzienia); od 1976 r. działacz KOR, a od 1978 r. w Wolnych Związków Zawodowych Wyrzeża; współorganizator strajku w sierpniu 1980 r.

⁵⁹ Rozmowę przeprowadził naczelnik Wydziału III KW MO w Gdańsku ppłk Wojciech Raniewicz.

⁶⁰ Lech Wałęsa (ur. 1943 r.) – elektryk; pracownik Stoczni Gdańskiej im. Lenina, a później Fabryki Urządzeń Budowlanych „Zremb” i „Elektromontażu”; w 1978 r. przyłączył się do WZZ Wyrzeża; w sierpniu 1980 r. przewodniczący MKS.

B. Borusewicz i A[ndrzej] Gwiazdę⁶¹ na okoliczność zaginięcia T. Szczepańskiego. Nazwiska i adresy tych osób zostały podane w oświadczeniu⁶².

3.3. Przesłuchać w charakterze świadków wytypowanych działaczy KSS KOR na treść przekazanego przez nich oświadczenia.

4. Kierownictwo KW MO w Gdańsku uznało za celowe propagandowe wykorzystanie sprawy utonięcia T. Szczepańskiego na łamach „Dziennika Bałtyckiego”⁶³. Zakres tego wykorzystania ograniczony zostanie jednak tylko do naświetlenia szerzących się niekorzystnych zjawisk opilstwa związanego z promocjami na kierowców. Wiązanie tego faktu z podjętymi przez środowisko antysocjalistyczne działaniami, jak również podjęcie przesłuchań tego środowiska na okoliczność wydanego oświadczenia w obecnym etapie śledztwa uważane jest za niecelowe.

St. Inspektor Wydziału IX Dep. III MSW
Mjr R. Bartnicki^{64e}
16. 04. 80^f

Uwagi:

Jak wskazują późniejsze wypowiedzi B. Borusewicza, w których śmierć Szczepańskiego przypisuje Sł[uzbie] Bezp[ieczeństwa], jego postawa i wypowiedzi w toku rozmowy z tow. W[oiciechem] Raniewiczem⁶⁵ były taktycznym „zagranieniem”. W tej sytuacji zasadnym jest aby tym bardziej realizować nasz plan związany ze śmiercią Szczepańskiego.

15.04. [19]80 r.^g

Źródło: IPN 0204/1405, t. 12, k. 38–41.

^e Poniżej odręczny podpis. Jest to zapewne akceptacja odręcznych uwag zamieszczonych poniżej.

^f Datę i nieczytelną parafę wpisano odręcznie.

^g Całość uwag oraz data i nieczytelny podpis dopisano odręcznie.

⁶¹ Andrzej Gwiazda (ur. 1935 r.) – inżynier; uczestnik Marca 1968 r. i Grudnia 1970 r. w Gdańsku; w 1973 r. wydalony z Politechniki Gdańskiej, gdzie był asystentem, rozpoczął pracę w gdańskim „El-morze”; w czerwcu 1976 r. z żoną Joanną wystosował do Sejmu list popierający KOR; od 1978 r. jeden z liderów WZZ Wybrzeża; członek prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

⁶² Chodzi o komunikat KSS KOR nr 37 z 29 II 1980 r., w którym zamieszczono komunikat z 13 II 1980 r. *W związku z zaginięciem współpracownika Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża*. W komunikacie podano adresy kontaktowe do B. Borusewicza, A. Gwiazdy i L. Wałęsy.

⁶³ Zob. H.O., *Tragiczne skutki nietrzeźwości*, „Dziennik Bałtycki”, nr 87, 17 IV 1980, s. 3.

⁶⁴ Ryszard Bartnicki (ur. 1939 r.) – ppłk MSW (lipiec 1981 r.); w resorcie spraw wewnętrznych od 1962 r.; najpierw funkcjonariusz Departamentu II (1963–1971), a następnie Departamentu III (1971–1981); brał udział w rozpracowaniu KSS KOR (kryptonim „Gracze”).

⁶⁵ Wojciech Raniewicz (ur. 1938 r.) – płk MSW (awans w 1982 r.); w resorcie spraw wewnętrznych od 1962 r.; najpierw w Wydziale IV KW MO w Gdańsku, a następnie w Wydziale III; w latach 1971–1978 zastępca naczelnika Wydziału III; w latach 1978–1981 naczelnik Wydziału III KW MO w Gdańsku; w latach 1981–1986 zastępca komendanta wojewódzkiego MO ds. SB we Wrocławiu.

„CZARNA JEDYNKA”

NIEZALEŻNA DRUŻYNA HARCERSKA W PRL

Oświadczenie wydane 17 lipca 2006 r. przez byłych członków „Czarnej Jedynek” przypomina o istnieniu w okresie PRL enklaw niezależnego życia społecznego i kulturalnego, wbrew władzy i pomimo kontroli sprawowanej przez komunistyczny reżim. Pierwsza Warszawska Drużyna Harcerska im. Romualda Traugutta, nazywana powszechnie ze względu na czarne chusty i kolor elementów umundurowania „Czarną Jedyneką”, przechowała tradycje przedwojennej drużyny utworzonej w 1911 r.

W latach stalinowskich drużyna była rozwiązana i dopiero na fali „odwilży październikowej” została reaktywowana przy VI Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie im. Tadeusza Reytana. Dokonali tego w pierwszych miesiącach 1957 r. Janusz Ankudowicz i Andrzej Janowski razem z nauczycielem geografii Stanisławem Zawadzkiem.



Fot. ze zbiorów U. Doroszewskiej

Obóz 1 WDH „Czarnej Jedynek”, rok 1973.
Od prawej: Barbara Kunicka (obecnie Felicka) i Urszula Doroszevska

Drużyna realizowała program przedwojennego harcerstwa, ze stopniami, odznakami i zwyczajami wywodzącymi się jeszcze ze skautingu oraz z zachowaniem zasad wychowania patriotycznego i zaangażowania społecznego według dawnych, najlepszych wzorów. Nasilające się kontrole i powtarzane dyrektywy ideologiczne były ignorowane. W ramach zajęć wiele miejsca zajmowała historia najnowsza – przygotowywanie opracowań o patronie drużyny Romualdzie Traugutcie i powstaniu styczniowym, udziale skautów w walce o niepodległość w I wojnie światowej i wojnie z bolszewikami w 1920 r. Osobno uwagę poświęcano zajęciom na temat Powstania Warszawskiego i konspiracji. Drugim nurtem były zajęcia typowo harcerskie: pionierka obozowa, terenoznawstwo, turystyka i gry terenowe. W czasie obozów letnich drużyna brała udział w akcji „Warmia i Mazury”, która miała na celu łagodzenie konfliktów między ludnością napływową i autochtoniczną, a jednocześnie umożliwiała młodzieży poznanie życia codziennego mazurskiej wsi. Działalność ta była tolerowana przez pierwsze lata po reaktywaniu drużyny, ale od około 1959 r. pojawiły się silne naciski ze strony władz harcerskich i komunistycznych. Wiązało się to z powstaniem ruchu walterowskiego, tzw. czerwonego harcerstwa, który miał być obowiązującym wzorem organizacji młodzieżowej. Doprowadziło to do rozwiązania drużyny na jesieni 1961 r., ponieważ drużynowi odmówili realizowania narzucanego programu wychowawczego.

Rok później, jesienią 1962 r. Marek Barański i Jerzy Kijowski ponownie reaktywowali Jedynekę. Stało się to możliwe, ponieważ władze chciały mieć drużynę harcerską w każdej szkole i nową inicjatywę potraktowano jako wypełnianie oficjalnych zaleceń. Tymczasem organizatorzy kontynuowali zarówno metodę, jak i cele wychowawcze z poprzedniego, pierwszego okresu. Pierwszy obóz, w 1963 r. w Nartach pod Szczytnem, był częścią dużego zgrupowania, znajdującego się pod kontrolą specjalnego obserwatora ze strony MSW. Jednak już drugi wyjazd w następnym roku cieszył się znacznie większą swobodą. Należy podkreślić, że obu wypadkach zarówno obrzędowość „Czarnej Jedynek”, jak i jej program harcerski i wychowawczy pozostały niezmienione. Drużyna zdążyła okrzepnąć, wzrosła liczba uczestników (w 1964 r. doszła także drużyna żeńska) i został rozbudowany całoroczny program zajęć. W końcu lat sześćdziesiątych zapoczątkowano święto pamięci, czyli całonocny biwak przy kwaterze „Jerzyków” w Puszczy Kampinoskiej w pobliżu Truskawia, na który nie wysyłano zawiadomień; przychodzili jedynie ci, co pamiętali. Zarówno na obozach letnich, jak i na zimowiskach, a także podczas kilkudniowych majowych biwaków, organizowano akcje społeczne pozwalające poznać mniejszości narodowe, służyć pomocą biednym środowiskom wiejskim, zobaczyć rzeczywiste problemy odwiedzanych regionów. Polegało to na wywiadach środowiskowych podczas długich biwaków i obozów na temat przesiedlonych na ziemię zachodnie Ukraińców, żyjących tam Polaków, często repatriantów z Kresów Wschodnich, także wydarzeń z okresu okupacji i okresu PRL (historia oddziału „Ognia” na Podhalu, akcja „Wisła”, obserwowano zachowanie osób przesiedlonych na ziemię zachodnie). Inną formą działalności były prace społeczne na rzecz wsi, w pobliżu których rozbijano obóz. Drużyna organizowała przedszkola, tworzyła place zabaw, pomagała przy pracach leśnych. Miało to na celu wyrobienie wrażliwości społecznej, rozwijanie spostrzegawczości i zdolności samodzielnego myślenia.

Wstrząsem, który dotknął całe środowisko „Czarnej Jedynek”, były wydarzenia marcowe w 1968 r. i brutalna nagonka antyinteligencka. Część instruktorów brała udział w strajkach studenckich, wszyscy natomiast komentowali przebieg wydarzeń i postępowanie władz. Sierpniowa agresja na Czechosłowację była omawiana po zakończeniu obozowych ognisk, a sytuacja



Zimowisko 1WDH i Gromady w Przesiecu i Jagniątkowie w czasie ferii 1976 r.
 Od lewej: Marcin Gugulski, Ludwik Dorn, Barbara Kunicka (obecnie Felicka), Dariusz Kupiecki,
 Jan Artur Sieńczewski, Piotr Ulatowski

na wyższych uczelniach stała się trwałym i oficjalnym tematem rozmów. Zasadą było jednak jasne oddzielenie pracy harcerskiej i życia w drużynie od zaangażowania politycznego kadry instruktorskiej. Podobnie nie informowano harcerzy o naciskach, kontrolach i wydawanych zaleceniach dotyczących programu zajęć i realizowanych zadań. Pozostawało to w kręgu kadry instruktorskiej. Mimo to Marzec 1968 i agresja na Czechosłowację, która siłą rzeczy była na bieżąco komentowana w trakcie obozu nad jeziorem Gardliczno (w ślad za informacjami Radia Wolna Europa), w późniejszym czasie wpłynęły na kierunek pracy wychowawczej.

Od końca lat sześćdziesiątych przyjęło się także, że obóz odwiedzał zaprzyjaźniony ksiądz, który na ustronnej polanie odprawiał Mszę świętą dla chętnych. Kiedy go nie było, w niedzielę rano drużyna szła na krótki biwak do pobliskiej miejscowości z kościołem, gdzie wszyscy otrzymywali czas wolny. W tym samym okresie pojawiła się moda na inscenizacje teatralne, wystawiane w konwencji komedii *dell'arte*, z wieloma improwizacjami i na temat dowolnie wybrany przez grupę. Drużyna otrzymała także konstytucję, w myśl której wybierano trybunów, przedstawicieli harcerzy, a najważniejsze decyzje podlegały zatwierdzeniu przez zgromadzenie ogólne. Na każdym obozie ukazywały się również przynajmniej dwie gazetki, konkurujące ze sobą i podejmujące zarówno tematy harcerskie, jak i szerokie problemy społeczne oraz zamieszczające eseje i krytyki literackie. Z tej tradycji wyrosło reytaniackie pismo „Za i obok” ukazujące się w latach 1975–1977, o którym dzielnicowy sekretarz PZPR mówił na partyjnej naradzie w końcu 1976 r.: „Kto wydaje to pismo? Uczniowie? Z pewnością nie! Fałkowski z innymi nauczycielami? Także nie! To jest organ frakcji Słonimskiego w Związku Literatów Polskich”. Nawet wówczas, mimo złych prognoz i zagrożenia likwidacją drużyny, słysząc tę relację, nie mogłem ukryć rozbawienia.

W 1969 r. powstała Gromada, klub dyskusyjny członków „Czarnej Jedyńki” i osób nie chcących pogodzić się z brakiem suwerenności państwowej. Zasadą było, że w spotkaniach uczestniczyli wyłącznie absolwenci drużyny i zaproszeni goście. Założyli ją Janusz Kijowski, Piotr Naimski, Antoni Macierewicz i Andrzej Celiński. Dyskusje odbywały się w ciągu roku szkolnego, podczas całonocnych spotkań, bardzo często poza Warszawą. Wśród tematów przedstawianych przez zaproszonych gości były między innymi: młoda poezja polska (z Jackiem Bierezinem i Witoldem Sułkowskim), społeczna koncepcja budowy wielkiego osiedla mieszkaniowego na przykładzie Ursynowa (z Markiem Budzyńskim), neokonserwatywna myśl społeczna (z Marcinem Królem), współczesna myśl pedagogiczna (z Aleksandrem Kamińskim), sytuacja Polaków w Kazachstanie (z panem Platerem), patologie społeczne (z Adamem Podgóreckim). W grudniu 1971 r. na spotkaniu w domu prof. Witolda Doroszewskiego w Zalesiu Dolnym była dyskutowana sytuacja Kościoła w Polsce, a prelegentem był ksiądz Jerzy Chowańczak z parafii św. Michała na Mokotowie. Ponieważ była to niemal rocznica wydarzeń grudniowych, posiedzenie rozpoczęło się minutą ciszy. Sama debata trwała bardzo krótko, gdyż po godzinie wkroczyła SB i aresztowała uczestników. Do rana wszyscy zostali wypuszczeni, ale spotkania Gromady zostały zakazane.

Powrót do tej formy działalności następował powoli i bardzo ostrożnie. Wiele pomocy okazała nam wówczas Halina Wiśniewska, instruktor z hufca Mokotów i matka naszego kolegi i drużynowego jednej z drużyn (w tym czasie „Jedyńka” była już szczerpem harcerskim składającym się z trzech drużyn męskich i trzech drużyn żeńskich, w każdej po około 22–25 harcerzy, w sumie prawie 150 osób). Od 1975 r. spotkania Gromady zaczęły być organizowane przez Wojciecha Onyszkiewicza i Wojciecha Fałkowskiego, który pełnił wówczas również szkolną funkcję opiekuna harcerstwa. Funkcja ta była pomyślana jako sprawowanie nadzoru nad drużyną, ale stanowisko objął instruktor „Czarnej Jedyńki” i członek Gromady. W grudniu 1976 r. tematem spotkania w mieszkaniu Pawła Bąkowskiego na warszawskim Żoliborzu była reforma oświaty. Wkrótce po rozpoczęciu referatu wprowadzającego wkroczyła SB i, tak jak pięć lat wcześniej, aresztowała uczestników. Mimo że wszyscy zostali wypuszczeni jeszcze tej samej nocy, to posiedzenie żoliborskie zakończyło działalność Gromady. Wielu jej członków było już wtedy aktywnie zaangażowanych we współpracę z Komitetem Obrony Robotników i stało się jasne, że Służba Bezpieczeństwa nie dopuści do swobodnej dyskusji na żaden temat, a represje mogą objąć także członków drużyny harcerskiej.

Zaangażowanie *stricte* polityczne stawało się widoczne wśród członków Gromady już wiele miesięcy wcześniej. Było ono naturalną konsekwencją procesu wychowawczego realizowanego w I WDH, wyznawanego systemu wartości oraz stopniowego dojrzewania wszystkich uczestników. W grudniu 1975 r. powstał osobny list „Jedynaków” w proteście przeciwko zmianom konstytucji PRL i jawnemu, konstytucyjnemu podporządkowaniu ZSRS. Zbieranie podpisów, jak teraz to wiemy, było uważnie śledzone przez SB. W lutym 1976 r. zorganizowaliśmy akcję liczenia osób głoszących w punktach wyborczych podczas wyborów do sejmu. Chcieliśmy na tej podstawie obliczyć rzeczywistą frekwencję wyborczą i ogłosić ją publicznie. Liczenie było zorganizowane w trzech punktach wyborczych (w tym w liceum Reytana); udało się także zdobyć prawdziwe dane z jeszcze dwóch lub trzech komisji. Nie mogliśmy oczywiście na tej podstawie obliczyć frekwencji wyborczej w skali całego kraju. Wiosną 1976 r. zorganizowaliśmy bezpośrednie wybory do samorządu szkolnego w Reytanie,

połączone z kampanią i agitacją wyborczą w stylu amerykańskim. Żartowaliśmy wtedy, że były to pierwsze wolne, masowe i niefałszowane wybory w Polsce od 1945 r.

Od pierwszych dni lipca 1976 r. rozpoczęliśmy akcję pomocy represjonowanym robotnikom Ursusa. Pomysł poddał Antoni Macierewicz, który na początku zwrócił się o pomoc do Wojciecha Falkowskiego, Piotra Naimskiego i Wojciecha Onyszkiewicza. Akcja bardzo szybko rozrastała się, obejmując represjonowanych z innych ośrodków (Radomia, Płocka, Nowego Targu, Grudziądza) i była możliwa jedynie dzięki włączaniu się kolejno bardzo wielu osób z różnych środowisk (nie tylko z „Jedynki”, ale także z Klubu Inteligencji Katolickiej, spośród tzw. komandosów, również pojedynczych, odważnych osób dobrej woli z grona kolegów, sąsiadów i znajomych).

Nie jest możliwe w tak krótkim opracowaniu przedstawienie ani początków opozycji politycznej z lat 1976–1977, ani nawet historii 1 Warszawskiej Drużyny Harcerskiej oraz Gromady. Niniejszy szkic przypomina jedynie fakty z historii „Czarnej Jedynki” i atmosferę, jaka panowała w tych latach w środowisku, które solidarnie, spontanicznie i najzupełniej świadomie zaangażowało się od pierwszych dni w działalność polityczną; doprowadziła ona do powstania KOR. Natomiast pełna historia „Czarnej Jedynki” (drużyny, która istniała i działała do połowy lat osiemdziesiątych) nadal pozostaje do napisania. Poniżej przedstawiamy oświadczenie wydane przez członków 1 WDH.

Warszawa, 17 lipca 2006 r.

Oświadczenie członków 1 Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. R. Traugutta „Czarna Jedynka”

Trzydzieści lat temu solidarnie wystąpiliśmy w obronie prześladowanych robotników z Ursusa, Radomia, Płocka i innych miast, którzy rozpoczęli protest w imieniu całego społeczeństwa. Od czerwca 1976 r. trwały policyjne prześladowania, organizowano pokazowe wiece potępiające „wichrzycieli i prowokatorów” oraz przeprowadzano w trybie doraźnym nieuczciwe procesy sądowe. 17 lipca 1976 r. zaczęła się pierwsza rozprawa aresztowanych uczestników strajku w Ursusie. Brutalna nagonka była zwrócona przeciwko robotnikom oraz wszystkim ludziom, którzy nie zawahali się krytykować zarówno samej decyzji o podwyżkach cen, jak i stosowanych metod policyjnych.

Nie chcieliśmy i nie mogliśmy spokojnie i bezczynnie patrzeć na trwające prześladowania i rozpowszechniane fałszerstwa, którymi komunistyczny totalitaryzm kolejny raz próbował rozwiązać wielki kryzys społeczny. Uznaliśmy, że musimy zacząć wprowadzać w czyn wyznawane wartości i przekonania, które przez wiele lat staraliśmy się realizować w „Czarnej Jedynce”. Organizowana przez nas od grudnia 1975 r. akcja protestów przeciwko zmianom konstytucji PRL zjednoczyła całe środowisko Gromady, klubu dyskusyjnego i zarazem grupy osób związanych z drużyną harcerską, które nie akceptowały komunistycznej władzy i myślały o odbudowaniu niepodległości Polski. W lutym 1976 r. podjęliśmy akcję bojkotu wyborów do sejmu i liczenia oddanych głosów, by udowodnić i publicznie ogłosić fałszerstwa wyborcze.

Środowisko Gromady z coraz większą determinacją dążyło do poszerzenia sfery wolności i prowadziło działania na rzecz suwerenności państwa. Konieczność zademonstrowania solidarności z pokrzywdzonymi, chęć działania w służbie publicznej, a także widoczna potrzeba wyrażenia otwartego sprzeciwu wobec komunistycznej władzy zdecydowały o naszych decyzjach i sposobie działania zarówno wtedy, jak i w następnych latach. Kłopoty, porażki i represje, jakie później stały się naszym udziałem, nie zmieniły naszego przekonania, że tak właśnie należało postąpić. Uważamy, że lata spędzone w „Czarnej Jedynce” zdecydowały o naszych wyborach w tym okresie. Sądzymy, że ideały i kodeks postępowania tam przekazywane mogą i powinny także dziś, wobec kolejnych wyzwań, stanowić wzór dla nowych pokoleń.

Akcja pomocy represjonowanym realizowana od początku lipca 1976 r. była naturalną konsekwencją wcześniejszych działań licznej grupy członków Gromady. Chcemy jednak podkreślić, że współpracowały z nami również inne osoby i środowiska. Doprowadziło to w następnych miesiącach do powołania Komitetu Obrony Robotników, który powstawał jako oficjalna i jawna reprezentacja szerokiego ruchu osób zaangażowanych w akcję pomocy prześladowanym i sprzeciwu wobec komunistycznej władzy. Traktowaliśmy to jako ważny krok na drodze do niepodległego państwa i społeczeństwa obywatelskiego.

Marek Barański, Ludwik Dorn, Urszula Doroszevska, Dorota Fałkowska, Wojciech Fałkowski, Marcin Gugulski, Iwona Koszewska, Dariusz Kupiecki, Krzysztof Łączyński, Antoni Macierewicz, Małgorzata Naimska, Piotr Naimski, Wojciech Onyszkiewicz



Zimowisko 1WDH i Gromady w Przesiecu i Jagniątkowie w czasie ferii 1976 r.
Od lewej: Jan Artur Sieńczewski, Piotr Ulatowski,
Barbara Kunicka (obecnie Felicka), Marcin Gugulski

MUSIAŁEM PRZESKAKIWAĆ PRZEZ PŁOT

Czytając różne relacje z okresu Sierpnia '80, znajduję w nich wiele znanych mi twarzy. Postanowiłem więc powrócić pamięcią do tamtych dni i wspomnieć o ludziach, którzy byli uczestnikami znanych wydarzeń. Bolesnym dla mnie jest to, że ci, którzy bezinteresownie ryzykowali wszystko dla sprawy Polski tylko dlatego, że poczuli się do takiego obowiązku wobec Ojczyzny, zostali dziś zapomniani. Nikt nie opowiada ich historii. Dlatego uważam, że jednym z moich obowiązków jest dać świadectwo, jak wtedy było, póki czas nie zaćmi i wszystko zniknie w niepamięci.

Włączyłem się do Wolnych Związków Zawodowych w drugiej połowie roku 1979. Po strajku w Stoczni Północnej jeden z uczestników tamtego strajku zauważył moją obecność i obdarował mnie posiadaną „bibułą”. Wśród gazetek i ulotek odnalazłem adresy działaczy WZZ i wybrałem się do pani Ani Walentynowicz.

Od początku mojego uczestnictwa w WZZ towarzyszyli mi moi koledzy ze stoczni: Mietek Klamrowski i Andrzej Runowski oraz koledzy z Liceum Ogólnokształcącego nr 5 w Gdańsku Oliwie – Leszek Zborowski i Mirek Walukiewicz. Działał z nami również brat Leszka – Marek Zborowski. Zazwyczaj współpracowało z nami więcej osób; czasami były to kontakty sporadyczne, czasami współpraca z danym człowiekiem trwała dłużej.

Chcę wspomnieć między innymi siostrę Mirka Walukiewicza – Jolantę Walukiewicz, i Jolantę Komandecką, które brały udział w akcji ulotkowej, oraz G. Muszarskiego i Kazimierza Marchewkę ze Stoczni Północnej, a także Jacka Merkela, Grzesia Konkola, i Irenę Dąbrowską z liceum. Mietek z Andrzejem działali przede wszystkim (dopóki pracowali) na terenie stoczni – kolportowali tam bibułę, a po moim zwolnieniu w styczniu 1980 r. podjęli działanie w mojej obronie. Właśnie oni wystąpili z petycją do kierownictwa stoczni, wykazując niesłuszność zwolnienia i postulując przywrócenie mnie do pracy. Pod petycją podpisy złożyło 36 pracowników Stoczni Północnej. Dyrekcja na petycję odpowiedziała szykanami: wzywano osoby, które ją podpisywały, groźbami i szantażem zmuszano do wycofania podpisu. Napisałem wówczas list otwarty do pracowników Stoczni Północnej, dziękując wszystkim za ich postawę. Kolportowania tego listu podjęli się również Mietek i Andrzej, za co obaj zostali ukarani – Andrzeja przeniesiono na inny wydział, a następnie wcielono do wojska w kwietniu '80, Mietka zaś zwolniono z pracy.

Z Mirkiem i Leszkiem działaliśmy w liceum. Kolportowaliśmy ulotki na terenie miasta, malowaliśmy hasła antykomunistyczne. Wszyscy braliśmy udział w różnego typu akcjach solidarnościowych – uczestniczyliśmy w sprawach sądowych, w sprawach toczących się przed terenową komisją odwoławczą oraz spotykaliśmy się w różnych miejscach, aby całą tę sprawę ogarnąć modlitwą. Uczestniczyliśmy również w nielegalnych kursach czy wykładach, np. o tematyce historycznej, o prawie pracy, a także o tym, jak zachowywać się w razie aresztowania itp. Działaliśmy nie tylko na terenie Trójmiasta, ale jeździliśmy również do Słupska, gdzie np.

toczył się proces przeciwko Markowi Kozłowskiemu z KOR. Uczestniczyliśmy w tym procesie. Jeździliśmy na akcje ulotkowe do Słupska. Tam rozprowadzaliśmy ulotki w sprawie obrony Marka oraz ulotki wzywające do bojkotu wyborów. W czasie jednej z tych akcji zatrzymany został Mirek Walukiewicz. Obawialiśmy się, że może zostać skazany na grzywnę przez kolegium, a z powodu niemożności zapłacenia grzywny może zostać uwięziony (kolegia stosowały taką możliwość). Wybrałem się więc z zebranymi pieniędzmi, by czuwać w siedzibie kolegium i zapobiec takiej sytuacji. Innym razem jeździłem do Słupska, gdy zatrzymano tam Ludwika Prądyńskiego – pracownika Stoczni Gdańskiej (współpracownika WZZ). Jednak w obu przypadkach kolegium nie odbyło się i obydwaj zostali zwolnieni po 48 godzinach.

Przed wyborami do sejmu, które miały odbyć się w marcu 1980 r., przeprowadziliśmy bardzo zmasowaną akcję ulotkową – najczęściej oblepialiśmy ulotkami stacje miejskiej kolejki, bramy oraz korytarze. Jeden z rysunków zapamiętałem szczególnie: czołg z pięcioma lufami i podpis „olimpiada Moskwa 80”. Była też karykatura Breżniewa z podpisem „Siedź w domu, Breżniew – pójdziemy za Ciebie głosować”. Malowaliśmy także farbą na murach hasło „Chcesz głodować, idź głosować”. Po powrocie z takiej akcji ręce mieliśmy w kolorze farby, jakiej używaliśmy. Rozprowadzaliśmy też ulotki w formacie A4 wyjaśniające, dlaczego powinniśmy zbojkotować wybory. Najczęściej robiliśmy to przy kościołach po Mszach św.

Reakcja ludzi była różna – od łez, wzruszenia i dziękowania, przez obojętność i strach aż do nienawiści i wyzwisk (tych ostatnich było najmniej). Większość ludzi, z którymi wykonywałem te akcje, poza wielką odwagą i sercem cechowała się olbrzymią rozważą i pomysłowością. W przeprowadzonych w tym czasie ponad 20 akcjach tylko raz nie udało się uniknąć zatrzymania przez SB (wspomniany wyżej fakt zatrzymania Mirka Walukiewicza w Słupsku). Choć w czasie akcji unikaliśmy zatrzymań i aresztowań, nie znaczy to, że nie zdarzały się one w innym czasie, zdarzały się, i to dość często.

Aresztowania na 48 godzin były dokuczliwe, miło jednak wspominam okres opuszczania aresztu, szczególnie gdy byłem aresztowany na ulicy Piwnej. Pierwsze swe kroki po wyjściu kierowałem na ul. Kozią, równoległą do Piwnej, gdzie mieszkał Andrzej Butkiewicz z żoną. Zawsze bardzo serdecznie mnie przyjmowali, częstowali smakołykami i byli bardzo mili – chętnie bym teraz dał się zamknąć, by móc odwiedzić Butkiewiczów. Andrzej był współpracownikiem WZZ, również zwolniony z pracy za działalność, świetnie w czasie Sierpnia zorganizował druk materiałów w stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni (gdzie przewodniczył strajkowi Andrzej Kołodziej). Przejęto tam drukarnię stoczniową, w której drukowano postulaty i inne komunikaty ze strajku. Drukarnię w Stoczni Gdańskiej przejęto dużo później. Mówiąc o Andrzeju Butkiewiczu, muszę wspomnieć, że gdy „Solidarność” otrzymała siedzibę w hotelu „Morskim”, to on zorganizował i nadzorował pracę działającej tam drukarni. Również to robił świetnie, w czym pomagała mu Ania Sosnowska, która współpracowała już z drukarnią w stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni.

Wspominając o miłych akcentach po opuszczeniu aresztów, muszę również napisać o bardzo sympatycznej reakcji mojej klasy. Kiedy wracając z aresztu jako powód nieobecności podawałem to, że dopiero zostałem wypuszczony z aresztu (wszyscy wiedzieli o mojej działalności), każdy sięgał do swej reklamówki i byłem wręcz zasypywany kanapkami i wyrazami uznania, zdarzało się to parokrotnie. Było to bardzo przyjemne dlatego, że zwykle w czasie aresztowań nie przyjmowałem posiłków.

Bardzo utrudniała nam życie inwigilacja prowadzona przez Służbę Bezpieczeństwa, czasami natarczywa, jak to się mówi, aż „do bólu”, trwała prawie bezustannie. Umawiając się z kimś, trzeba było wychodzić z domu o godzinę wcześniej, by mieć czas na zgubienie „ogona”. Nie chodziło tylko o spotkania z ludźmi z WZZ, ale także z kimkolwiek. Każdy nasz potencjalny znajomy brany był na celownik SB. Nawet gdy się raz zgubiło „ogon”, to podczas powrotu do domu lub do kogoś z WZZ miało się go ponownie, bo mieszkania były pod obserwacją i z podsłuchem. Gdy było się u Gwiazdów czy u pani Ani, to „rozmawiało się długopisami”, na kartkach. Elementem budującym było zaufanie do ludzi, z którymi się pracowało, człowiek był przekonany, że w razie potrzeby poświęca swoje życie, by bronić innych. Może brzmi to patetycznie, ale tak się czuło w okresie przedsierpniowym.

Sprawy niby z pozoru drobne, takie jak czyjaś obecność w czasie rozprawy w sądzie czy Terenowej Komisji Odwoławczej, budowały to poczucie solidarności między nami. Spraw w TKO było niemało, wymienię chociaż parę nazwisk. Zwolnieni z pracy odwoływali się zazwyczaj od niesłusznych decyzji w TKO. Między innymi byli to Mietek Klamrowski, Andrzej Butkiewicz, Andrzej Kołodziej, Tomek Wojdakowski, Sylwester Niezgoda czy Lech Wałęsa i inni. Utrudniano nam wykazywanie naszej wspólnej solidarności przez wyznaczanie mniejszych sałek, aresztowania po sprawach czy wzmoczoną obserwację. Duże znaczenie dla naszego poczucia bezpieczeństwa miały podawane przez Radio Wolna Europa informacje o osobach aresztowanych czy też w inny sposób represjonowanych. Był to jakby glejt bezpieczeństwa. Dawaliśmy w ten sposób znać SB, „że wiemy, iż więzicie naszych kolegów, więc dobrze by było, żeby wyszli o własnych siłach”.

W kwietniu Andrzej Runowski w ramach prześladowań został powołany do wojska. Również tam dostarczaliśmy mu ulotki, które rozprowadzał wśród żołnierzy. Andrzej odmówił przysięgi na wierność Związkowi Radzieckiemu i z tego powodu był represjonowany, podjął więc głodówkę protestacyjną w czasie Sierpnia, a we wrześniu został zwolniony do cywila.

Po wyrzuceniu mnie z pracy w styczniu 1980 roku pojawił się problem z mieszkaniem. Dotychczas zamieszkiwałem na kwaterze stoczniowej, której mnie stocznia pozbawiła automatycznie po zwolnieniu, jakiś więc czas musiałem mieszkać u znajomych i przyjaciół. Sprawą zajęła się pani Ania Walentynowicz i dość szybko znalazła mi tani pokój u starszej pani na ulicy Matki Polki.

Zwalniając dyscyplinarnie i wyrzucając z terenu stoczni, pozbawiono mnie możliwości rozliczania się z zakładem pracy. Miałem wypożyczone z narzędziowni narzędzia potrzebne do wykonywania pracy. Musiałem przeskakiwać przez płot, by móc je zdać, gdyż przez bramę nie chciały mnie wpuścić straże zakładowe. Długo nie mieszkałem sam, bo wkrótce pojawił się w mieszkaniu Mietek Klamrowski będący w takiej samej sytuacji (również zwolniony ze stoczni). Razem mieszkaliśmy, razem działaliśmy i razem też poszukiwaliśmy pracy. Nasze sprawy o przywrócenie do pracy toczyły się w TKO, później w Sądzie Pracy. Chociaż chodziliśmy do zakładów, które ogłaszały w gazetach i biurze pracy potrzeby zatrudnienia, długo nie przynosiło to żadnego skutku. Gdy byliśmy w biurze pracy 11 sierpnia, trafiliśmy na kierownika z Gdańskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych, który potrzebował spawaczy. Po rozmowie z nim udało się nam dostać tę pracę.

Braliśmy bezpośredni udział w obchodach rocznic i w ich przygotowaniach. Obchodziliśmy rocznicę masakry robotników w Grudniu 1970 r. oraz pomagaliśmy Ruchowi Młodej

Polski, wspólnie uczestniczyliśmy w obchodach święta Niepodległości 11 listopada i w obchodzeniu rocznicy Konstytucji 3 Maja.

W roku 1980, po tym jak obchodzono rocznicę Konstytucji 3 Maja, SB aresztowała i skazała na 3 miesiące aresztu przemawiających na tej manifestacji Tadeusza Szczudłowskiego i Darka Kobzdeja. W intencji ich uwolnienia zostały zorganizowane przez RMP modlitwy w kościele Mariackim w kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Uczestniczyliśmy w tych modlitwach, kolportowaliśmy informacje o nich, jak też ulotki w obronie Szczudłowskiego i Kobzdeja. Po usłyszeniu informacji z RWE, że w Podkowie Leśnej rozpoczęła się głodówka w obronie więźniów politycznych, udałem się do Gwiazdów, by podzielić się moim zamiarem udania się tam. Gwiazdom spodobał się mój pomysł i jeszcze tego dnia, po pożyczeniu śpiwora od Mietka, wyruszyłem do Podkowy Leśnej, gdzie trwałem z innymi współuczestnikami głodówki aż do jej zakończenia. Była w tym potrzeba solidarności z ich cierpieniem oraz okazania, że będziemy bronić każdego wszystkimi możliwymi środkami. Poznałem w Podkowie dużo nowych ludzi, nawiązałem kontakty ze znanymi działaczami opozycyjnymi z różnych części Polski i nie tylko Polski.

Najwięcej poznanych ludzi było z Warszawy. Po jakimś czasie doszedł w naszej grupie jeszcze jeden obowiązek, jeżdżenie do Warszawy po „bibułę”. Najczęściej jeździli Mirek z Leszkiem, przywozili ciężkie torby pełne „bibuły”, a serce cieszyło się z takiego mnóstwa dobra, które trzeba rozdać. W maju, po wyprowadzeniu się Andrzeja Bulca z Gdańska wraz z rodziną do Warszawy, poinformowano mnie, że zostałem włączony do składu Komitetu Założycielskiego WZZ. Myślę, że aktywność całej naszej grupy wpłynęła na tę decyzję, gdyż byli pomiędzy współpracownikami starsi i bardziej godni. Przyjąłem to jako wyróżnienie dla naszej grupy. Jestem przekonany, że oprócz aktywnej chęci służenia Polsce istniała wśród nas troska o innych, odpowiedzialność za nich połączona z gotowością ofiary.

Siódmego sierpnia została zwolniona z pracy pani Ania Walentynowicz, myślę, że ten czyn był „przepełnieniem czary”. Wszyscy byli zbulwersowani, jednomyślnie podjęliśmy decyzję o zdecydowanej jej obronie. Zredagowaliśmy pismo przedstawiające represje stosowane wobec pani Ani i nawołujące do jej obrony, adresowane do stoczniovców. Z relacji Bogdana Borusewicz wiem, że drukował tę ulotkę Piotrek Kapczyński i Bogdan Borusewicz. On też zadecydował o terminie rozpoczęcia akcji.

Na polecenie Bogdana jeździłem do Gdyni właśnie po te ulotki, pod wskazany przez niego adres, do nieznanego mi człowieka, którego nazwiska nie pamiętam. Musiałem wtedy całą noc czekać na schodach bloku, w którym mieszkał, przyszedł około 4.00 nad ranem. Z pełną torbą ulotek wróciłem do siebie na ulicę Matki Polki.

Oprócz ulotek w sprawie pani Ani miałem w domu przywiezione z Warszawy duże ilości „Robotnika” z kalendarium przebiegających przez Polskę lipcowych strajków, wydrukowaną instrukcją, jak strajkować, oraz trochę książek wydanych przez niezależne wydawnictwa. Gdyby w tamtym czasie SB zrobiła najazd na nasze mieszkanie, to „nieźle by się obłowili”.

Bogdan Felski, Ludwik Prądzyński i Jurek Borowczak przychodzili nieraz do nas na Matki Polki, choć poznałem ich chyba nie więcej niż 3 miesiące przed strajkiem. Przychodził do mnie również ze Stoczni Gdańskiej inż. Koziątek i też pobierał niezależną literaturę.

Nasza grupa otrzymała zadanie rozprowadzenia ulotek 14 sierpnia w kolejkach jadących od strony Oliwy. Ulotki przygotowywaliśmy wcześniej, składając po trzy w komplecie – ulotka w sprawie pani Ani, lipcowy numer korowskiego „Robotnika” oraz ulotkę, jak strajkować.



Stocznie zaczynały pracę o godzinie 6.00, ja i Mietek Klamrowski rozpoczynaliśmy pracę o 7.00 w Gdańskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynieryjnych. Mirek Walukiewicz pracował w „Bimecie” również na siódmą, Leszek Zborowski wtedy nie pracował (Andrzej Runowski był w wojsku), tak więc podjęliśmy akcję od wczesnego rana. Wsiadaliśmy na Przymorzu, każdy do innego wagonu, szliśmy przez parę wagonów, rozdając ulotki, na trzeciej stacji wysiadaliśmy. Wracaliśmy kolejką w drugą stronę i tak powtarzaliśmy kilka razy aż do 6.00, następnie każdy udawał się do swoich zajęć.

Niecierpliwie wyczekiwaliśmy końca pracy, by udać się do Stoczni Gdańskiej, chcieliśmy wiedzieć, co tam się dzieje. Jadąc do stoczni, słyszeliśmy, jak ludzie szeptali, że stocznia stoi. Jechaliśmy w trójkę – Mirek Walukiewicz, Mietek Klamrowski i ja, Leszek Zborowski był już w stoczni. Straże robotnicze nie chciały nas wpuścić na teren stoczni, dopiero gdy pokazałem ulotkę wzywającą do obrony pani Ani podpisaną moim nazwiskiem i wylegitymowałem się dowodem osobistym, zostaliśmy uznani za swoich i wtedy nas wpuszczono. Po odnalezieniu pani Ani usłyszeliśmy jej relację, jak ją przywieziono do stoczni i co się dzieje w stoczni obecnie. Od innych dowiedzieliśmy się, jak zaczął się strajk. Znaleźliśmy również Leszka Zborowskiego, który wraz z Kaziem Żabczyńskim i Sylwkiem Niezgodą uczyli pracowników stoczni, jak produkuje się ulotki walcem na matrycy białkowej. Włączyliśmy się w pracę, a rano prosto ze stoczni pojechaliśmy z Mietkiem do GPRI – tam od rana ludzie nie przystąpili do pracy. Trochę ze strachem i nieumiejętnie pracownicy prowadzili rozmowy z dyrekcją.

Postanowiłem włączyć się w te rozmowy i wyartykułować ich postulaty. Spodobało się to ludziom i mimo że pracowałem tu od trzech dni, oraz że miałem dopiero 25 lat, wybrano mnie na przewodniczącego Komisji Strajkowej. Mietek został moją prawą ręką. Później, w trakcie strajku, poznałem jaki to ciężar, dźwigać odpowiedzialność za tyłu ludzi. Ciągłe istniała groźba siłowego rozwiązania i bardzo wyraźnie zdawaliśmy sobie z tego sprawę. W początkowej fazie nie podjęliśmy strajku okupacyjnego i strajkowaliśmy tylko w czasie godzin pracy, dopiero od poniedziałku podjęliśmy strajk okupacyjny. Dlatego też po ośmiu godzinach, a w sobotę po sześciu, mogłem jechać prosto do stoczni. Byliśmy tam w piątek, sobotę i niedzielę. W sobotę pojawiłem się w stoczni, gdy Wałęsa ogłaszał koniec strajku. Słyszałem krzyki o zdradzie Wałęsy (bo strajk ogarnął całe Trójmiasto i wszyscy przyłączyli się do stoczni, w niej widząc największą siłę, tu przecież pracowało najwięcej ludzi). Alinka Pieńkowska prosiła nas, by udać się „na bramy” i tłumaczyć ludziom, o co chodzi, by wracali do stoczni, że to jeszcze nie koniec. Robiliśmy, co było możliwe, by przekonać ludzi, aby pozostali. Po południu toczyły się dyskusje o kształcie postulatów z delegatami strajkujących zakładów. Brałem w nich udział jako delegat GPRI.

Późnym wieczorem zdecydowano, że trzeba zorganizować odprawienie Mszy świętej w niedzielę. Ktoś zaproponował, bym zajął się tym razem z panią Anią Walentynowicz, delegatem z rafinerii (chyba był jeszcze jeden delegat z jakiegoś zakładu), towarzyszył nam również Tadeusz Szczudłowski (to on był autorem pomysłu i sam dopilnował, by zrobić i postawić krzyż drewniany ku pamięci pomordowanych w roku 1970). Udaliśmy się najpierw do księdza [Henryka] Jankowskiego – zgodził się odprawić Mszę św., jeżeli otrzyma zgodę władz miasta. Udaliśmy się wtedy do pierwszego sekretarza w Gdańsku, pana [Tadeusza] Fiszbacha, przyjął nas i poinformował, że decyzja nie jest zależna od niego, ale kompetentny w tej sprawie jest wojewoda [Jerzy] Kołodziejski. Pojechaliśmy więc do niego – przyjął nas i powiedział, że wyrazi zgodę, tylko jest mu niezręcznie, bo pod naszym naciskiem ustępuje, więc wyrazi zgodę, jeżeli wystąpi o to biskup [Lech] Kaczmarek. Ruszyliśmy więc do Oliwy, biskup nas nie przyjął, było już chyba po północy. Zszedł do nas jakiś ksiądz, wysłuchał nas, poszedł porozmawiać z księdzem biskupem, zszedł znowu i poinformował – ksiądz biskup powiedział, że to załatwi. I tak też się stało.

Po powrocie do stoczni dowiedzieliśmy się, że powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i zostało wybrane prezydium MKS. Moi koledzy, również Sylwek i Kaziu, mieli pretensje do Gwiazdów i Wałęsy, że nie zostałem członkiem prezydium, sam oczywiście też czułem jakiś żal, czułem jakby spadek zaufania do mojej osoby.

Po jednej z akcji ulotkowych, na której byłem z Sylwestrem Niezgodą (jeszcze przed Sierpniem) w Lęborku, jakiś człowiek przyczepił się do nas w czasie rozrzucania ulotek w górę. Powiedziałem mu dość stanowczo, żeby spieprzał, i on się ulotnił. Dowiedziałem się później od Andrzeja Gwiazdy, że Sylwek opowiedział to Wałęsie, a ten stwierdził, że jestem agentem i żeby mnie odsunąć. Gwiazda zaprotestował i opowiedział mi o wszystkim.

Wracając do stoczni – Międzyzakładowy Komitet Założycielski [MKZ] podjął uchwałę, która stwierdzała: „MKZ reprezentuje wszystkie zakłady w nim zrzeszone i tylko prezydium MKZ jest upoważnione do rozmów z rządem”. W tym czasie dowiedziałem się, że jednym z postulatów Stoczni Północnej było przywrócenie Mietka Klamrowskiego i mnie do pracy w stoczni i zrehabilitowanie nas. Uważałem, że jako przewodniczący powinienem pozostać

w GPRI, bo zdradą byłoby opuścić ludzi, którzy mi zaufali. Od poniedziałku w GPRI rozpoczęliśmy strajk okupacyjny.

W początkowym okresie strajku większość czasu przebywałem w Stoczni Gdańskiej. Podczas mojej nieobecności dyrektor wręczył członkom Komitetu Strajkowego drobne prezenty (portfele i długopisy). Pani sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej rozpoczęła agitację w celu złamania strajku. Poinformował mnie o tym Leszek Zborowski, który objeżdżał strajkujące zakłady i trafił też do GPRI. Powiedział mi, że coś się złego dzieje w moim zakładzie. Wróciłem, jak najszybciej mogłem, wysłuchałem ludzi strajkujących, zrobiłem awanturę w Komitecie Strajkowym (Mietek o prezentach nic nie wiedział), kazałem pani sekretarz opuścić zakład, no i na jakiś czas zapanował spokój. Ja przestałem jeździć do stoczni, wysłałem tam innego delegata. Oczywiście miał problemy z otrzymaniem drukowanych tam ulotek, nie miał takiego dostępu do informacji, więc proszono mnie, bym ponownie jeździł do stoczni.

Pamiętam także, jak podejmowano próby wyłamań z MKS. Ludzie z Komitetu Strajkowego dowiedzieli się od dyrektora, że do Gdańska ma przybyć minister budownictwa, a że oni należą do tej branży, to chcą z nim rozmawiać. Na nic były moje próby odrzucenia tego wniosku, tłumaczyłem jak mogłem – że przecież wyraziliśmy zgodę, że tylko MKS ma prawo rozmawiać z komisjami rządowymi. Wszyscy uparli się, żeby zobaczyć ministra. Próbowałem ostatniej szansy, zrobiłem zebranie załogi, by przegłosować tę decyzję. Osiągnąłem to, że postanowiono, iż ktoś z Komitetu Strajkowego, przedstawiciel dyrekcji i ja pojedziemy do MKS. Przyjechaliśmy do stoczni i natknęliśmy się na Wałęsę – przedstawiłem mu sprawę, że przedstawiciele Komitetu Strajkowego GPRI chcą jechać na spotkanie z ministrem, a Wałęsa odpowiada – to jedźcie. Zatkało mnie. Po chwili mówię – przecież to rozłam, postanowiliście, że tylko MKS ma prawo reprezentować wszystkie zakłady w rozmowach z rządem. Odpowiedź była równie krótka – to nie jedźcie. Po powrocie i zrelacjonowaniu przeze mnie przebiegu rozmowy z Wałęsą załoga doszła do wniosku, że pierwsza odpowiedź się liczy i podjęła decyzję – mamy jechać. Myślę, że zmęczenie już wtedy dawało o sobie znać.

Obecność mojej osoby w tych rozmowach była konieczna, był jeszcze przedstawiciel dyrekcji (który wiedział, gdzie i kiedy mamy się spotkać) oraz dwoje ludzi z Komisji Strajkowej. Gdy dotarliśmy na miejsce, było tam kilku innych przedstawicieli zakładów, weszliśmy i usiedliśmy za stołem. Czekaliśmy pół godziny, atmosfera zaczęła się robić nerwowa, wtedy pojawił się jakiś człowiek, mówiąc, że może zaczniemy formować postulaty. Zaczął podawać jakieś bzdury w komunistycznym żargonie – jeżeli chcemy jakąś podwyżkę, to możliwe, że ją dostaniemy, ale za to musimy zwiększyć wydajność. Wstałem i powiedziałem, że takie postulaty są w MKS i od ich zaakceptowania będzie zależeć, czy przerwiemy strajk, a tu możemy rozmawiać o konkretnych dotyczących branży budowlanej. Ten człowiek odpowiedział, że nie uznają MKS i że chcą z nami rozmawiać o całości. Powiedziałem, że chcą zrobić z nas idiotów i próbują rozbić MKS, wstałem do wyjścia. Muszę przyznać, że zarówno członkowie Komitetu Strajkowego, jak i przedstawiciele dyrekcji, wszyscy wstali i wyszliśmy, za nami wyszła połowa zebranych. Nie było więcej prób podejmowania rozmów z przedstawicielami rządu w moim zakładzie.

Chcę opisać jeszcze jedno wydarzenie w GPRI, było to już w końcowej fazie strajku. Siedziałem z Mietkiem Klamrowskim na dyżurce, gdy zadzwonił telefon. Jakaś kobieta, gdy upewniła się, że ja jestem przy telefonie, bardzo dramatycznie i bardzo obrazowo zaczęła relacjonować przebieg wydarzeń w Stoczni Gdańskiej, że wojsko weszło do stoczni, czołgami

wyłamało bramy, żołnierze strzelają, krew się leje. Byłem zszokowany i przerażony. Scenariusz ten był możliwy i bardzo się go obawiałem. Odezwiała się moja odpowiedzialność za ludzi, którymi przewodzę, chciałem zwołać załogę. Zastanawiałem się, czy ich nie zwolnić, podzieliłem się tym z Mietkiem, poradził mi, bym zadzwonił do stoczni i upewnił się, co tam się dzieje. I zadzwoniłem. Do dziś dziękuję za tę radę.

Każdy z tych dni miał swoją historię, część tej historii umknęła dziś z pamięci, o niektórych wydarzeniach nie chcę wspominać. Byłem w stoczni w dniu podpisania porozumienia, ale nie fetowaliśmy zwycięstwa, nie cieszyła nas zmiana Wolnych Związków Zawodowych w Samorządny Niezależny Związek Zawodowy, później przyszło uznanie przez „Solidarność” przewodniej roli partii, ale to już inna historia.

Po zakończeniu strajków Mietek został przywrócony do pracy w Stoczni Północnej. Bogdan Borsewicz nalegał na mnie, bym też wrócił, uległem i zgodziłem się wrócić, jak tylko doprowadzą do wyborów w GPRI. Gdy tylko wybory skończyły się, zwolniłem się z GPRI, niestety do stoczni nie chciano mnie przyjąć i sprawa toczyła się chyba ze trzy miesiące. Pomimo moich nacisków na Wałęsę nie można było załatwić tej sprawy, dopiero osobista wizyta Bogdana Borsewicza w stoczni w czasie zebrania „Solidarność” i jego nacisk na Komisję Zakładową pozwolił mi wrócić do stoczni. Było to tuż przed wyborami do władz „Solidarność” w stoczni. Kandydowałem na przewodniczącego związku, nie zostałem jednak wybrany.

Po podpisaniu porozumienia „Solidarność” otrzymała siedzibę w hotelu „Morskim”. Stosunki pomiędzy byłymi współpracownikami WZZ popsuley się – ludzie, którzy dostali się do władz „Solidarność”, wręcz unikali spotkań z pozostałymi członkami WZZ. By zaistniałą sytuację poprawić, doprowadziliśmy do spotkania WZZ na ulicy Matki Polki – niestety, do poprawy nie doszło, a skończyło się wręcz na zaognieniu sytuacji. Wtedy dla mnie to był już koniec idei WZZ. I taka sytuacja trwa do dziś.

Jan Karandziej, ur. 15 V 1955 r., działacz Wolnych Związków Zawodowych; od maja 1980 roku członek komitetu założycielskiego WZZ; brał udział w głódówce w Podkowie Leśnej w maju 1980 r., której uczestnicy domagali się uwolnienia Mirosława Chojeckiego, Dariusza Kobzdeja i innych więźniów politycznych; sygnatariusz ulotki wzywającej do strajku w obronie Anny Walentynowicz w sierpniu 1980 r.; za swoją działalność wyrzucony z pracy w Stoczni Północnej; w czasie strajku przewodniczący komitetu strajkowego w Gdańskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich; internowany w grudniu 1981 r., osadzony w Strzebielinku; na emigracji przebywał między innymi w Kalifornii Północnej, gdzie był założycielem polskiej biblioteki, współredagował Biuletyn Polityczny „Wiadomości”; do kraju powrócił w grudniu 1988 r.; obecnie mieszka w Kudowie Zdroju.

POLITYKA HISTORYCZNA W POLSCE I W NIEMCZECH

Każdy z krajów europejskich prowadzi politykę historyczną. Poniżej przedstawiamy skrócony zapis dyskusji polskich i niemieckich historyków poświęconej polityce historycznej w obu sąsiadujących ze sobą krajach. Debata została zorganizowana 22 czerwca 2006 r. w Warszawie przez Stowarzyszenie Stypendystów Niemieckiej Centrali Wymiany Akademickiej w Polsce. Wzięli w niej udział prof. Klaus Ziemer, dyrektor Niemieckiego Instytutu Historycznego, prof. Jan Żaryn, dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN, dr Jürgen Hensel, sekretarz naukowy Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, i Dariusz Gorajczyk, nauczyciel szkoły średniej i pracownik oddziału IPN w Krakowie.

Paweł Kosiński – W Polsce w ostatnim czasie polityka historyczna jest bardzo popularna, lecz zwykle rozmawia się o niej we własnym gronie. Dlatego uznaliśmy, że warto zastanowić się nad tym zagadnieniem wspólnie z niemieckimi specjalistami, zajmującymi się m.in. tą tematyką. Na wstępie ustalmy definicję polityki historycznej, ponieważ wiele osób wypowiada się na ten temat, jednak prawdopodobnie nie wszyscy rozumieją tak samo to pojęcie.



Klaus Ziemer – Polityka historyczna to ostatnio jedno z najczęściej używanych pojęć w Polsce. Gorący postulat jednych, potępiona przez drugich polityka historyczna to próba pewnej interpretacji historii, stworzenia pewnego kanonu, który ma być przekazywany szerokiej publiczności i przez nią zapamiętany. We własnym kraju bądź za granicą, bądź tu i tam. Właściwie każde państwo prowadzi politykę historyczną lub „pamięci”, choć z różną intensywnością. Do minimum takiej polityki należą na przykład święta narodowe, państwowe dni pamięci lub oficjalne pomniki. Święta narodowe zmienia się bardzo rzadko, z reguły tylko wówczas, gdy dochodzi do zmian ustrojowych, jak w Polsce w roku 1989 lub po rozwiązaniu NRD i zjednoczeniu Niemiec. Natomiast oficjalne dni pamięci lub miejsca pamięci są czasem wprowadzane na fali pewnej mody. Na przykład w Stanach Zjednoczonych przez dziesięciolecia nie mówiono o Holocauście, a dzisiaj w prawie wszystkich dużych miastach wprowadzono jego miejsca pamięci. Także w Niemczech odbyły się gorące debaty o polityce historycznej. Przykładem są różne fazy rozliczania się z narodowym socjalizmem.



Jan Żaryn – Zdecydowanie definicja podana przez prof. Ziamera jest uniwersalna. Dotyczy zarówno Niemców i państwa niemieckiego, jak i państwa polskiego i Polaków. I wszystkich innych narodów, które żyją we własnych państwach. Dlatego to podkreślam, że politykę historyczną rozumiem właśnie w kontekście roli państwa. To znaczy, że suwerenne państwo, demokratyczne, a więc reprezentant narodu, w którym on żyje, niezależnie od tego, czy robi to świadomie, czy nieświadomie, uprawia politykę historyczną. I tu zgoda pełna, że minimum polityki historycznej, której cechą jest dokonywanie wyborów, to tworzenie siatki kalendarzowej świąt narodowych, wybór postaci pomnikowych, patronów ulic, szkół itd. Czyli zestaw symboli czy skojarzeń, które mają tworzyć pewną wspólnotę narodową czy narodowo-państwową. Wybór ten



powinien edukować naród, a jednocześnie stanowić efekt – sumę, pamięci zbiorowej. Ważnym elementem – budowniczym tej pamięci – są historycy ze swymi badaniami naukowymi. Istnieje pewne niebezpieczeństwo, które kryje się pod pojęciem polityki historycznej uprawianej przez państwo. To niebezpieczeństwo, które trzeba sobie uświadomić, kryje się w odpowiedzi na pytanie: czy celem polityki historycznej jest stworzenie kanonu – potrzebnego mitu; czy też jej celem jest stworzenie przestrzeni pozwalającej na zbliżenie się do prawdy historycznej.

Te dwa wyznaczniki nie muszą się ze sobą kłócić, ale mogą. Z jednej strony, bez wątpienia, polityka historyczna świadomie prowadzona przez państwa tak czy inaczej zmierza do stworzenia kanonu, ale z drugiej strony dążenie do prawdy historycznej może się z nim kłócić. Cały problem polega na tym, żeby nie promować i nie wzmacniać – na przykład poprzez naciski paracenzorskie, w tym „poprawność polityczną” – tendencji towarzyszącej każdej władzy, a pozwalającej na budowanie za wszelką cenę kanonu – obowiązkowego, na przykład związanego z biografiami rządzących. A taka pokusa bierze się stąd, że ważne wartości stają często naprzeciw siebie w sprzeczności. Przykładowo, wiedza historyczna na temat wielkiej postaci, dzięki której jesteśmy pozytywnie odbierani w świecie, wskazuje na haniebne fragmenty jej biografii. Ujawnić prawdę czy ukryć ją w imię swoiście rozumianego interesu państwowego?

Polacy dopiero w 1989 r. weszli w dyskurs historyczny z narodami wolnymi, a zatem z już ukształtowanymi narracjami historycznymi narodów, które na przestrzeni dziejów miały z nami kontakty. W związku z tym zewnętrzna funkcja polskiej polityki historycznej może i musi napotykać różnego typu opory wynikające z faktu, że te kanony, które funkcjonują w świadomości zbiorowej narodów i państw, naruszają zbiorową pamięć lub interesy, uniemożliwiają lub utrudniają rzeczową polemikę. Trwałość mitów jest spowo-

dowana nie tyle i nie tylko złą wolą narratorów, ile bardziej emocjami pozytywnymi towarzyszącymi opinii o bohaterze narodu czy też traumatycznym wydarzeniu. Przykładowo, wielka wojna ojczyzniana nie kojarzy się Rosjanom z okupacją ziem polskich po II wojnie światowej, ale z wyzwoleniem narodów połowy Europy. Tym bardziej że na obcej ziemi ginęli konkretni ludzie. A przecież nie zmienimy naszej narracji, bo Sowieci przynieśli nam naprawdę na bagnietach komunizm, obozy i więzienia. To jest także problem stosunków polsko-niemieckich czy polsko-żydowskich. Istnieje naturalne napięcie między politykami historycznymi innych państw i narodów, napięcie między pamięciami, które po 1989 r. mogą być suwerennie prezentowane i konfrontowane z zastanymi mitami, często – ignorancją.

Jürgen Hensel – Pojęcie „polityka historyczna”, muszę niestety zwrócić na to uwagę, jest pochodzenia niemieckiego. Ale Niemcy wcześniej wynaleźli też „przewyciężenie przeszłości”. Pierwsza forma, która wystąpiła w Niemczech, to była „polityka przeszłości”, tzn. jak się obchodzić z przeszłością niemiecką – co oznaczało politykę państwa wobec skutków wojny. I to w sensie amnestii albo odszkodowań. To nie jest ta polityka historyczna, o jakiej tu mówimy.

Polityka historyczna w Niemczech jest pochodną zbrodni. To ustosunkowanie się do zbrodni, tzn. do Holocaustu, leży u podstaw istnienia, zrozumienia, samouświadomienia państwa niemieckiego, dokładnie Republiki Federalnej.

Nie neguję tego, co panowie przede mną mówili. Tylko w moim pojęciu polityka historyczna Polski obecnie i polityka historyczna Republiki Federalnej w tym sensie jest niekompatybilna. I z tego powodu będziemy mieli duże trudności w przyszłości. Czy to sprawa pani Steinbach, czy Holocaustu, czy nazwy. Dla mnie najważniejszym punktem spornym i czułym jest to, że po stronie Polski nie ma wrażliwości na to, czym jest dla Republiki Federalnej Niemiec Holocaust. Jeśli historia polityczna Polski będzie skierowana tylko na siebie i nie weźmie pod uwagę innych, to będą bardzo duże trudności. Jeden przykład, który dla mnie jest bardzo wymowny, ten mały skandal, który wybuchł w czasie wizyty Prezydenta RP w Berlinie. Kiedy miał wygłosić na Uniwersytecie Humboldta wykład, były protesty ze strony homoseksualistów, ale nie tylko. Dla pana prezydenta Kaczyńskiego sprawa homoseksualizmu to sprawa osobistego poglądu, ale dla Niemców homoseksualiści to jest też grupa ofiar nazizmu. I to jest bardzo ważne, dotyczy wrażliwości.



Dariusz Gorajczyk – Powiem z perspektywy nauczyciela, że pojęcie polityki historycznej łączy się z uczeniem myślenia historycznego. Myślenie historyczne, które racjonalizowałoby myślenie potoczne oparte na stereotypach, na mitach, w konsekwencji byłoby pożyteczne. Mam wrażenie, że czujemy się niepewnie w naszych relacjach z sąsiadami czy innymi narodami. Bo albo z gruntu odrzucamy różne propozycje innego spojrzenia, które oferują nam chociażby media, publicystyka, albo bazujemy tylko na tej uproszczonej historii, wyniesionej ze szkoły podstawowej. A państwo, odpowiedzialne za politykę historyczną, powinno stwarzać ofertę promocji tych wszystkich środków, które wzmacniałyby myślenie historyczne. Właśnie w kontekście racjonalizowania myślenia.



Paweł Kosiński – Po pierwszej rundzie wypowiedzi odniosłem wrażenie, że polityka historyczna odnosi się tylko do edukacji historycznej, raczej dotyczy kształtowania świadomości historycznej na poziomie wiedzy szkoły podstawowej czy średniej – najwyżej matury z historii. W tym kontekście pojawiają się dwa znaczenia pojęcia „polityka historyczna”: po pierwsze kanon wiedzy, który należy wpoić każdemu, kto kończy szkołę, który to kanon zależy od aktualnie prowadzonej polityki historycznej władz oświatowych; po drugie tzw. sposób myślenia historycznego.

W mniejszym stopniu natomiast polityka historyczna dotyczy badań historycznych, a przecież wolność badań może być do pewnego stopnia sterowana przy użyciu pieniędzy przeznaczonych na określone projekty. Jednak nie może być tak, że zleceniodawca oczekuje jakiegoś konkretnego efektu, który miałby być wynikiem takich badań. I tutaj może powstać napięcie między prawdą historyczną i polityką historyczną. Bo jak dojść do prawdy historycznej, jeśli ktoś, kto daje pieniądze, chciałby zobaczyć książkę, która niekoniecznie odpowiada tej prawdzie, do której doszedł badacz po przestudiowaniu całej bazy źródłowej?

Klaus Ziemer – Żyjemy w społeczeństwach pluralistycznych. Mamy tu nie tylko jeden światopogląd, ale różne. Dotyczy to również historii. W każdym społeczeństwie istnieją obok siebie różne interpretacje historii. Są różne szkoły naukowe, które w odmienny sposób interpretują różne wydarzenia, i to w jednym kraju. Tu nie można mówić o polityce historycznej. To jest normalna dyskusja naukowa, która znajduje swoje odzwierciedlenie także w poglądach panujących w społeczeństwie.

W społeczeństwach typu NRD lub Polska Ludowa była obowiązkowa wizja historii, której nauczano w szkołach, na uniwersytetach. Mimo to w społeczeństwie w dalszym ciągu istniały inne interpretacje rzeczywistości. Na przykład w Polsce Ludowej była ofi-

cialna interpretacja dokonana przez Dzierżyńskiego i była też nieoficjalna, taka, którą słyszało się prywatnie, mianowicie, że jedyną zaletą Dzierżyńskiego było to, że nikt nie zabił więcej Rosjan niż on.

W systemie demokratycznym państwo nie powinno z góry nakazywać obowiązującego kanonu interpretacji historii. Krótco po zjednoczeniu Niemiec byłem w Dreźnie. Przypadkowo trafiłem na spotkanie nauczycieli historii, którzy teraz musieli uczyć się, jak uczyć tego przedmiotu w nowym ustroju. Osoba przedstawiająca nowy model powiedziała: teraz jest tak, że nie przekazujemy jednolitego obrazu, tylko mamy przedstawić fakty, materiał do interpretacji. Uczniowie sami mają uczyć się interpretować historię. To była dla tych nauczycieli rewolucja. Przedtem partia mówiła, jak było, i wszyscy mieli to zapamiętać.

W Republice Federalnej panuje szeroki pluralizm w dziedzinie szkolnictwa. Uniwersytety i szkoły są w gestii poszczególnych krajów związkowych i każdy minister oświaty wydaje swoje wytyczne. Na to naukowcy nie mają wpływu. To są decyzje polityczne, czasem, jak widać, także w krajach demokratycznych. Z drugiej strony także Republika Federalna miała swoje dyskusje o polityce historycznej. Bardzo namiętnie dyskutowano o przedawnieniu zbrodni ludobójstwa. W latach sześćdziesiątych były arcyciekawe debaty parlamentarne, podczas których nie narzucano dyscypliny klubowej. Każdy mówił, jak mu nakazywało sumienie. To były uczciwe debaty. Teraz mamy taką ustawę, że nie ma przedawnienia ludobójstwa. Jest to też pewien rodzaj polityki historycznej.

W przypadku monumentu w Berlinie mającego upamiętniać Holocaust również przetoczyły się zacięte debaty w Bundestagu i poza nim, aż w końcu zapadła decyzja. Wszyscy byli ciekawi, czy publiczność zaakceptuje ten monument. W pierwszym roku istnienia monumentu odwiedziło go 3 miliony osób. Były różne wycieczki, i to nie z przymusu. Ludzie zaakceptowali monument, ale mogło być też inaczej, bo wolnemu społeczeństwu nikt nie może niczego narzucać, można tylko przedstawić ofertę.

Kiedy czytamy publicystykę, a także wypowiedzi prominentnych polityków końca lat czterdziestych i pięćdziesiątych w Republice Federalnej, ogarnia nas zdziwienie. Wtedy narodowy socjalizm był przedstawiony jako dzieło małej grupy zbrodniarzy, którzy doprowadzili cały naród do nieszczęścia, a prawie wszyscy Niemcy byli ofiarami. Ta interpretacja zmieniła się dopiero na początku lat sześćdziesiątych. Wówczas zaczęto poważnie dyskutować o przeszłości narodowosocjalistycznej w Bundestagu, ale przede wszystkim w historiografii i w publicystyce. Dobrze pamiętam, że w społeczeństwie był to prawie konflikt pokoleniowy. W roku 1968 młodzi pytali rodziców i dziadków: co wyście wtedy robili? Gdzie wtedy byliście? Jaki był wasz stosunek albo wasz udział w tym ustroju? Od tego czasu trwa bardzo intensywna dyskusja w historiografii. Co 10–15 lat jest próba postawienia „grubej kreski”, ale takie próby od razu wywołują bardzo silny opór, przynajmniej ze strony profesjonalnych historyków, którzy mówią: nigdy nie będzie końca tej debaty. Z biegiem lat w Niemczech coraz ostrzej stawia się pytanie: jak doszło do ustanowienia reżimu nazistowskiego i dlaczego społeczeństwo go zaakceptowało? Różne były okresy szczegółowych zainteresowań historyków. Dzisiaj mamy falę badań stosunku pewnych grup społecznych albo zawodowych, na przykład lekarzy, prawników, profesorów, do narodowego socjalizmu. I co wychodzi? Ten reżim miał bardzo szerokie poparcie społeczne, niestety. Musimy to przyjąć do wiadomości. W ten sposób zmienia się nasz obraz tego okresu – nie jest statyczny.

Poza tym jest zagadnienie wizji pewnych symbolicznych dat, na przykład 8 maja. W 1955 roku kanclerz Adenauer powiedział w przemówieniu publicznym, że 8 maja 1945 r. „był nieszczęśliwym początkiem podziału naszego kraju”. W 1985 roku prezy-

dent von Weizsäcker powiedział: „ten dzień był dniem wyzwolenia”. Bardzo burzliwie dyskutowano nad tym przemówieniem, a dzisiaj jego wymowa jest powszechnie zaakceptowana i samo przemówienie – przedmiotem nauki w szkole.

Interpretacja wizji przeszłości ulega więc także, w społeczeństwie demokratycznym, zmianie. Zmiana ta jest jednak wynikiem dyskusji publicznej, pluralistycznej, a nie konsekwencją jakiejś wizji odgórnie narzuconej. Kluczową rolę odgrywa tu wolność nauki, w tym przypadku historiografii, i również wolność mediów, która umożliwia nieskrępowane dyskusje.

Jan Żaryn – Poruszyliśmy tak wiele wątków w swoich wypowiedziach, że zarysowały się poważne niespójności. Nie ma co dyskutować o rzeczach oczywistych, że oświata publiczna w demokratycznym państwie posuwa się po pewnej wytyczonej ścieżce kształcenia i wychowania. Tu chciałbym odnieść się do wątku tylko jednego; czy rzeczywiście prawdą jest, że dopóki będzie istniała wśród Polaków chęć interesowania się tylko i wyłącznie swoimi przeżyciami, dopóty niczego nie zrozumiemy ze świata zewnętrznego. Otóż, czy nam się podoba czy nie, to my wszyscy tu obecni uprawiamy politykę historyczną i jesteśmy jej „ofiara”. Przykładowo, z polskiej perspektywy słowa „zbrodnia niemiecka” – o czym mówił pan doktor – nie znaczą to samo co „Holocaust”. Odmiennie rozumienie własnej historii nie jest niczym złym, ja uważam, że jest czymś dobrym. Wpływa z odmiennego doświadczenia.

Polska wrażliwość została ukształtowana przez konkretne wydarzenia, przeżycia indywidualne oraz zbiorowe z lat II wojny światowej i okresu do 1989 r. Stąd wypływają nasze polskie pytania, które nie mogą być z założenia uniwersalnymi. Przykładowo, próbujemy odpowiedzieć na pytanie: czy to rzeczywiście tylko i wyłącznie Sowieci narzucili Polakom system komunistyczny, czy też Polacy mordowali innych Polaków, którzy w czasie wojny i po wojnie walczyli o Niepodległą? Krótko mówiąc, kwestia wrażliwości, wynikająca z własnej tożsamości, jest kwestią naturalną. I nie można o to się obrażać, nie trzeba się tego wstydzić, tylko się do tego przyznać. Szczególnie w Europie bogatej w wydarzenia historyczne należy przyznać się do tego, co nas charakteryzuje, wyróżnia. Taka postawa pozwala rozpocząć rzeczywisty dialog.

W polskim rozumieniu wyrazu „wypędzenie” istnieje ono jako zjawisko historyczne w latach 1939–1989. Wypędzenia w Polsce zaczęły się od września–października 1939, kiedy do Generalnego Gubernatorstwa przepędzono część mieszkańców tzw. ziem wcielonych do Rzeszy. Potem były sowieckie deportacje 1940 roku. Następnie Zamojszczyzna, wywózki na roboty do Niemiec czy też wymarsz wojska i cywilów z Rosji. Niektórzy z nich, dzieci polskie, dotarli do Meksyku, Nowej Zelandii. W 1944 r. z kolei zaczęły się przymusowe wędrówki Polaków z Kresów Wschodnich. To tylko nieliczne przykłady. Ich skutkiem było takie przemieszczenie ludności, że obecnie Polaków nie ma chyba tylko na Antarktydzie. W Polsce zjawisko wypędzenia jest tak rozumiane. Ale nasuwa się następne pytanie. Czy to jest najboleśniejże doświadczenie narodu polskiego w XX wieku? Oczywiście, nie! Najważniejszym, które odczuły wszystkie polskie rodziny, jest zjawisko „ludobójstwa”! Akcja „AB”, Katyń, Auschwitz i inne obozy koncentracyjne, do których trafiali Polacy; dalej, łagry, obozy NKWD, porwanie 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego i kolejne mordy towarzyszące instalacji przez Sowiety władzy komunistycznej w Polsce. Europa świętowała wyzwolenie i koniec wojny, Polacy zapełniali Syberię i więzienia w Rawiczu, Wronkach i w Fordonie. Czy to jest tożsame doświadczenie z doświadczeniem żydowskim



czy niemieckim? Oczywiście nie! Dla społeczności żydowskiej używanie tych samych pojęć: zbrodnia, ludobójstwo będzie oznaczało inną przestrzeń tożsamościową, inną przestrzeń doświadczeń. Czy to źle? Nie! To dobrze! Problem polega na tym, żebyśmy mogli sobie w polityce historycznej, suwerennie tworzonej, a nie pod dominacją państw czy też poprawności politycznej, przyznawać się do tego, że jesteśmy różni. Że w związku z tym tworzymy sobie własne ścieżki tożsamościowe. I dzielimy się wiedzą o nich. A łączy nas to, że szukamy prawdy. To nie jest proste. Ponieważ człowiek się myli, jest namiętny i czasem idzie na skróty. Należy to piętnować, pokazywać, co jest nieprawdą, trzymaniem się manipulacji czy to w imię poprawności politycznej, czy w imię posiadania narzędzia oddziaływania. Wszyscy dążymy do prawdy, tylko w sposób naturalny tak się od siebie różnimy, mamy różne wrażliwości, inaczej budowała się nasza tożsamość, że musimy żyć, przede wszystkim, w przestrzeni etycznej, promującej prawo do artykulacji własnych przeżyć, własnych pomysłów interpretacyjnych. Jeżeli nie wyjdziemy od tego szacunku do różnorodności, od szacunku do tego, że możemy się od siebie różnić, ponieważ nie kłamiemy, tylko mamy inne doświadczenia, to zgubimy podstawowy pomysł na faktyczną „unię europejską”. Następnym etapem jest ścieżka ustaleń, co jest zbieżne, co rozbieżne. Dlaczego mamy różne doświadczenia? Dlaczego nasz kod kulturowy, identyfikacja historyczna, inaczej, niż byśmy chcieli, wpisuje się w świadomość innych narodów? Dlaczego nasze wyobrażenie o roli na przykład Żydów w powojennej Polsce tak mocno różni się od doświadczenia mieszkańców Izraela czy też mniejszości żydowskiej w USA? To uważam za rzecz najważniejszą w kwestii relacji między polityką historyczną wewnętrzną a polityką historyczną zewnętrzną: najpierw prezentacja własnego stanowiska, a potem dialog.

Jedną uwagę na marginesie, dotyczącą kwestii homoseksualnych. Wydaje mi się, że jest to pomieszanie porządku ważności rzeczy. Dzisiaj sprawa ta jest wpisywana nie w doświadczenia historyczne, nie w kwestie nazistów, Niemców w latach II wojny światowej i od-

powiedzialności za obozy koncentracyjne. Dla Polaków ten kontekst w ogóle nie istnieje. Dzisiaj problem homoseksualizmu jest rozumiany w innej przestrzeni, jako element walki o uniwersalny system wartości, np. dotyczący kondycji rodziny. Oczywiście to jest moja interpretacja. Natomiast w związku z tym wydaje mi się, że dobrze jest, gdy rozdzielimy te sprawy. Z jednej strony można o tym rozmawiać z perspektywy historycznego doświadczenia, jak państwo totalitarne potraktowało mniejszość seksualną i dlaczego wymordowało homoseksualistów. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie tego popierał. Druga kwestia jest oderwana od tamtej, to jest stosunek do kwestii homoseksualnej dzisiaj. Dzisiejsza kwestia homoseksualna nie ma żadnego związku z polityką nazistów w czasie II wojny.

Jürgen Hensel – Cieszę się, że pan powiedział o tym przykładzie. Na jego podstawie chcę przedstawić, o co mi chodzi i czego pan nie rozumie. Dotyczy to wrażliwości. Jeśli prezydent jednego państwa jedzie do drugiego państwa, w takiej sytuacji chyba ma doradców, którzy go informują, jakie to państwo i jak tam jest. Jestem przekonany i chyba pan profesor też, że prezydentowi Kaczyńskiemu nikt tego nie powiedział. On miał wziąć pod uwagę fakt, że Holocaust w Republice Federalnej ma zasadnicze znaczenie. Oczywiście jako badacz Holocaustu wątpię w to, czy jest całościowy obraz tego zjawiska.

Cieszę się, że jest następna książka Jerzego Borejszy *Śmieszne sto milionów Słowian...*¹. To jest druga próba kolegi Borejszy pisania o bardzo ważnym problemie antyslawizmu w światopoglądzie nazistowskim. Jeśli chodzi o pojęcie wrażliwości i Polaków jako ofiary, też jestem tego zdania. Jest tu dużo do zrobienia. O ile wiem, powstaje przewodnik dla grup młodzieżowych, które jadą z Niemiec do Polski, żeby one niejechały tylko do Auschwitz. Żeby wiedzieli, że zginęło około 3 milionów Polaków. Tylko jest różnica, czy to jest 10 proc. narodu, czy to cały naród. Tu chodzi o tę wrażliwość. To jest polityczna sprawa. Trzeba to wziąć pod uwagę. Jeśli tego się nie zrobi, to naprawdę nie wiem, o czym tu rozmawiać. Ale zgadzam się, że państwu wara od tego, że państwo nie może się mieszać do tego, do badań. Prof. Ziemer bardzo dokładnie i dobrze to przedłożył. To jest autonomiczna sprawa uniwersytetów, nauki. Ale trzeba powiedzieć, że sprawa Holocaustu jest zasadnicza dla Niemiec!

Nie wiem, czy wszyscy są tego zdania, ale u podstaw Republiki Federalnej Niemiec leży sprawa uznania winy za to, że Niemcy popełnili tę zbrodnię, ten Holocaust. I to uznanie leży u podstaw włączenia powojennych Niemiec do wspólnoty narodów cywilizowanych. Jestem więcej niż 30 lat w tym kraju i mam przegląd sytuacji. Mówię tu o brakującej wrażliwości polskiego społeczeństwa wobec Holocaustu i co on znaczy dla Niemców, najważniejszego sąsiada. Jeśli tego nie będziemy w stanie wam wytłumaczyć, a wy będziecie tylko patrzeć, że zginął tam jakiś polski bohater, to nic z tego nie będzie.

Dariusz Gorajczyk – Chciałbym zwrócić uwagę, że w Polsce polityka historyczna realizowana poprzez edukację historyczną jest bardzo dynamiczna i przestaje być narodowocentryczna. Skupiamy się w tej dyskusji na historii najnowszej, ale to dotyczy całego okresu historycznego i tu się ciągle wiele zmienia. I to nie jest tylko kwestia zmiany akcentów merytorycznych – odchodzenia od historii politycznej na korzyść społecznej, gospodarczej, kulturowej, ale to jest zmiana metodologiczna, widoczna chociażby

¹ Jerzy W. Borejsza, „*Śmieszne sto milionów Słowian...*” *Wokół światopoglądu Adolfa Hitlera*, Neriton, Warszawa 2006.

w podręcznikach, a która powoduje, że myślenie historyczne jest łatwiej przyswajalne; to jest kwestia stawianych problemów, pytań, procedury badawczej itd. To nie jest już tylko sprawdzanie nabytej wiedzy, to także zagadnienie nauczania samodzielnego interpretowania, pobudzenia do refleksji.

Wrażliwość można kształtować, ale często w praktyce, jeśli dochodzi do spotkania i wymiany myśli, to różnie z nią bywa. Otwartość, wrażliwość spotyka się czasem z niezrozumieniem, czasem gaśnie. Ją trzeba kształtować po obu stronach. Musi być też równouprawnienie i partnerstwo w tej kwestii.

Dobrym przykładem tego, że kształtowanie wrażliwości nie jest proste, może być sprawa antyhitlerowskiej opozycji w Niemczech i Polskiego Państwa Podziemnego. Podczas pobytu w Krzyżowej naprawdę trudno jest wytłumaczyć, jak porównać opozycję czterech panów, którzy zbierali się na dyskusje w Krzyżowej, z działaniami podejmowanymi przez twórców państwa podziemnego. Trudno wtedy przełożyć to na zrozumienie i wrażliwość. To są obiektywne przeszkody.

Paweł Kosiński – Jaki jest pogląd panów na kształt polityki historycznej w Polsce i w Niemczech? Jakie są cechy konstytutywne polityki historycznej w Polsce i w Niemczech?

Klaus Ziemer – Zgadzam się z tym, co powiedział p. Hensel, że przyznanie się do Holocaustu stało u początku powrotu Niemiec do wspólnoty międzynarodowej. Społeczeństwo niemieckie przyznaje się do Holocaustu. Jest on dzisiaj w pewnym sensie częścią niemieckiej tożsamości. Ale brakuje jeszcze uznania, co oprócz tego Niemcy zrobili na terenach okupowanych, np. w Polsce. Tego nie ma w świadomości społeczeństwa, przynajmniej w części. Prof. Żaryn powiedział, że tu różnimy się. Polacy mają inną pamięć na temat Holocaustu niż Niemcy. Powiedziałbym: społeczeństwo polskie niż społeczeństwo niemieckie. Bo historycy są zgodni co do tego.

Wydaliśmy razem z polskimi kolegami książkę *Stosunki polsko-niemieckie 1939–1945–1949*². Na koniec nie miało znaczenia, czy Polak pisał rozdział, czy Niemiec, bo wszyscy jesteśmy zgodni co do faktów i ich oceny. To dotyczy naukowców. W społeczeństwie wygląda to inaczej. Tu jest zadanie dla dydaktyki w szkole. To nie musi być duża informacja, jeden rozdział, ale trzeba powiedzieć, jaka była polityka np. wobec Polaków w czasie okupacji. To, że było Powstanie Warszawskie – czego nie ma jeszcze w sposób wystarczający w świadomości niemieckiej, a ma zasadnicze znaczenie dla tożsamości polskiej. Są to sprawy, które utrudniają dialog i odnoszą się nie tylko do Polski, ale do wszystkich krajów okupowanych podczas II wojny światowej. Prawie nikt w Niemczech nie wie, co się działo na Bałkanach. Jest winą historyków, że nie wywierają większego nacisku, żeby te zagadnienia znalazły swoje odzwierciedlenie też w podręcznikach. Bo jeżeli nie będziemy o tym właściwie uczyć, to przeszłość nadal będzie obciążać nasze wzajemne stosunki. Sprawy, które zostały wyjaśnione, powinny znaleźć się w kanonach wiedzy szkolnej i tworzyć podstawę wspólnej przyszłości.

Jest jeszcze jedna różnica. Uświadomiłem ją sobie 1 września ubiegłego roku. Byłem wtedy na Westerplatte, a obok mnie stał Stefan Chwin. Wówczas obaj zostaliśmy zapytani, co znaczy 1 września dla niego jako Polaka, a co dla mnie jako Niemca. Oczywiście

² *Deutsch-polnische Beziehungen 1939–1945–1949. Eine Einführung*, red. Włodzimierz Borodziej, Klaus Ziemer, fibre, Osnabrück 2000, 348 s.

ście wiemy wszyscy, co było, ale nasza subiektywna ocena zawsze będzie perspektywą potomków ofiar i oprawców.

Moim zdaniem możemy przybliżyć pamięci polskiego i niemieckiego społeczeństwa, które w tej chwili są jeszcze bardzo oddalone. Chociaż pamięć społeczeństwa nie jest zdeterminowana jedynie przez naukę w szkole, ale też przez inne źródła, np. opowieści rodzinne. W Polsce w latach PRL obserwowałem, jak dyskurs o historii w rodzinach był zupełnie inny niż ten oficjalny. W Niemczech też w rodzinach panuje czasem inny dyskurs niż w szkołach. Teraz wszyscy Niemcy zrozumieli już, że społeczeństwo poparło narodowy socjalizm znacznie bardziej, niż przyznawano się do tego kilkanaście lat temu. Dzisiaj mówi się, że było poparcie dla nazistów, ale nasz dziadek nie był nazistą. Tak daleko doprowadziła nas ewolucja poglądów na zróżnicowany obraz tego okresu. Ale najważniejsza jest uczciwość wobec siebie, że wszyscy patrzą na te mroczne strony historii własnego społeczeństwa. Tego nie można zrobić od zewnątrz, to w każdym społeczeństwie historycy powinni zrobić sami.

Jak już mamy ten dialog polsko-niemiecki wśród historyków, który jest bardzo dobry, to delikatnie powinniśmy zwracać sobie uwagę, gdzie są różnice. W naszym Instytucie prowadzimy od dwóch lat cykl wykładów, w którym polscy i niemieccy historycy przedstawiają każdorazowo jedno zagadnienie. Ta inicjatywa miała służyć uświadomieniu, dlaczego jesteśmy inni. Jakie mamy doświadczenia? Dlaczego nacjonalizm znaczy co innego w Polsce i Niemczech? Taki dialog jest ważny. Nikt nie odmawia drugiemu prawa do posiadania swojej tożsamości, powinniśmy tylko znać punkt widzenia drugiej strony i uwzględnić go. Wtedy nie dojdzie już do scen, o których mówił pan Hensel. Wszyscy musimy się jeszcze uczyć, ale w naszym dialogu jesteśmy znacznie dalej niż 30 lat temu, kiedy zaczęły się polsko-niemieckie rozmowy w komisji podręcznikowej.

Między Niemcami i Polakami mamy doświadczenie całego pokolenia. Historycy w moim wieku znają się już od lat i powstało coś, czego nie może zadekretować żaden rząd, zaufanie. Jak się krytykuje, to wiadomo, że nie jest to krytyka Polaka lub Niemca, tylko kolegi po fachu. W dyskusjach polsko-niemieckich często tak bywa, że Polak krytykuje Polaka i Niemiec Niemca. Nie ma frontów narodowych, tylko różne poglądy naukowe na historię. I o to chodzi. Ale droga do tego nie była łatwa. W dalszym ciągu wszyscy się uczymy. Jednak godne uwagi jest to, że wschodni sąsiedzi Polski, rozmawiałem o tym z Ukraińcami i Białorusinami, mają nadzieję, że oni też będą na takim etapie dialogu z Polakami co Niemcy. Co ciekawe, w Azji Wschodniej Koreańczycy są bardzo zdziwieni, że Polacy i Niemcy potrafili znaleźć „wspólny język”.

Jan Żaryn – Nie jestem zwolennikiem budowania wspólnej pamięci. Moim celem nie jest tworzenie przez państwa wspólnej, europejskiej polityki historycznej, nawet przez sąsiadów. Po co na siłę, przez przekonywanie się elit, tworzyć wspólną pamięć? Efektem może być jedynie oderwanie się tzw. elit od pamięci zbiorowej ważnych segmentów własnego narodu. Celem polityki historycznej narodów, które się spotykają i dyskutują, jest przede wszystkim rozpoznanie różnic.

Uwiarygodnienie się polskich historyków nie zależy od stosunku do Holocaustu. To nie jest nasz problem, to nie było nasze doświadczenie, my nie mordowaliśmy Żydów. My mamy inne priorytety. W Polsce, słusznie czy nie, przez przynajmniej ostatnie 15 lat priorytetem było uzmysłowienie społeczeństwu, na czym polegał charakter państwowości PRL. Faktem jest, że samoświadomość narodu wychodzącego z PRL do Polski

demokratycznej była naznaczona ignorancją, tzn. przez fakt nieznamości istoty ustroju PRL, czy też działań skrytych aparatu bezpieczeństwa, ulegaliśmy często propagandzie komunistycznej. W wolnym państwie uznano, że odkłamanie historii PRL przyczyni się do odbudowania wspólnoty narodowej. Chodziło tu o rzetelne opisanie na przykład walki aparatu bezpieczeństwa ze środowiskami niepodległościowymi, uznawanymi do końca Polski Ludowej za potencjalnie wrogie i godne inwigilacji (dotyczyło to często osób mocno już starszych, byłych żołnierzy AK czy NSZ), o to, że SB nie była strukturą samodzielną, wypreparowaną z kontekstu politycznego, lecz jej funkcjonariusze służyli jako podwykonawcy partii komunistycznej, zwanej Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą. Rzeczywiste role instytucji i ludzi były niewidoczne w propagandowym obrazie, który nie dopuszczał informacji np. dotyczących tego, że w końcu lat sześćdziesiątych pewien pisarz był inwigilowany przez własną żonę; że w latach siedemdziesiątych pewien student był wyrzucony ze studiów za to, że jego kolega z roku w ramach „inicjacji” w SZSP doniósł na niego; że był Wydział VI w Departamencie IV, który zajmował się zabijaniem ludzi, preparowaniem kompromitujących „falszywek”. I to było priorytetem: odkrycie przed Polakami bardzo często zupełnie nieznaną własną, niedawną przeszłość.

Jürgen Hensel – Nigdy nie mówiłem, zakładając, że wszyscy jesteśmy w jednej Unii Europejskiej, że musimy dążyć do wspólnych wniosków. Nie o to chodzi! My musimy rozumieć, co dla kogo znaczy poszczególne zagadnienie. Żeby to uzgodnić, musimy dużo się uczyć, postępować ostrożnie. Widzę, że Polacy mają w tej dyskusji znacznie trudniejszą sytuację niż Niemcy. Niemcy, czyli my, mówię to świadomie, byliśmy narodem oprawców. I to zostało zaakceptowane. U was budowa rzetelnego obrazu własnej przeszłości trwa znacznie krócej. Dlatego na obecnym etapie jest tak wiele niejasności. Nie należy oczekiwać, że ten stan szybko się zmieni, ale nie możecie mówić: Holocaust to nie jest nasz problem. To jest także wasz problem! Nikt w Europie nie ucieka przed Holocaustem, nikt! To jest wspólne dziedzictwo europejskie, chociaż oczywiście zbrodnię na narodzie żydowskim zaplanowali i przeważnie wykonywali Niemcy.

Dariusz Gorajczyk – Polityka historyczna powinna odpowiadać na potrzebę upewnienia: kim się jest? Inaczej dyskusja z kimkolwiek będzie utrudniona, dlatego że zawsze istnieje obawa, iż ktoś komuś chce coś narzucić, kogoś wykorzystać. Dlatego partnerzy w dyskusji muszą mieć pewność, kim są. Polityka historyczna w przypadku stosunków polsko-niemieckich powinna być kształtowana w jak najszerszym kontekście, możliwie wiernie odzwierciedlającym naszą wspólną historię. Częste ograniczanie się w dotychczasowej praktyce projektów edukacyjnych do Holocaustu i tematu banalizacji zła w obozach w żaden sposób nie przybliży porozumienia. Konieczny jest przynajmniej tak szeroki kontekst, który byłby w stanie oddać chociażby odmienne sposoby rozumienia nacjonalizmu w Polsce i w Niemczech. Jednak aby prowadzić dyskusję, nie wystarczy też sama edukacja szkolna. Do tego trzeba stworzyć poważną ofertę spotkań i seminariów obejmujących bardzo szerokie spektrum tematów.

Paweł Kosiński – Dziękuję państwu bardzo serdecznie.

ZAPOWIEDZI

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA „KRYZYSY SYSTEMU KOMUNISTYCZNEGO 1953–1981”

Warszawa, 20–21 października 2006 r.

W 50. rocznicę wydarzeń 1956 roku w Polsce i na Węgrzech zapraszamy na międzynarodową konferencję naukową „Kryzysy systemu komunistycznego 1953–1981”. Celem konferencji jest ukazanie wydarzeń 1956 r. w szerszej perspektywie innych kryzysów systemu komunistycznego poczynając od masowych protestów w NRD w 1953 r. a kończąc na kryzysie lat osiemdziesiątych w Polsce.

Konferencję współorganizują: Instytut Pamięci Narodowej, Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Uniwersytet Warszawski, Urząd Pełnomocnika Rządu Federalnego ds. Dokumentów Służby Bezpieczeństwa byłej NRD (Niemcy) i Fundacja Badania Dyktatury SED (Niemcy).

Międzynarodowa konferencja odbędzie się 20–21 października br. w Warszawie (bliższe informacje o miejscu obrad zostaną podane na stronie internetowej IPN: www.ipn.gov.pl). Obrady będą prowadzone w języku polskim, niemieckim i angielskim (tłumaczenie symultaniczne). Konfe-



rencji towarzyszyć będzie projekcja filmów dokumentalnych pokazujących kryzysy 1956 r. w Polsce i na Węgrzech oraz wystawa poświęcona „polskim miesiącom” z lat 1956–1981. Wszystkie imprezy (sesje, dyskusje panelowe, wystawa, pokaz filmów) będą otwarte dla publiczności. Wstęp wolny.

PROGRAM

20 października 2006 r. (piątek)

9.00–10.30 – Uroczyste otwarcie obrad, wykład inauguracyjny – dr László Borhi (Węgry): Rok 1956 w polityce światowej

10.30–13.00 – Sesja „Komunizm w 1956 roku – pomiędzy Wschodem a Zachodem”
Prowadzenie – prof. Christoph Klessmann (Niemcy)

- dr Aleksandr Stykalin (Rosja): Rok 1956 – perspektywa sowiecka
- dr Andriej Łańkow (Australia): Korea 1956 – klęska destalinizacji
- dr Muriel Blaive (Francja): Czechosłowacja 1956 – zmrożona odwilż
- prof. Chen Jian (USA): Chiny wobec wydarzeń 1956 roku
- dr Thomas Großbölting (Niemcy): Partie komunistyczne Francji i Włoch wobec kryzysu 1956 roku

15.00–17.00 – Dyskusja panelowa „Dlaczego system komunistyczny nie upadł w 1956 roku?”

- Prowadzenie – dr Jiří Pernes (Czechy)
- Uczestnicy: dr hab. Paweł Machcewicz (Polska), dr Christian F. Ostermann (USA), dr János Tischler (Węgry), prof. Charles Gati (USA)

17.15–19.15 – Prezentacja filmów dokumentalnych poświęconych kryzysom systemu komunistycznego w 1956 r. w Polsce i na Węgrzech

21 października 2006 r. (sobota)

9.00–10.45 – Sesja „Przyczyny kryzysów systemu komunistycznego”
Prowadzenie – dr Krzysztof Persak (Polska)

- Attila Szakolczai (Węgry): Geneza Rewolucji Węgierskiej 1956 roku
- dr Oldřich Tuřma (Czechy): Przyczyny reform Praskiej Wiosny
- prof. Janusz Kaliński (Polska): Ekonomiczne aspekty kryzysów systemu komunistycznego w Polsce 1956–1980

11.00–13.30 – Sesja „Aparat władzy i społeczeństwa wobec kryzysów w krajach bloku sowieckiego”

Prowadzenie – dr Thomas Großbölting (Niemcy)

- dr Roger Engelmann (Niemcy): Kryzysy 1956 roku jako lekcja dla władz NRD
- prof. Mihai Retegan (Rumunia): Rumunia wobec Praskiej Wiosny
- dr Michael Kubina (Niemcy): NRD wobec Praskiej Wiosny i kryzysu w Polsce 1980/1981
- dr Łukasz Kamiński (Polska): Władze PRL i społeczeństwo polskie wobec kryzysów 1953, 1956 i 1968 roku

15.30–17.15 – Sesja „Następstwa kryzysów systemu komunistycznego”

Prowadzenie – dr hab. Jan Żaryn (Polska)

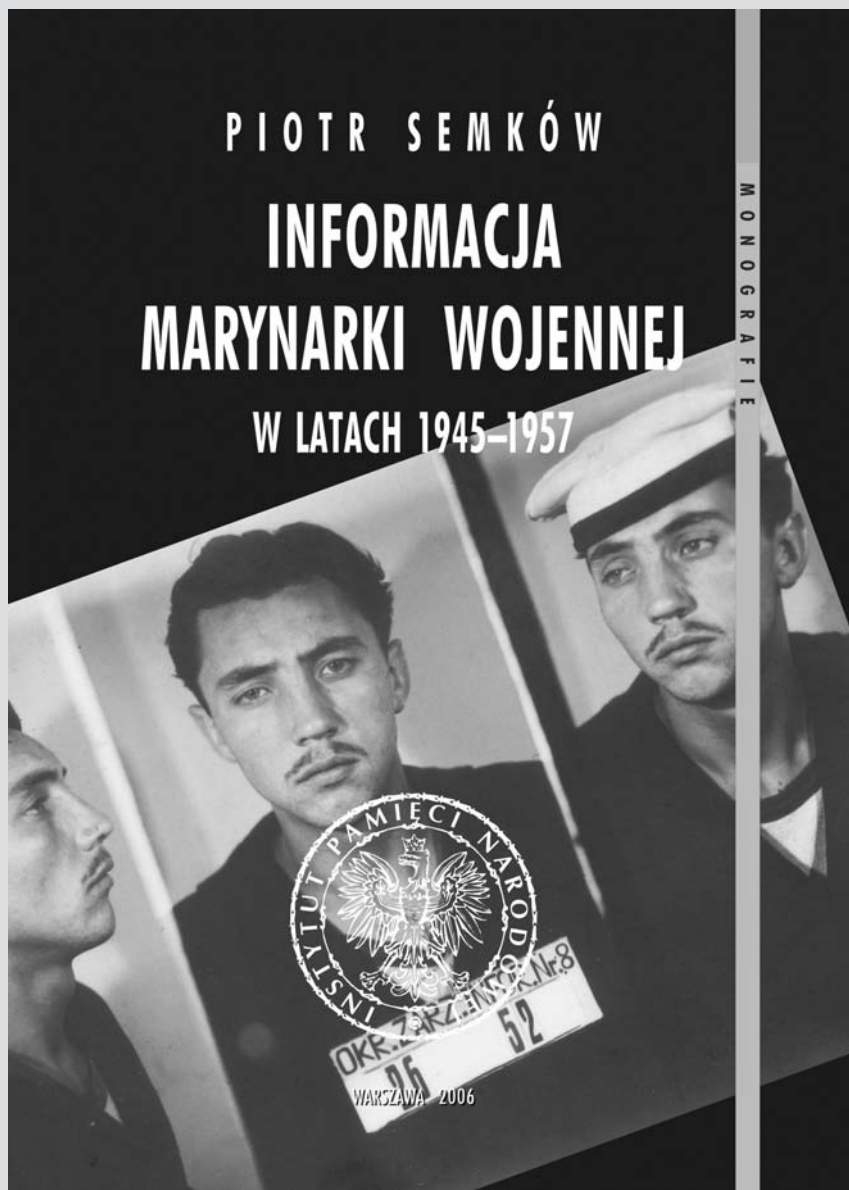
- prof. Jane Curry (USA): Polskie elity wobec kryzysów systemu komunistycznego
- dr Ilko-Sasha Kowalczyk (Niemcy): Reorientacja polityki SED w następstwie powstania 1953 roku
- dr hab. Antoni Dudek (Polska): Kryzys systemu komunistycznego w Polsce lat osiemdziesiątych

17.30–19.30 – Dyskusja panelowa „Kryzysy – osłabienie czy wzmocnienie systemu komunistycznego?”

- Prowadzenie – prof. Andrzej Paczkowski (Polska)
- Uczestnicy: dr Anthony Kemp-Welch (Wielka Brytania), prof. Jerzy Eisler (Polska), dr Petr Blažek (Czechy), prof. Christoph Klessmann (Niemcy)



W Z N O W I E N I E



Autor opisuje struktury i metody działania Informacji Marynarki Wojennej w latach 1945–1957. Działalność agenturalna Informacji Marynarki Wojennej realizowała stalinowskie czystki wśród „powierzonych” jej marynarzy.

1939



...CNCIEJMY WZIĄĆ PRZED SIĘ MYSŁĄ GODNE